



PRZE

Numer 36/2933

9 września 2001 r.

KRÓJ

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)

Oko w oko z Neronem

Watykańska
premiera
„Quo vadis”



ISSN 0033-2488
9 770033 248014
Indeks 371424 • Y-9013-C

Jaguar nowej generacji | X-Type

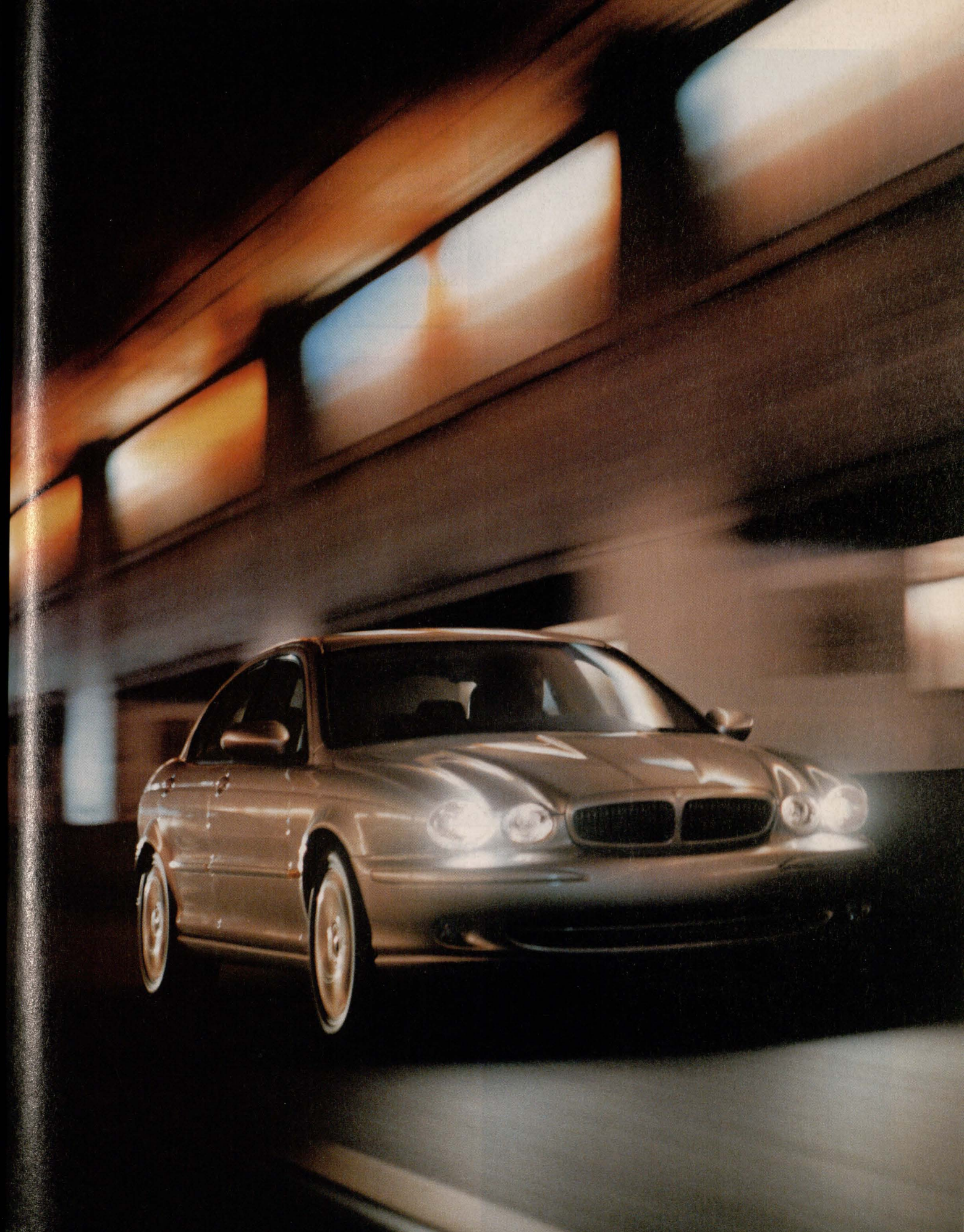
Wnętrze z naturalnego drewna

Silniki 2,5 V6 i 3,0 V6

Stały napęd wszystkich kół w standardzie

Cena od 40.900 EUR

www.x-type.com





Św. Piotr przyszedł do papieża

Czy coś z tego dramatu dokonuje się we mnie? – spytał papież po premierze „Quo vadis”.

SYLWIA WYSOCKA

8

Daliśmy się uwieść

JERZY KAWALEROWICZ:
„Przy «Quo vadis»
wpadłem w totalną
bezsenną”.

KAZIMIERZ
TARGOSZ



12



Bomba w dół

Za najbardziej kolorowym murem w Warszawie jest zamknięty świat żyjący własnymi problemami.

DOROTA
SZUSZKIEWICZ

26

NUMER 36
9.09.2001



OKŁADKA:
Fot. Piotr Bujnowicz

Listy 6

CZECZOT w „Przekroju” 7

ZYGMUNT KUBIAK
Gdy czytam „Quo vadis” 15

Nie fałszuję jak Neron – rozmowa
z MICHAŁEM BAJOREM 18

Ilustrowany „Przekrój” tygodnia 20

MAREK MACIĄGOWSKI
Tajemnice żużlowych kłoców 24

LESZEK MAZAN
Wojna, o której nie mówi się
przy paniach 35

Wyższe sfery:
BOGNA WERNICHOWSKA
Sofia, mądra i wrażliwa 46

HOFF Godzinyienne 49

Tu i tam:
JOANNA RESZKA
U potomków Dżyngis-chana 50

WIEDEMANN Dziennik „duszy” 53

Nauka:
LESŁAW PETERS
Fred Hoyle
– geniusz na manowcach 54

Zdrowie:
TERESA BĘTKOWSKA
Homo sapiens pnie się w górę 56

JERZY CIERPIATKA,
MAREK LATASIEWICZ
Basket bez piwa 61

Instrukcja obsługi telewizora:

Ukryty plan prezesa 62

Media:

JUSTYNA TAWICKA
Z Sękocina w świat 64

Film:

JACEK ZIEMEK
Oscar Wilde – poważny,
ale na serio 66

Teatr:

Gombrowicz w języku Szekspira
– Dostawka Głowackiego 68

Muzyka:

ROBERT ZIĘBIŃSKI
Depeche Mode – muzyka dla mas 70

WOJCIECH KOZIELSKI
Björk: Dziewczynka z pomysłami 72

Książki:

PIOTR LITKA
Portret Jima Jarmuscha 74

Klub Smakosza:

TADEUSZ PIÓRO
Warzywa po prowansalsku 76

Szatnia:

ANTONI PAWLAK
Okiem Amerykanina 77

Mieszanka firmowa 78

Krzyżówki 80

Co Pan na to, Panie LEM? 82

Rozmaitości 84

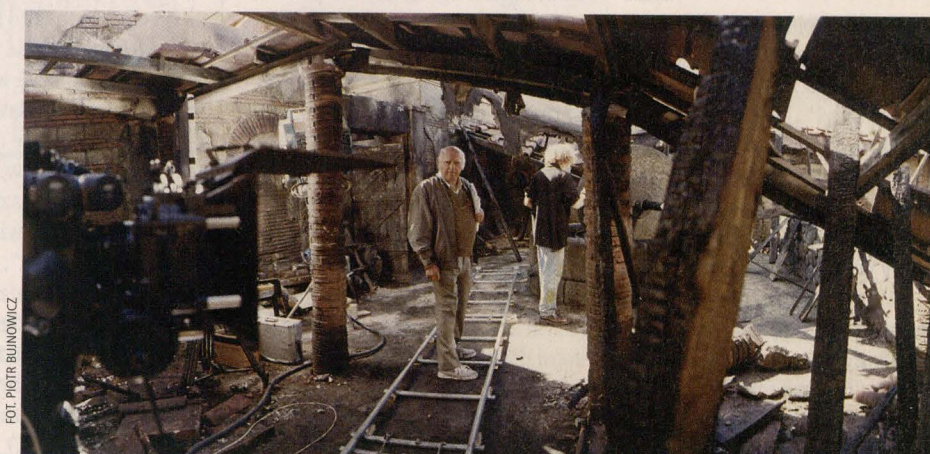
Głowy nie od parady

„Sztuka jest wielka,
a artyści mali” – mawiał
Xawery Dunikowski.

EWA KOZAKIEWICZ



30



Galeria: Na planie „Quo vadis”

38

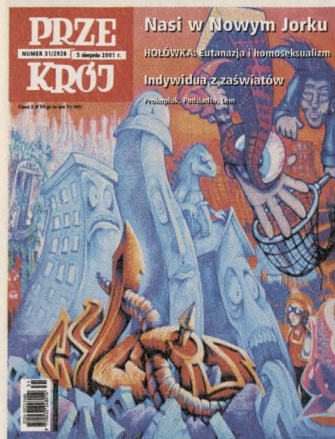
Szaleństwo dzikiej rzeki

Rafting, czyli spływ
pontemem dziką rzeką,
jest sportem
dla wyjątkowo
sprawnych fizycznie,
a do tego zamożnych.

DARIUSZ WOJTALA



58



JACY BYLIŚMY

W „Przekroju” 2928 w „Listach i mejlach” ukazał się tekst pana A. B. Hurnego z Chicago „Czy jesteśmy tacy?”. Pochodzę z dawnych kresów Polski (Zaleszczyki i Brody) i z własnego doświadczenia znam stosunki polsko-ukraińskie. Pamiętam, jak się one kształtowały w Drugiej Rzeczypospolitej:

- W szkole podstawowej był obowiązkowy język ukraiński, obowiązywał też w szkole średniej. Dwóch katechetów: polski i ukraiński, uczyło religii.

- We Lwowie wydawane były dwa dzienniki w języku ukraińskim – jeden to „Diło”, tytułu drugiego nie pamiętam. Tu też wydawany był dziennik żydowski „Chwila”.

- W starostwie powiatowym w Zaleszczykach urzędnikiem był Ukraińiec Robak, w Brodach – dwu urzędników Ukraińców: Szust i Bluj, w Zaleszczykach urzędował Żyd o nazwisku Kutner. Ich znałem osobiście.

- Ukraińcy odbywający służbę wojskową uczęszczali w niedzielę na msze do cerkwi.

- W soboty nie było w szkole klasówek, ponieważ Żydom religia zabraniała pisania w ten dzień, mogli być też nieobecni, co było usprawiedliwione.

Oczywiste jest też to, że były ekscesy antysemitki, ale miały charakter marginalny. Wychodziły dwa pisma (chyba tygodniki) o treści antysemitki, co w porównaniu do całej prasy było marginesem.

- Semen Petlura został zamordowany w Paryżu przez Żyda za pogromy na Żydach dokonane

przez wojska ukraińskie mu podległe. Gwoli prawdy historycznej należy dodać, że w latach dwudziestych Petlura powiedział, iż niepotrzebnie Ukraińcy wdali się w wojnę z Polakami.

- Obóz w Berezie Kartuskiej był, ale co się działo na wschód i na zachód od Polski? Mimo to zaszczytu Polsce Bereza nie przysparzała...

- Druga wojna światowa była sprawczynią tragedii między naszymi narodami. Sprawa jest ogólnie znana, została przelana bratnia krew.

Wspomina pan Hurny o Polakach w USA, a szkoda, że nie pomyślał o życiu i sytuacji Murzynów, Indian lub innych nacji.

W wymienionych przez autora listu miejscowościach po wojnie wystąpiły różne ekscesy. Były one na pewno pokłosiem własnie wojny.

Dodam jeszcze, że w każdym narodzie są elementy ekstremalne, ale one nie mogą kształtować opinii o całym społeczeństwie.

Inż. **ZYGMUNT LIS**,
Kraków

BŁYSK DRUGI PANA WAJDY



FOT. PIOTR BUJNOWICZ

W lipcowym „P” (nr 2927) zamieszczony został ilustrowany artykuł p. Tomasza Wolskiego „Powstanie w zbiorniku”. Zaprezentowano w nim drugi z genialnych błysków pana Andrzeja Wajdy. Pierwszy, czyli orzeł kąpiący się w Zatoce Gdańskiej (na szczęście) odleciał, więc na powitanie kolejnej rocznicy Powstania Warszawskiego pojawił się zbiornik po gazie, gdzie na cześć umarłych i dożywających powstańców ma być we wnętrzu umieszczone panoptikum ukazujące ich rozpaczliwe losy i losy tzw. ludności cywilnej Warszawy w sierpniu i wrześniu roku 1944. Jak zrelacjonowano w artykule – panorama ma czcić pamięć wszystkich uczestników

powstania, być przestrogą oraz – przez swą wymowę – służyć młodzieży w pogłębianiu swej wiedzy o historii najnowszej.

Zamiar, jak wynika z waszej publikacji, nigdy nie był konsultowany z organizacjami kombatanckimi, a przede wszystkim ze Związkiem Powstańców Warszawskich. Tyle formalnie. Merytorycznie natomiast, gdy obecna rozpolitykowana i skomercjalizowana „stolica” nie może się zdobyć na utworzenie stałego muzeum Powstania Warszawskiego, pomysł p. Wajdy wydaje się po prostu nieaktownym. Istnieją też uzasadnione przypuszczenia, że wobec proponowanej skali przedsięwzięcia, o ile doszłoby do jego realizacji, wyniknie konieczność swoistego „uatrakcyjnienia” cykli wizualnych (vide Panorama Raclawicka) już nie tylko muzyką, ale i błyskami świateł, emisją dymów, a kto wie, czy jeszcze nie przejazdem gołej Syrenki na harleju davidsonie.

Zamierzony „cyrk”, choć – jak to wynika ze zdjęcia, nawet pan prezydent Piskorski klęczy w modlitewnej zadumie przed modelem – jest, mówiąc bez patosu, obrazą dla pamięci i tragizmu wydarzeń sprzed lat. (...)

ZYGMUNT MIECZNIKOWSKI,
członek Związku
Powstańców Warszawskich

NIE „WYMYŚLAĆ” POWSTANIA!

Bardzo dziękuję panu Jerzemu Piekarczykowi za mądry i poruszający artykuł „Bezsenność sierpniowych nocy” („P” 2929). Niechże pan Andrzej Wajda nie wymyśla powstańczych disneylandów, wystarczy, że zekranizował po swojemu „Lotną”.

Nie cofajmy na siłę czasu. Ja jeszcze pamiętam sędziwych weteranów powstania styczniowego i kwaterę na cmentarzu Łyczakowskim. Pozwólmy bohaterom Warszawy żyć ich własnymi wspomnieniami. Młodzież i tak patrzeć na to będzie z takim samym zainteresowaniem jak na „tematykę biblijną”. Czas jest ważny dla aktorów tych wydarzeń, nie dla oglądaczy. Kultuujemy pamięć, wyczułajmy młodych

na historię, ale bez takich „woskowych muzeów”, chociażby przez zwykły szacunek dla tych, którym żadne atrapy i tak niczego nie zastąpią.

WIESŁAW CZERMAK-NOWINA,
Lidzbark Warmiński

KOBIETA TO TEŻ CZŁOWIEK

Piszę pod wpływem „Szatni” pani Bożeny Keff z nr. 2926 „P”. Nie jestem feministką, jako że z racji wykonywanego zawodu muszę stać w obronie mężczyzn, rzadziej kobiet. To, co w naszej prasie piszą na temat twórczości Manueli Gretkowskiej mężczyźni, wynika chyba z tego, że nie przeczytali jej książek, a po drugie – że ze względu na swoją „fizyczność” nie są w stanie pojąć, co dzieje się z kobietą w czasie ciąży (chyba to z zazdrości, że nic takiego od początku świata nie zdołali stworzyć). Są jednak chlubne wyjątki – proszę zapoznać się z małą książeczką Szymona Kobylńskiego (ten to musi kochać kobiety) o tym, na ile sposobów kobieta sama może się zaspokoić i o roli clitoris w tym względzie.

Teraz akurat pada rześisty deszcz, a ja leżę pod namiotem nad brzegiem Bałtyku i myślę sobie jako o kobiecie oraz o tych, co je Pani nazwała „feministkami”. One nie są „feministkami”, tylko „Ludźmi” rodzaju żeńskiego (tak jak ja), pełnymi tolerancji dla „Człowieka” i osobami usiłującymi zrozumieć Człowieka, który ukształtował wzorce kulturalne świata w taki, a nie inny sposób.

Manuela Gretkowska jest prekursorką w dobie obecnej twórczości kobiet, która opisuje cielesność kobiety bez zenady i bez ogródek – jak to dotąd nie zdarzyło się żadnej Polce Chrześciance.

Bo tolerancja w naszym państwie to puste słowo, może zapisać w konstytucji, której treści nie znają jednak nasi „przedstawiciele władzy”, reprezentujący nas na forum Europy. Oni sami swoimi wypowiedziami potwierdzają, że są „mężczyznami”, ale chyba nie Ludźmi.



Ta cała kultura „chłopców” ich odwiecznych obyczajów jest żalosna. Nieraz spotykam się z tym, że „mężczyzna też człowiek” i nieraz lepiej potrafi wychowywać dzieci niż ich matka, a prawo jest równe dla wszystkich.

Jako Polka niechrześcijanka, ale kobieta, chciałabym, by Pani ogłosiła apel: niech ujawniają się Polacy, którzy naprawdę lubią kobiety-swoje rodaczki w każdym calu, za to, że są kłótlive (tylko głacznego?), że chcą być piękne i kochane, chcą mieć dobrych mężów i kochanków, i starają się im przybliżyć swoje odczucia, swoje pragnienia, które podają im „obecnie tak zwane pisma kobiece”.

I jeszcze jeden bardzo ważny aspekt, by młode pokolenie wzrastające w „tym sosie seksizmu, nietolerancji, rasizmu, antysemitizmu bez Żydów, obłudy i bylejakości” znalazło wspólny język ze starszym pokoleniem, ale tym prawdziwym, nie oszołomskim, by w ten sposób szukać wskazówek dla siebie. W „Przekroju” znajdują głosy młodych ludzi, którzy starają się coś z tego zrozumieć. A Pani, choć nieraz „odsądzano od czci i wiary”, proszę o następne takie „chropowate, ale prawdziwe” myśli o sprawach, które wielu

uwierają, ale boją się do tego przyznać, by „nie stracić twarzy”.

MALGORZATA M. MISIOWIEC,
Myślibórz

MOJE PRYWATNE ODKRYCIE

Dziś, w środę 1.08., mam taką swoją prywatną rocznicę. Otóż jest to mój trzydziesty tydzień z „Przekrojem”. Dopiero 30 tygodni temu odkryłem, że istnieje „P” i tak już zostało, nie mogę się od tego uwolnić.

Inaczej mówiąc: dopóki będą istnieć pisma waszego pokroju – „Przekroju”, będę wierzyć, że jeszcze nie żyjemy w rzeczywistości wirtualnej, choć już dziś mamy tę obrazkową. Mówiąc poważnie – uczucie tolerancji, a właśnie tolerancji towarzyszą emocje i racje, które wraz z wiedzą kształtują świadomość. Dziękuję!

MICHAŁ Z KALISZA
(nazwisko i adres
– do wiadomości redakcji)

WYJAŚNIENIE

W związku z zamieszczeniem w „Przekroju” z dnia 19 sierpnia

2001 r. w tekście Pani Andy Rottenberga „A poza tym nie mamy autostrad” nieprawdziwych informacji na temat Instytutu Dziedzictwa Narodowego informuję, że Instytutem kieruje dyrektor Tomasz Merta, z wykształcenia polonista i historyk myśli politycznej. Wicedyrektorem Instytutu jest Dariusz Gawin – historyk, dr nauk filozoficznych. Przewodniczącym Rady Programowej Instytutu jest Ferdynand Ruszczyk – dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie. Sprawami finansowo-administracyjnymi Instytutu zajmuje się Beata Bujak, magister ekonomii oraz specjalista ds. zarządzania i marketingu.

Jednocześnie informuję, że nikt z pracowników Instytutu nie jest członkiem żadnej partii politycznej.

MICHAŁ LISIECKI,
rzecznik prasowy
Instytutu Dziedzictwa
Narodowego

Jest to reakcja na jedno zdanie z felietonu Andy Rottenberga, które tu cytujemy w całości i bez zmian: „Ostatni były minister powołał do życia Instytut Dziedzictwa Narodowego, którym zarządza lojalna partyjna towarzyszą ministra – z zawodu pielęgniarka”. (Red.)

PRZEKRÓJ

Założył w roku 1945 w Krakowie
Redaktor **MARIAN EILE**

WYDAWNICTWO „PRZEKRÓJ” Sp. z o.o.

Adres: 31-012 Kraków, ul. Reformacka 3
lub 30-960 Kraków I, skrytka pocztowa 533,
e-mail: redakcja@przekroj.pl
Telefony – łączą centrala: (012) 422-18-33,
422-18-72, 422-59-54, 422-18-92, 421-91-37
fax (012) 421-49-29, 422-70-61

PREZES ZARZĄDU: Krzysztof Żamotat
WICEPREZES I DYREKTOR: Piotr Dziekan
REDAKTOR NACZELNY: Józef Lubiński

SEKRETARIAT ODPOWIEDZIALNY: Marcin Baran,
Mirosław Chomko, Andrzej Ruchałowski,
Anna Rudnicka

DZIAŁY:
Kultura: Benjamin Lazar, Zbigniew Morawski
(kierownik), Justyna Tawicka, Jacek Ziomek
Krajowy: Łukasz Dziatkiewicz, Jakub T. Janicki,
Barbara Pajchert, Roman Polesek
Reportaż: Izabella Bodnar, Dariusz Wojtala
Nauka i zdrowie: Teresa Bętkowska,
Janusz Marjan (kierownik), Leszek Peters
Publicyści: Ludwik Jerzy Kern, Wojtek Kocotowski,
Leszek Mazan, Jerzy Piekarczyk, Kazimierz Targosz,
Dorota Terakowska, Bogna Wernichowska

Pracownia graficzno-komputerowa:
Piotr Smoleń (p.o. dyrektora artystycznego),
Piotr Gidlewski, Maria Klich, Jan Kozak,
Joanna Sroka (kierownik makiety)
Dział fotograficzny: Marek Szczepański (fotodzytor),
Bogdan Krężel, Jan Zych
Korekta: Malgorzata Strakowska-Szczurek, Barbara
Wojtanowicz (kierownik)
Produkcja: Andrzej Laurisz

WYDAWNICTWO: gł. księgową – Halina Zięba,
kolportaż – Barbara Bagińska (kierownik)
DZIAŁ PROMOCJI: Marcin Fedisz (kierownik),
Anna Korwin, Władaw Kaczmarczyk („Złoty Grosz”)

BIURO REKLAMY:
Dyrektor: Wiesław Nowak (0502-56-96-02),
Anna Dąbrowska
Warszawa – ul. Wolska 45 A,
tel./fax (022) 631-46-68, 631-35-62,
Kraków – tel. (012) 422-70-61, Marzena Kiedacz

NASZE KONTO: Bank Pekao SA – I O/Kraków
nr 12401431-7010439-2700-401112-001

DRUK: Winkowski Sp. z o.o. ul. Okrzei 5,
64-920 Pila, tel. (0-67) 210-84-00

PRENUMERATA – krajowa: terenowe oddziały
Ruch SA, wszystkie urzędy pocztowe oraz redakcja;
zagraniczna: Ruch SA, Oddział Krajowej Dystrybucji
Prasy, 01-248 Warszawa, ul. Jana Kazimierza 31/33
Konto: Pekao SA IV O/Warszawa, nr 12401053-
40060347-2700-457872-001,
tel. +48(22) 5328-731,
fax +48(22) 5328-732 oraz redakcja
(wpłata na podane wyżej konto bankowe)



Artykułów nie zamówionych nie
zwracamy. Redakcja zastrzega so-
bie prawo do zmian i skrótów
w nadesłanych artykułach i listach.

Św. Piotr przyszedł do papieża

SYLWIA WYSOCKA Z RZYMU
FOT. PIOTR BUJNOWICZ

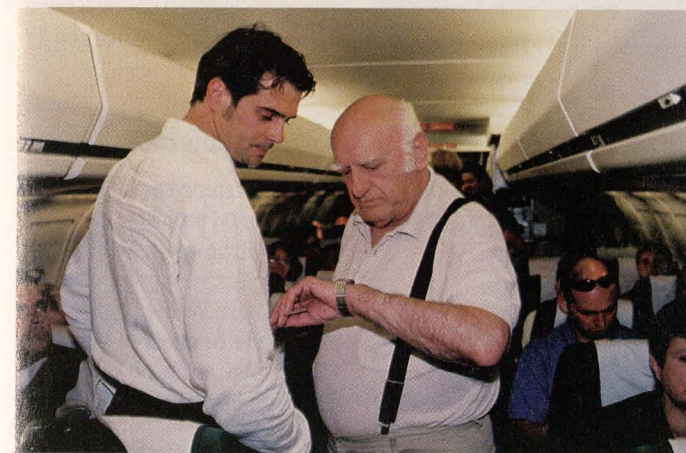
Czy coś z tego dramatu dokonuje się we mnie?
– spytał papież po premierze „Quo vadis”.

Przed położonym tuż koło Watykanu hotelem Columbus stoi Franciszek Pieczka. Otacza go grupa polskich dziennikarzy i fotoreporterów.

– Kto to jest? – pytają mnie dwie zmęczone zwiedzaniem Włoszki, jedzące kanapki na ławce.

– Święty Piotr – odpowiadam.

Przez dwie godziny w stronę Auli Pawła VI płynął tłum ludzi. Zamieniona w salę kinową mieści 4,5 tys. widzów. Zaproszenia na światową prapremierę „Quo vadis” rozdawano przez kilka tygodni w Domu Polskiego Pielgrzyma, Polskim Instytucie Kościelnym i Instytucie Kultury Polskiej. Obok pań w długich sukniach i panów w smokingach (na zaproszeniach po włosku napisano, że wymagany jest strój wieczorowy) było też wiele osób w dżinsach, a nawet w krótkich spodniach i bezrękawnikach.



Paweł Deląg i Jerzy Kawalerowicz w samolocie do Rzymu.

Surowa zazwyczaj Gwardia Szwajcarska wpuszczała wszystkich. Z Polski specjalnymi samolotami oraz autokarami dotarło ponad tysiąc osób. Oprócz twórców filmu i ich gości na premierę przybyli m.in. Jolanta Kwaśniewska i bp Tadeusz Pieronek oraz 160-osobowa delegacja rektorów z polskich uniwersytetów.

– Czuję się zaszczycony, że mogę w obecności papieża zobaczyć prapremierę filmu – powie-

dział prof. Marian Harasimiuk, rektor uniwersytetu lubelskiego.

Tuż przed projekcją jeden z jej organizatorów poprosił zgromadzonych w auli, by nie wstawali z miejsc, kiedy pojawi się papież. Gdy wjechał na specjalnej platformie, której używa podczas audiencji generalnych, ludzie z trudem mogli usiedzieć na krzesłach. Kilka minut po godzinie 18 zgasty światła. Podczas projekcji wielu gości zerknęło w stronę najważniejszego widza. Przez blisko trzy godziny siedział wpatrzony w ekran.

Najważniejszy widz

– Najbardziej wzruszyłam się nie w czasie filmu, ale po jego zakończeniu, gdy spojrzałam na Ojca Świętego. Przez kilka minut patrzyłam przed siebie zamyślona – powiedziała mi siedząca obok kobieta.

Po chwili rozpoczęła się długa owacja, a po niej papieskie przemówienie.

Papież przypomniał, że Aula Pawła VI znajduje się w miejscu cyrku Nerona, gdzie zginęło wielu chrześcijan. Na środku areny stał obelisk przeniesiony w XVI w. na plac św. Piotra. Artystyczna

ocenę filmu Ojciec Święty pozostawił krytykom.

– Ja chcę jedynie podziękować za pietyzm, z jakim film ten został zrealizowany – pietyzm nie tylko dla dzieła Sienkiewicza, ale nade wszystko dla chrześcijańskiej tradycji, z jakiej ono wyrasta – powiedział.

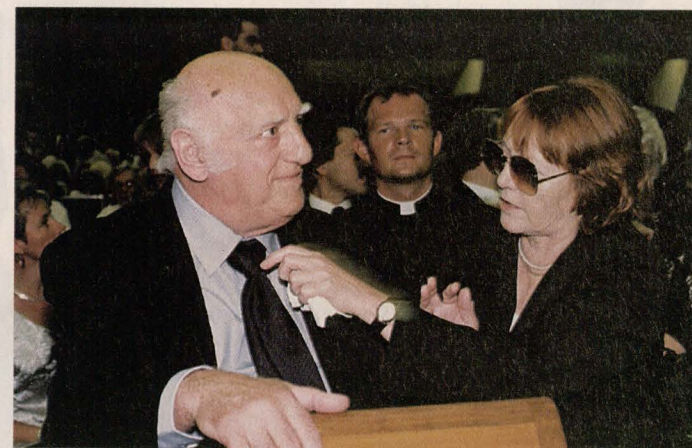
Mówił, że trzeba wracać do religijnych przeżyć i doświadczeń pierwszych chrześcijan. – Trzeba wracać – podkreślił – do tego dramatu, jaki rozgrywał się w ich du-

swojej roli. – Poza tym mamy błogosławieństwo Ojca Świętego – powiedział.

Magdalena Mielcarz – Ligia – próbowała oglądać „Quo vadis” jak zwykły widz. – Jak bym w nim nie grała i kilkakrotnie się wzruszyłam – wyznała.

Prezydentową Jolantę Kwaśniewską film skłonił do refleksji.

– Ojciec Święty, przemawiając dzisiaj, mówił „Dokąd idziesz, człowieku?”. To jest pytanie, na które każdy z nas musi znaleźć



Na premierze obowiązywał strój wieczorowy.

szach, gdy zmagali się ze sobą ludzki lęk i nadludzka odwaga, wola życia i pragnienie wierności aż po śmierć, poczucie osamotnienia wobec bezdusznej nienawiści i okrucieństwa, a równocześnie doświadczenie mocy płynącej z bliskiej, niewidzialnej obecności Boga i wspólnej wiary rodzącego się Kościoła. Trzeba wracać, choćby po to, by zrodziło się pytanie: czy coś z tego dramatu dokonuje się we mnie?

Po przemówieniu Ojcu Świętemu zostali przedstawieni twórcy „Quo vadis”. Z każdym porozmawiał. Filmowy św. Piotr – Franciszek Pieczka – ukląkł przed Janem Pawłem II. Grający Winicjusza Paweł Deląg cieszył się ze

odpowiedzi. Film mu w tym pomaga – mówiła Jolanta Kwaśniewska. Podobała się jej scenografia. – Niektóre sceny były bardzo trudne do oglądania. Takie jak pożeranie chrześcijan przez lwy. Dziś będę miała okazję zapytać reżysera, jak zostały zrealizowane.

– Jeszcze nigdy nie siedziałam tak blisko papieża – płakała ze wzruszenia mieszkająca od dziesięciu lat w Rzymie Jolanta Filipka. Miejsce zajęła dwie godziny przed pokazem.

– Kocham pana, kocham! – rzuciła się w ramiona wychodzącego z auli Michała Bajora Polka mieszkającego od wielu lat w Rzymie. Nie mógł opędzić się od łowców autografów, podobnie jak



Jolancie Kwaśniewskiej podobała się scenografia.



PAPIEŻ W KINIE

W ostatnich kilkunastu miesiącach papież Jan Paweł II obejrzał kilka filmów: „Pana Tadeusza” Andrzeja Wajdy i „Brata naszego Boga” Krzysztofa Zanussiego, a także stary obraz Vittoria de Siki poświęcony Matce Boskiej Fatimskiej „Brama niebios” i Roberta Benigniego „Życie jest piękne”. Postać Karola Wojtyły zainspirowała Krzysztofa Zanussiego do nakręcenia, oprócz „Brata naszego Boga”, filmu „Człowiek z dalekiego kraju”. Jego prapremiera również odbyła się w Watykanie.

Franciszek Pieczka, Paweł Deląg i prawie wszyscy odtwórcy głównych ról.

– Film jest wierny książce. Podała mi się Linda – wyznała Wiesława Sadowska.

– A ja po filmie podeszłam do Lindy po całusa i dostałam – chwali się Monika Wiczorek.

– Jestem rozczarowany, nudziłem się. Spodziewałem się czegoś lepszego – powiedział mi Krzysztof Majchrzak, odtwórca roli Tygellina.

Potrójna zbieżność

Na konferencji prasowej, sześć godzin przed projekcją, Jerzy Kawalerowicz mówił, że dla niego najważniejsza jest potrójna zbieżność: na przełomie tysiącleci na podstawie powieści Polaka powstał polski film o początkach chrześcijaństwa, który w Watykanie ogląda polski papież.

Spotkanie z dziennikarzami w hotelu Columbus, gdzie mieszkała ekipa, było jednak za długie, nieudolnie tłumaczone na angielski i włoski. Z kompletnym brakiem zainteresowania spotkali się odtwórcy głównych ról. Nikt nie zadał im pytania, więc cały czas milczeli.

Senną atmosferę, na którą wpłynęła także wisząca nad Rzymem burza i trudny do wytrzymania upał, usiłował podgrzać producent. Powiedział, że filmem interesuje się ponad 40 zagranicznych dystrybutorów, którzy obejrzeli fragmenty „Quo vadis” na targach w Cannes.

Po premierze odbył się bankiet w hotelu Columbus dla około trzystu osób. Wokół słychać było tylko język polski. Z trzeszczących niemiłosiernie głośników płynęła filmowa piosenka „Dove vai?”. Fetowano sukces.



Producent Miroslaw Słowiński przedstawia Bogustawę Lindę – Petroniusza.

Producent Miroslaw Słowiński podkreślał, że przyjęcie zaproszenia przez następcę świętego Piotra było spełnieniem marzeń całej ekipy. W tak podniosłej atmosferze nie zastanawiano się, czy film ma szansę powtórzyć ubiegłoroczny światowy sukces „Gladiatora”, który rozbudził na nowo zainteresowanie czasami rzymskimi.

Film jak karoseria

Krótką notkę zapowiadającą premierę zamieściła tylko turyńska „La Stampa”. Radio Watykańskie w głównym wydaniu dziennika w języku włoskim zdegradowało ekranizację Kawalerowicza, nazywając ją „remakiem”, a raz nawet użyło osobliwego terminu rodem z przemysłu motoryzacyjnego: „restyle” (tym słowem określa się unowocześnienie karoserii).

Na premierze zabrakło korespondentów największych światowych agencji i gazet, akredytowanych przy Biurze Prasowym Stolicy Apostolskiej, którzy zazwyczaj nie opuszczają wielkich uroczystości z udziałem Jana Pawła II. Nie dostali zaproszeń. Znaleźli tylko w Sala Stampa informację, że

dów była relacja w rzymskim dzienniku „Il Messaggero”, opatrzona osobliwym tytułem „Karol ogląda „Quo vadis””. Można było w niej przeczytać, że wśród gości była „Jolanda Kwasniewska, żona polskiego premiera”.

Producent Miroslaw Słowiński powiedział mi, że dla niego ważniejsze od nierzetelnych i skromnych informacji o projekcji jest to, że byli na niej reprezentanci największych światowych pism zajmujących się kinematografią.

Wenecja czy Watykan

Przed rokiem w środowisku filmowym mówiło się, że być może premiera „Quo vadis” odbędzie się na festiwalu w Wenecji. Tymczasem zorganizowano ją, w najgorszym z punktu widzenia promocji momencie – nazajutrz po rozpoczęciu festiwalu, gdy liczą się wyłącznie filmy prezentowane na weneckim Lido. Tam są też wtedy wszyscy krytycy filmowi.

Tak więc film Jerzego Kawalerowicza pozostał w cieniu przywiezionych na festiwal najnowszych obrazów Woody’ego Allena i Stevena Spielberga. Nieoficjalnie mówi się, że strona polska otrzymała propozycję zorganizowania premiery w Watykanie 3 sierpnia, a więc w znacznie lepszym pod tym względem terminie. Najwy-

rażniej był on dla ekipy zbyt wcześnie. Twórcy filmu podkreślają, że otrzymali zaproszenie do Wenecji, ale wybrali Watykan i najważniejszego widza – papieża.

Dzień po polskiej premierze we Włoszech rozpoczęła się sprzedaż „Quo vadis” na kasetach wideo. Za 17 tys. lirów (35 zł) można kupić zrealizowaną przed 50 laty ekranizację Mervyna LeRoya z Robertem Taylorem i Peterem Ustinovem. Takiego zbiegu okoliczności nikt nie przewidział.

Uroczysta premiera polska filmu odbędzie się 9 września w Teatrze Wielkim w Warszawie. Dzień wcześniej w warszawskim EMPiK-u Nowy Świat płytę z muzyką do filmu będą podpisywać artyści, którzy nagrali pieśń przewodnią filmu „Dove vai?” – Małgorzata Walewska, Fiolka Najdenowicz i Michał Bajor. Ukazał się dwupłytowy album z oryginalną ścieżką dźwiękową do filmu, napisaną przez Jana A. P. Kaczmarskiego.

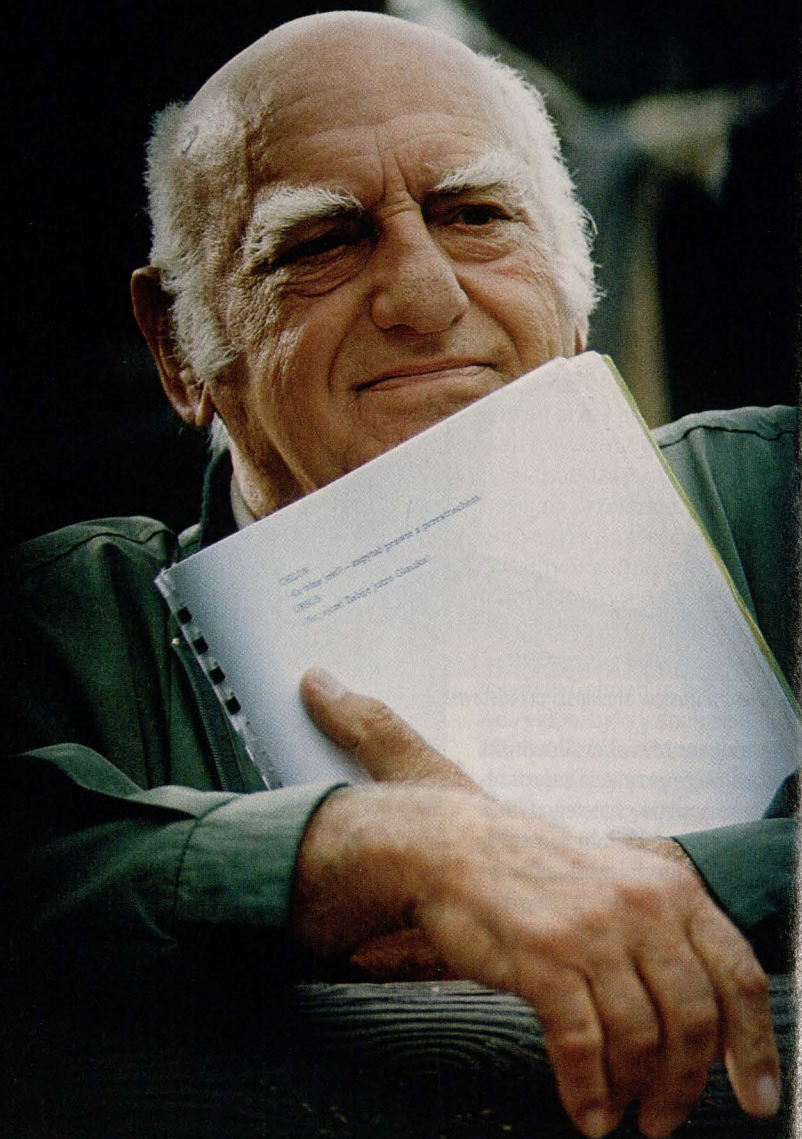
„Quo vadis” trafi do polskich kin 14 września. Oprócz prawie trzygodzinnej wersji kinowej powstanie także 6-odcinkowy serial telewizyjny. Z okazji premiery filmu Poczta Polska 1 września wyemitowała serię znaczków.

Współpraca
ALEKSANDRA ZDROJEWSKA



Magdalena Mielcarz (Ligia) oglądała film jak zwykły widz.

Przy „Quo vadis”
wpadłem
w totalną
bezsenność.



z JERZYM KAWALEROWICZEM rozmawia KAZIMIERZ TARGOSZ

Dałem się uwieść

Marzył pan o zrobieniu tego filmu od prawie 30 lat. Czy trafia on w swój czas?

Najbardziej jak tylko można to sobie wyobrazić. Jest jak memento. Chrześcijaństwo humanizowało barbarzyński świat. Ale nasz też jest w dużym stopniu barbarzyński. Nie trudno znaleźć odpowiedniki tamtych wydarzeń, dramatów i tragedii. Nasza rzeczywistość

nie jest wolna od nienawiści, od zagrożeń tyranią, nieodpowiedzialnych władców, od manipulacji za pomocą „chleba i igrzysk”. Ludzie starają się przeciwstawić temu, co upadła życie i degeneruje człowieka. Poszukują tego, co nadaje sens życiu: nadziei, miłości i wiary. Akcja „Quo vadis” dzieje się w starożytnym Rzymie, ale czy na pewno?

ładnie powiedziane. Ale widz może westchnąć: „Znów starość. Ucieczka od rzeczywistości potwierdzająca słabość polskiego kina i niegdysiejszych mistrzów”.

Skończył się czas tanich aluzji i doraźnego reagowania na teraźniejszość. To nie jest rola kina, zwłaszcza fabularnego, lecz prasy, telewizji, dokumentu. W kinie sprawdzają się

wartości ponadczasowe, które pod wpływem chwili mogą brzmieć mniej lub bardziej aktualnie. „Quo vadis” brzmi aktualnie, bo to nie znaczy „Dokąd idziesz, Panie”, ale dokąd my idziemy – ludzkość i świat. Tu jest mnóstwo pytań, na które nie ma odpowiedzi. Ale każdy jakoś się nad tym zastanawia, a więc jest to temat współczesny.

O co pytał pan księdza prof. Waldemara Chrostowskiego, którego prymas Glemp wyznaczył na konsultanta filmu?

Jak słowo przełożyć na obraz, żeby je przybliżyć do współczesności. Wtedy wiele rzeczy nazywało się tak samo, ale znaczyło co innego. Przykładem krzyż, który nie był znakiem wia-

ry, ale hańby, narzędziem tortur. Istniała różnica między ukrzyżowaniem przez Żydów i przez Rzymian. Żydzi wieszali na krzyżu martwych ludzi, Rzymianie żywych, którzy na krzyżu umierali. Sienkiewicz pisze, że chrześcijanie się modlili. W powieści to wystarczy, ale widz musi zobaczyć tę modlitwę. Jakie czyniono gesty, jaki był język, ekspresja, tekst modlitwy.

Pana pomysł polega na przedstawieniu akcentów narracji z wątku bohaterów melodramatu: Winićjusza i Ligii na Petroniusza, Nerona i Chilonia Chilonidesa.

Zmiana zgodna jest z myślą i filozofią dzieła Sienkiewicza. Te postacie skupiają w sobie niemal wszystko, co da się powiedzieć o ludziach. Neron – okrutny, ale i błazeński despot, samolubny, chorobliwie zazdrosny o swoją wielkość jako artysty. Petroniusz – arbiter elegancji, szlachetny i mądry, ale zarazem cyniczny i rozpustny. Chilonides – sprzedajny filozof, plugawy i odrażający, który na naszych oczach staje się osobą tragiczną i w końcu nawraca się.

A Ligia – tak nam miła polska dziewczyna – i Winićjusz?

Oni są oczywistą parą, nie odbieram im wagi w dramacie, czy raczej w melodramacie. Będą obecni, bo dla odbiorców są bardzo ważni, a dla atrakcyjności filmu wręcz niezbędni.

Przy filmach jak „Quo vadis” zawsze pojawia się problem prawdy historycznej. Jak pan sobie z tym poradził?

Założyłem, że nie można wiernie odtworzyć tamtego świata. Mogłem tylko ten świat zasugerować: inność starożytności w architekturze, sztuce, obyczajach i mentalności. Chodziło mi o stworzenie pewnej sugestii, z której widz mógłby sobie wyobrazić tamtą rzeczywistość.

Czy wystarczy tylko zasugerować te znane, ekspresyjnie opisane przez Sienkiewicza sceny, jak ucztę i orgie Nerona, Ligię na rogach byka, pożar Rzymu, walki gladiatorów? Widzowie chcieliby zapewne, by wszystko było „jak żywe”.

Pokażemy te sceny, ale nie wiem, czy się nam uda przebić Sienkiewicza. On był genialnym scenarzystą. To, co zapadło nam w pamięć z lektury, jest tak sugestywne, że trudno temu sprostać. Zwłaszcza że większość z nas czytała „Quo vadis” w młodości i wszystko wydawało się nam wtedy wspaniałe i tajemnicze.

Sienkiewicz był – jak pan mówi – wielkim magiem, uwodzicielem i trochę upiększał historię. Na przykład widział tylko dobre strony chrześcijaństwa. Karmił nas iluzjami, bo kiedy pisał „Quo vadis” (1896), nie było Polski i należało pokrzepić nasze katolickie serca. Czy to panu nie przeszkadzało?

Szedłem za Sienkiewiczem. On jest tak świetnym żonglerem czasu i historii, że dałem

mu się uwieść. Podążałem za jego sposobem narracji, w której mieszczą się też niesłychanie ważne kwestie filozoficzne. Trzeba je tylko odczytać. Starałem się to zrobić.

Dał się pan uwieść Sienkiewiczowskiej wizji, co może być niebezpieczne, bo niekiedy staje się parodią. Przestrzegał przed tym Gombrowicz, zarzucając Sienkiewiczowi manipulację faktami i pisząc, że tortury i okropności Sienkiewicza nie wzbudzają protestu wrażliwych dziewczyn, które omdlewają, czytając Dostojewskiego, bo opisane są „dla przyjemności”.

To jest pewna konwencja, pewien sposób opowiadania. Longinus Podbipięta z „Ogniem i mieczem” jest słodkim olbrzymem, bardzo przez nas kochanym. Ale w pewnym momencie modli się do Matki Boskiej, żeby mu pozwoliła za jednym zamachem ściąć trzy głowy tatarskie. Ile tu jest humanizmu, a ile niezwykłego efektu? I to jest właśnie Sienkiewicz. On tak umiał czarować, że bynajmniej nie widziemy w Podbipięcie mordercy.

„Quo vadis” to – jak pan mówi – dramat władzy, wiary i miłości.

Zawsze uważałem, że wielka wiara, wielka miłość, wielka polityka to są problemy, które dają szansę zrobienia czegoś, co można oglądać.

Reżyser urodził się w 1922 r. Od 1951 r. zrealizował 16 filmów fabularnych. M.in. „Matkę Joannę od Aniołów”, „Pociąg”, „Śmierć prezydenta” – nagrodzone na najważniejszych europejskich festiwalach filmowych. „Faraona” nominowanego do Oscara obejrzało ponad 9 mln widzów. Od 1956 r. do dziś kieruje zespołem (obecnie studiem) filmowym „Kadr”, w którym, przy jego współudziale, zrodziła się słynna „polska szkoła filmowa”.

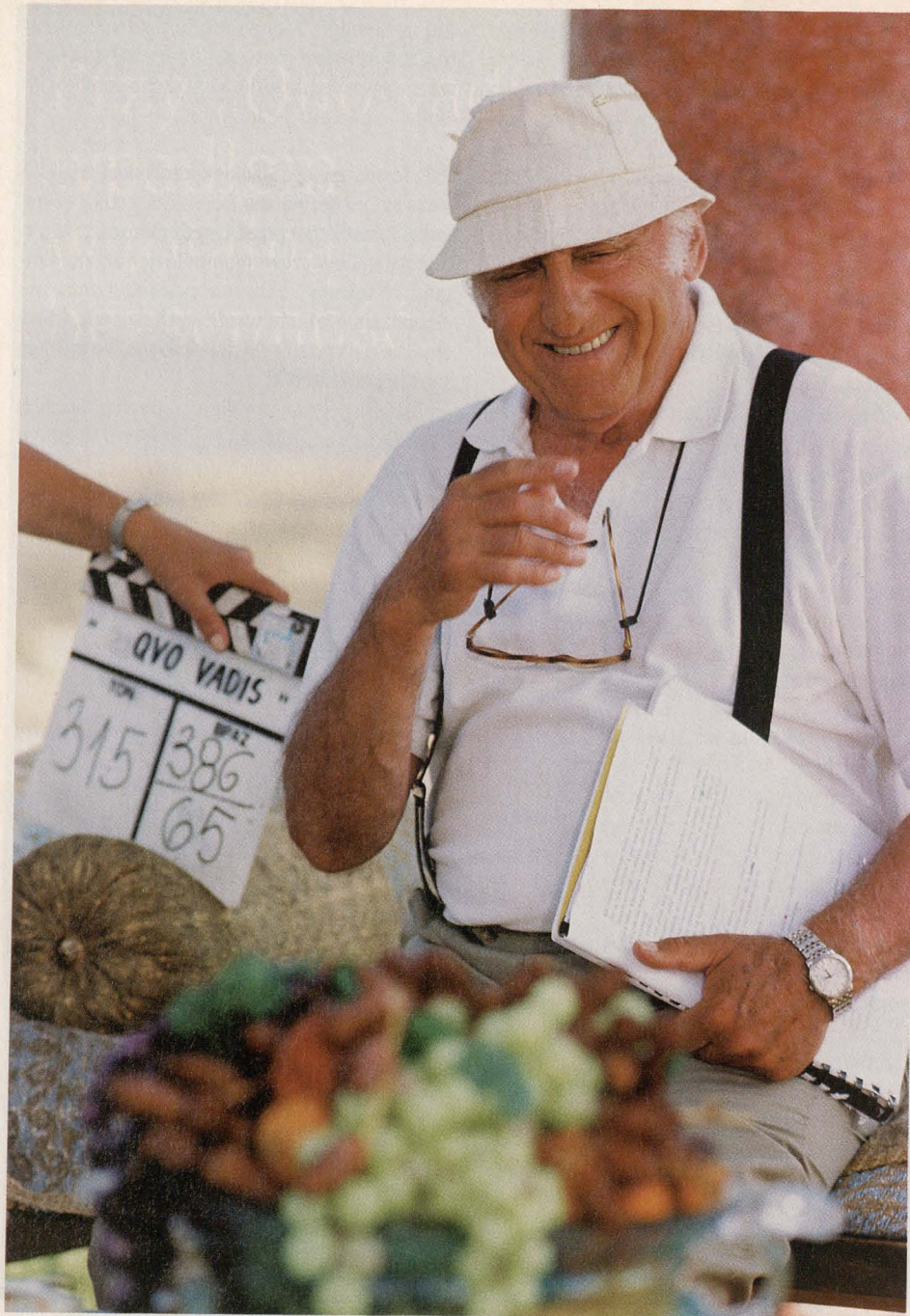
dać tylko na ekranie. Gdy te trzy tematy wiążą się w całość, wtedy zaczyna to być atrakcyjne, a nawet pasjonujące. Bo one najbardziej nas wszystkich dotyczą.

Mówił pan w jednym z wywiadów, że polityką można się nie interesować, ona kiedyś zainteresuje się nami. Panem się zainteresowała. Był pan w PZPR, był pan posłem, był w PRON-ie.

Polityka interesowała się mną wiele razy, a nawet zmuszała do składania rozmaitych deklaracji. Starałem się od tego uciekać i nie nazywać tego polityką, bo polityka nie pomaga artystcie.

Czy pana filmy były instrumentem polityki?

Oczywiście. Od tego nie można się uwolnić. Takim filmem była np. „Pamiętka z Celu-



lozy”, ale także „Matka Joanna od Aniołów”, która jest pewną dyskusją na tematy światopoglądowe, coś wyważa, pokazuje inny sposób myślenia. Podobnie „Śmierć prezydenta” – film na wskroś polityczny.

Czy jest pan człowiekiem wierzącym?

W jakiś sposób jestem wierzący, to znaczy nie mam tego prymitywnego myślenia o istnieniu Pana Boga gdzieś w obłokach. Bóg to dla mnie pewna tajemnica, nie do końca zgłębiona, ale ważna dla mojego sposobu bycia, kontaktowania się z ludźmi i ze światem.

Zgodnego z dekalogiem?

Także. Ale żeby przestrzegać dekalogu, nie trzeba być człowiekiem religijnym.

Czy to będzie religijny film?

Sądzę, że nie. To będzie film oparty na chrześcijańskich wartościach, które są potrzebne dzisiejszej ludzkości. Na zadane przez pana pytanie ładnie odpowiedział ksiądz prof. Chrostowski, który wyznał, że będzie to film głęboko humanistyczny. A dobry humanizm to jest zarazem szczerze wyznanie wiary. W filmie pokazuję, jaki jest człowiek, jaki może być, jak reaguje na dobro i zło. Jak potrafi się zmieniać.

Napisał pan w swojej książce „Więcej niż kino”, że miłość i wiara to są dwa irracjonalne pojęcia.

Istotnie, bo miłość wynika z biologii. Wiara z pewnych właściwości umysłu, a więc w ostatecznym rachunku też z biologii.

Każdy z nas jest o wiele gorszy, niż mu się wydaje.

Nie powieła pan tematów, ale istnieje chyba jakaś więź myślowa łącząca pana filmy. Coś łączy „Pociąg” i „Matkę Joannę od Aniołów” – to może być konflikt osobisty dotyczący sfery uczuć, albo „Faraona”, „Śmierć prezydenta”, a teraz „Quo vadis” – ukazujące mechanizmy polityki, władzy.

Istnieją tematy stare jak świat, do których wciąż wracamy. Też się nad nimi zastanawiam, próbuję coś wyjaśnić nie tylko widzowi, ale przede wszystkim sobie. To jest moja medytacja na te tematy.

We wspomnianej książce napisał pan, że chce, żeby widz wychodził z pana filmów mniej zadowolony z siebie, niż był przed ich obejrzeniem.

Staram się postawić przed widzami lustro, żeby zobaczyli siebie. Każdy z nas jest o wiele gorszy, niż mu się wydaje.

A co zobaczymy po wyjściu z „Quo vadis”?

Może powinniśmy się zastanowić nad samym pytaniem: „Dokąd idziesz?”. Sienkiewicz nie postawił tego znaku zapytania. Tylko raz czy dwa napisał „Quo vadis, Domine – dokąd idziesz, panie”, czyli chciał, żebyśmy sami je sobie zadali.

Podczas realizacji „Faraona” powiedział pan, że po raz pierwszy nie spał, kiedy zdał sobie sprawę, ile to kosztuje. „Quo vadis” jest największą polską superprodukcją. Kosztuje 18 mln dolarów.

Przy „Quo vadis” wpadłem w totalną bezsenność. To jest film bardzo drogi, ale nie mogę o tym myśleć, bo bym go nie skończył. Starałem się, żeby był atrakcyjną wizualnie superprodukcją, ale jednak z głębszym przesłaniem, o którym mówiliśmy.

Nie wiem, czy myśli pan o następnym filmie. Jeśli tak, mam propozycję nie do odrzucenia – remake „Pociągu”. To byłby film na czasie. Wychodzący naprzeciw marzeniom o przygodzie, o tym, że w naszej podróży przez życie spotka nas coś niezwykłego.

Tkwią jeszcze w „Quo vadis”. Pana propozycja jest bardzo ciekawa, bo wszyscy jedziemy w jakimś kierunku, choć nie bardzo wiemy, w jakim. Ta podróż staje się coraz bardziej dramatyczna. I dlatego ludzie, wsiadając do pociągu, starają się nawiązać znajomość, chętnie słuchają wynurzeń sąsiadów, obserwują i cały czas na coś czekają. Pociąg przyjeżdża do celu, ludzie wysiadają z uczuciem lekkiego zawiedzenia, bo nic ciekawego się nie zdarzyło.

Bywa jednak inaczej, czasem zdarza się happy end.

Właśnie. I bardzo za nim tęsknimy.

Rozmawiał KAZIMIERZ TARGOSZ
Zdjęcia PIOTR BUJNOWICZ

Gdy czytam „Quo vadis”



Przy lekturze Sienkiewicza nie myślę o szkołach i sposobach pisarstwa. Po prostu czytam, słucham i patrzę.

Zanim zobaczę film, po którym wiele sobie obiecuję, na nowo odczytuję powieść. Uważam jej autora za genialnego powieściopisarza i to mniemanie ciągle na nowo mi się potwierdza. Co za artysta!

Humorysta

Dziś „Quo vadis” uderza mnie przede wszystkim jako wspaniała powieść humorystyczna. Zaśmiewam się od pierwszych stron. Słynne początkowe zdanie: „Petroniusz obudził się zaledwie koło południa i jak zwykle, zmęczony bardzo”. I ileż równie świetnych zdań potem. Komiczność tego świata, zwłaszcza takiego systemu niewolnictwa, jaki tu jest pokazany. Jak to sobie dzisiejszy człowiek wyobraża? Gdyby tak mieć „familię” niewolników.

Ale sam dużo przebywam w tamtym świecie, w świecie literatury greckiej i rzymskiej i świadectw archeologicznych o nim, dostatecznie dużo, by wiedzieć, że to nie było tak. To nie było komiczne. Było zwykłe. I bardziej szare, i zarazem groźniejsze.

Jan Styka: Eunice pieści posąg Petroniusza. Pocztówka z początku XX w.



Sienkiewiczowskie wizje przetwarzali liczni artyści. Na ilustracjach – pocztówki z przełomu wieków XIX i XX.

Niewolnictwo, powiedzmy od razu, istniało nie tylko w świecie antycznym. Sami doświadczaliśmy go w systemach totalitarnych dopiero co minionego stulecia. A przedtem, podejrzewam, sytuacja chłopów na dużych obszarach Europy Wschodniej, w głąb XX w., była często gorsza niż sytu-

acja niewolników w antycznym państwie rzymskim. Dziś też istnieją różne formy niewolnictwa.

Neron jak z bajki

A z drugiej strony – praworządność tamtego państwa. Święty Paweł z Tarsu, aresztowa-

ny w Jerozolimie i przeniesiony do Cezarei, jest potem przez „setnika kohorty cesarskiej” więziony do trybunału cesarskiego w Rzymie w takich warunkach, że po drodze może kontynuować działalność apostolską. W innych państwach gnano więźniów batami. Utrzymywanie takiego nadzwyczajnego (przy całej ułomności) państwa, z którego my wszyscy w naszych lepszych skłonnościach wyrosliśmy, wymagało najwyższej czujności intelektualnej.

Dlatego nie wierzę, że taki był dwór Nerona, jaki przedstawia Sienkiewicz w swojej urzekającej wizji. To jest wspaniała bajka. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie twierdzę, że Neron rzeczywisty był sympatyczny. Ale gdyby był idiotą, jak u naszego pisarza, rządziłby niezmiernie krótko. „Do stałby w czapę” bardzo prędko. Właściwie od razu.

Wizja więc państwa rzymskiego w powieści Henryka Sienkiewicza niewiele ma wspólnego z historią. A wizja ówczesnego chrześcijaństwa? Jest, jak myślę, dużo wierniejsza, nieporównanie bliższa historii. Bo tu nasz autor ma na biurku nie iram et studium (gniew i sprzyjanie) – bardzo wielkiego, ale też rozliczającego swoje głębokie porachunki – Tacyta i nie „czarną legendę” Neronowską oraz własną fantazję. Ma zupełnie co innego, mianowicie „Dzieje Apostolskie”, zapis, którego rzetelność historyczną coraz lepiej dziś widzimy.

Prawdziwe wczesne chrześcijaństwo

Oczywiście można się spierać o różne elementy. Jednym z nich, bardzo ważnym, jest sprawa znaku krzyża. Gdy widzimy, że chrześcijanie w „Quo vadis” uciekają się do tego świętego znaku, trzeba pamiętać, że nie tylko Sienkiewicz to dopuszczał dla owego tak wczesnego okresu. Znakomity pompejanista i herkulanista włoski, Amedeo Maiuri, jeszcze w wydanej w 1977 r. książce (w wersji angielskiej) „Herculaneum” (w słynnej „sinej” serii przewodników pod patronatem włoskiego Ministero della Pubbli-

ca Istruzione) staje w skupieniu w Casa del Bicerenariu w Herkulanum, przed słynną ścianą w jednym z tamtejszych pokoiów. Oratorio cristiano. Czy ten odcisk na ścianie, tak podobny do krzyża, to tylko ślad po jakimś przytwierdzonym tu niegdyś meblu, jak się dziś nieraz twierdzi? Maiuri pisał: „Dzięki temu odkryciu chrześcijański kult Krzyża, urzędowo ustanowiony po edykcji Konstantyna i dotychczas dokumentowany niewieloma pomnikami z II i III wieku, należałoby datować już na czas przed rokiem 79 po Chr. (gdy wybuchnął Wezuwiusz), czyli na najwcześniejszy okres nauczania apostolskiego. Wprowadzenie tego kultu do Herkulanum można by przypisać działalności świętego Pawła. Skromny więc ten pokój w »Domu Dwusetlecia« przechowuje jedno z najcenniejszych świadectw o najwcześniejszej historii Kościoła”.

Wiele o tej sprawie medytuję. Piszę też o niej w „Literaturze Greków i Rzymian”, a szerzej w „Nowym Brewiarzu Europejczyka”. Nie przestanę o tym myśleć i dociekać prawdy.

Ale spójrzmy na rzecz najogólniejszą. Trzeba powiedzieć, że bajka (jak opowieść o Neronie, Petroniuszu i Eunice) może urzekać. Lecz tak naprawdę, tak głęboko, tak realnie patetyczna jest tylko prawda. Epizody chrześcijańskie w „Quo vadis” to jest inna strefa, inne piętrowe sztuki. Właśnie, kiedy jawią się święty Piotr i święty Paweł, uderza w nas cierpka siła doświadczenia. Także wtedy, gdy kochany Ursus, pokonawszy byka, obnosi wokół areny, przed ławami publiczności, zemdloną Ligię. U Sienkiewicza czytamy, że na ławach, niedawno krwiożerczych, „litość buchnęła nagle jak płomień”. Jest to zdanie innego rzędu, innej mocy, chciałoby się rzec: innej mowy nawet niż tamto pierwsze w powieści przepyszne zdanie o znużeniu Petroniusza.

ZYGMUNT KUBIAK

Profesor, filolog klasyczny, krytyk literacki, tłumacz, autor m.in. „Mitologii Greków i Rzymian” oraz „Literatury Greków i Rzymian”.

EVADENT®

Pierwsze polskie pasty do zębów z **aminofluorkami**
Zwycięstwo nad próchnicą i bakteriami!



EVADENT® SUPER
- długotrwała ochrona przed próchnicą i bakteriami

EVADENT® SENSITIVE
- długotrwała ochrona przed próchnicą oraz nadwrażliwością zębów i szyjek zębowych.

EVADENT® DLA DZIECI
- mocne mleczne zęby i zdrowe dziąsła

SKLEPY PATRONACKIE:

• BELCHATÓW "SKLEP KOSMETYCZNY", ul. Św. Barbary 8 • BIELSKO BIAŁA "BOLO", ul. Jutrzenki 22, tel. 033/ 821 79 64 • BIELSKO BIAŁA "MAGNOLIA", ul. 11-go Listopada 21, tel. 033/ 812 25 51 • BŁONIE "POLEX", ul. Traugutta 1, tel. 0 22/ 725 40 47 • BOLESŁAWIEC "DROGERIA", Pl. Piłsudskiego 1c, tel. 075/ 732 30 45 • BYDGOSZCZ "DROGERIA", ul. Teofila Magdzińskiego 4, tel. 052/ 322 47 33 • BYTOM "DROGERIA", ul. Stolarzowska 37, tel. 032/ 286 46 74 • CHOJNICE "URODA", ul. Młyńska 14, tel. 052/ 39 751 35 • CHORZÓW "WIZAZ", ul. Jubileuszowa 8, tel. 032/ 247 01 66 • CZĘSTOCHOWA "DROGERIA", ul. NMP 57, tel. 034/ 365 44 72 • DOBRYCZE "JAN", ul. Mostowa 16 a, tel. 012/ 271 03 60 • JAROSIAW "DROGERIA", ul. Grunwaldzka 11, tel. 016/ 621 55 31 • JELENIA GÓRA "FAMILIA", ul. 1-go Maja 2, tel. 075/ 752 59 23 • KIELCE "AMBER", ul. Zagórska 47, tel. 041/ 34 40 17 • KONIN "MICHAŚ", ul. Chopina 17, tel. 063/ 211 16 22 • KORONÓW "ANKA", ul. Sienkiewicza 2, tel. 0 52/ 382 21 56 • KRAKÓW "ANA", ul. Długa 72, tel. 0602 847 558 • KRAKÓW "ANEX", ul. Mogilska 1, tel. 012/ 423 20 45 • KRAKÓW "ARPOL", ul. Długa 18, tel. 012/ 422 60 45 • KRAKÓW "Bosman", ul. Os. Centrum D 1, tel. 012/ 644 17 50 • KRAKÓW "IMEX", ul. Racławicka 1, tel. 012/ 636 71 50 • ŁÓDŹ "FORTE FARMA", ul. Piotrkowska 7, tel. 042/ 630 08 51 • ŁÓDŹ "MARIA", ul. Limanowskiego 58, tel. 042/ 654 76 55 • MIECHÓW "CHEM-COL", ul. Mickiewicza 1, tel. 502 127 117 • MIŃSK MAZOWIECKI "DROGERIA", ul. Piłsudskiego 12, tel. 606 142368 • MYSŁOWICE "MSM SPOŁEM", ul. Grunwaldzka 3, tel. 032/ 22 25 149 • OPATÓW "BEST", ul. Sienkiewicza 13, tel. 041/ 247 76 16 • OSTROWIEC ŚWIĘTOKRZYSKI "BEST", ul. Ogrody 38, tel. 041/ 247 76 16 • OSTROWIEC ŚWIĘTOKRZYSKI "DROGERIA", ul. Polna 29, tel. 603 68 51 87 • OŚWIĘCIM "DORO", ul. Plac Pokoju 5, tel. 033/ 842 70 33 • OTWOCK "HALWITT", ul. Wawerska 1 b, tel. 022/ 788 47 11 • PŁOCK "DROGERIA", ul. Nowy Rynek 5, tel. 024/ 277 10 17 • POZNAN "MARIET-DROGERIA", ul. Wodna 13, tel. 061/ 852 93 12 • PRZEMYŚL "MARGARET", ul. Chmielna 1, tel. 016/ 670 83 26 • PRZEMYŚL "POMORSKI", ul. Franciszkańska 8, tel. 016/ 675 04 92 • SIEDLCE "KOSMET", ul. Kochanowskiego 7, tel. 025/ 633 91 77 • SIEMIANOWICE ŚLĄSKIE "DROGERIA", ul. Świerczewskiego 39, tel. 032/ 229 00 79 • SKARŻYSKO KAMIENNA "METRO", ul. Nowida 14, tel. 041/ 252 58 83 • STARACHOWICE "DORWAL", ul. Armii Krajowej 23, tel. 041/ 274 44 74, 274 46 10 • STRZEGOM "U PAWŁA", ul. Wojska Polskiego 41, tel. 074/ 855 23 24 • TARNÓW "D.H.OSKAR", ul. Urszulańska 5, tel. 014/ 621 93 05, 06 • WARSZAWA "FORTE FARMA", ul. Świętokrzyska/Warecka 8, tel. 022/ 826 83 20 • WARSZAWA "KOSMET", ul. Kosielska 75, tel. 022/ 810 35 43 • WARSZAWA "WAL/MAR", ul. Niemcewicz 7/9, tel. 022/ 658 03 15 • WŁOCŁAWEK "EURO-KOSMETYK", ul. Chopina 17, tel. 054/ 412 04 12 • WŁOCŁAWEK "EURO-KOSMETYK", ul. Plac Wolności 8/9, tel. 054/ 412 04 12



POSIADAMY
CERTYFIKATY

Fabryka Kosmetyków
POLLENA-EWA SA
90-616 Łódź, ul. 6 Sierpnia 15/17
tel. centr.: 42/ 633 98 55
fax 42/ 632 43 90;
e-mail: pollena@pollenaewa.com.pl
internet: <http://www.pollenaewa.com.pl>
infolinia: 0-800 168011

Nie fałszuje jak Neron

Ludzie lubią potworów, choć chcą, żeby zło było ukarane.

O ile wiem, nikogo pan nie zabił, więc co pana łączy z Neronem?

On podobno był artystą. Ja, mam nadzieję, nim jestem i jak każdy artysta mam pewne cechy charakterystyczne dla tej grupy, np. próżność i egoizm.

Kabotyństwo?

Tego może nie, bo to jest cecha ludzi nieinteligentnych.

Ale też aktorów, nawet inteligentnych.

Nie wszystkich. Spotkałem świetne aktorki i aktorów, którzy mocno stąpają po ziemi i nie ma w nich za grosz kabotyństwa. Można mi zarzucić próżność, lekki egocentryzm, ale jak się jest akceptowanym, potrzebnym, ma się swoją publiczność, liczący dorobek na estradzie, a aktorski w filmie i w teatrze, to nie ma siły – bywa się próżnym. To jest wpisane w ten zawód.

Zdobyl się pan na desperacki krok i napisał list do Jerzego Kawalerowicza, proponując siebie do ro-



li Nerona. Dlaczego tak bardzo chciał pan zagrać tę postać?

To nie był desperacki krok. Meryl Streep czy Michelle Pfeiffer, wielkie gwiazdy amerykańskiego kina, pisały do reżyserów, kiedy się dowiedziały, że powstaje film, w którym byłaby rola dla nich, a ich nie bierze się pod uwagę. Grażyna Szapołowska też napisała list do Wajdy i dostała rolę Telimeny. Ja napisałem i wygrałem zdjęcia próbne, więc nie było kumoterstwa czy desperacji. Wydawało mi się, że mając takie warunki zewnętrzno-psychiczno-aktorskie, mogę być dobrym Neronem. To zwariowana, charakterystyczna rola, w której można sobie poszaleć. Uznałem też, że jest to fantastyczna możliwość powrotu do kina w tak barwnej roli, u tak wielkiego reżysera i w takim towarzystwie.

Te warunki to nadwrażliwość i neurastenia?

Nie tylko. Zagrałem w życiu dużo ról osób chłodnych, a nawet kilku morderców. Chciałem wrócić do kina po dziesięciu latach i od razu skoczyć na wysokiego konia, z którego – mam nadzieję – nie spadnę.

Co pan wie o swoim bohaterze?

Przeczytałem mnóstwo książek bardzo różnie go oceniających. Kawalerowicz powiedział mi nawet, żebym przestał czytać, bo nie będę wiedzieć, kogo gram. Obejrzałem też swoich filmowych poprzedników w tej roli – bardzo niedobrego Brandauera oraz świetnego Ustinowa. W pracy nad tą postacią staraliśmy się wzorować na Sienkiewiczu, który przedstawił ją w niekorzystnym świetle. Próbowaliśmy Nerona trochę uczłowieczyć. Pokazać, że jego zbrodnie, manipulacje, perwersje, kręactwa, okrucieństwo, narcyzm, wszelkie wypaczenia seksualne wiązały się ze strachem przed utratą życia i władzy. Władza zawsze upaja. Agrypina, której wróżka wyróżyla, że Neron ją zabije, zawołała: „Niech zabije, byle panował”. Cesarz od dziecka росł w atmosferze mordu, bo w tamtych czasach zabicie człowieka nikogo specjalnie nie gorszyło.

Skąd w nim to zło?

Ciążyło na nim genetyczne przekleństwo. Wszyscy w rodzinie mordowali – ojciec, mat-

ka, kuzyni, wujowie, a walka o władzę, życie wśród zbrodni deprawuje człowieka i czyni go samotnym.

Agrypina powierzyła jego wychowanie Senece – jednemu z największych ówczesnych umysłów. Z nie najlepszym skutkiem.

Seneka wpajał mu przekonanie o boskości i nauczył być artystą. To dzięki niemu Neron zapragnął w śpiewie dorównać Apollinowi, a w czynach prześcignąć Herkulesa. Ale Neron uczyli też fryzjer, tancerz i gladiator.

Łatwiej być na ekranie potworem niż aniołem?

Potworem. Zagrać ciekawie osoby szlachetnej, dobrej, krystalicznie czystej jest trudniejsze. W historii kina źli cieszą się większą popularnością. Ludzie lubią potworów, choć chcą, żeby zło było ukarane. Neron jest wyjątkową postacią do zagrania, bo był nieprzewidywalny. Część działań zaplanował, ale wiele wynikało z podpowiedzi, które trafiały na zwariowany mózg. Mam przykłady takich władców w czasach współczesnych. W mojej roli nie ma nic, co by go usprawiedliwilo. Przeciwnie, pokazuję go takim, jakim był. Starłem się tylko, żeby nie wyszedł na takiego pajaca, jakim zrobił go Sienkiewicz.

Był potworem, ale i artystą, co przydaje mu ludzkich cech. Wedle zgodnej opinii był jednak marnym artystą. Pisał grafomańskie wiersze, fałszował śpiewając, jego popisy aktorskie budziły zażenowanie.

Niewiele o tym wiemy. To Sienkiewicz tak pisał. Z wierszy Nerona zachowało się zaledwie osiem wersetów. Niektórzy historycy twierdzą, że jego piosenki nie mogły być takie złe, skoro śpiewał je lud rzymski. Nie przed pałacem, ale w domach. Neron był nienormalny, despotyczny, do cna zdemoralizowany, ale jednak był artystą.

Artysta, który dostaje władzę, lub władca, który zostaje artystą, to rzecz fatalna.

Niestety. Potwierdzają to przykłady całkiem współczesne. Nie ma gorszego połączenia niż władza i sztuka. Wystarczy sięgnąć do przykładu Łomnickiego. Kiedy przestał być pośłem i dyrektorem, powrócił do złotego okresu kreacji aktorskich. To był geniusz, największy polski aktor, jak Brando czy Nicholson. Tak samo stało się z Neronem. Im bardziej stawał się artystą, wciąż pozostając władcą, tym był większym potworem. Ale na to nie ma rady. Na przykład artysta, który siada przed lustrem, maluje się, charakteryzuje, dobiera peruki, kostiumy, staje się wrażliwszy na siebie. Wychodzą wtedy wszystkie instynkty, które w nim tkwią. U jednych jest to wybuchowość, u innych kapryśność, histeryczność, a nawet ordynarność. A pogłębia to władza.

Neron poraża rozmiarami zbrodni, jak Iwan Groźny, Stalin czy Hitler, ale z racji artystycznej megalomanii budzi politowanie.

Rzeczywiście. I to chyba będzie widać w filmie, kiedy umiera. Ta śmierć budzi politowanie, a nie satysfakcję, że wreszcie umiera tyran. Jemu się ta śmierć należała, ale mógł jej uniknąć, gdyby nie był dumny i pyszny jako artysta, co zachwiało jego czujnością polityczną.

Ten wielki okrutnik bał się zabijać i bał się widoku krwi. Nie lubił też walk gladiatorów.

Wydał nawet zakaz, później cofnięty, zabijania gladiatorów.

Może dlatego, że oglądanie śmierci na scenie przyzwyczajają do myśli o własnej śmierci?

Bardzo możliwe. On się bardzo bał śmierci. Śpiewał o niej, ale jednocześnie odsuwał ją od siebie.

Historycy przedstawiają go jako demona seksualnego, rozmiłowanego w ucztach i orgiach. Przypisują mu na przykład, że przebierał się za zwierzęta, przywiązywał swoje ofiary do kolumn i obgryzał im genitalia.

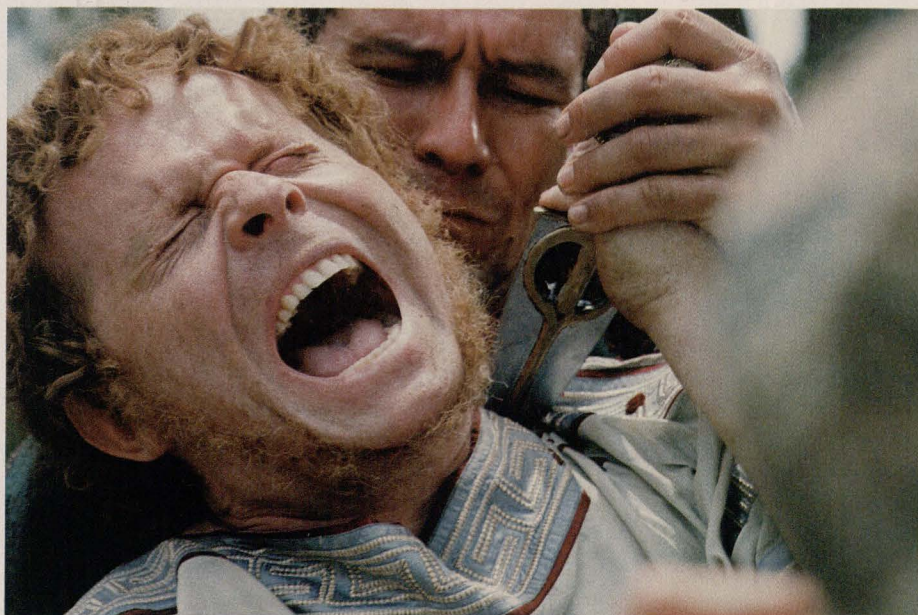
Takie rzeczy piszą o nim głównie jemu współcześni, którzy już na drugi dzień po jego śmierci chwalili go i składali mu kwiaty na grobie. Starłem się poszukać przyczyn i – jak mówiłem – nie usprawiedliwiać zła, ale pokazać go jako człowieka z krwi i kości, a nie jako wariata. On przez wiele lat nie był wariatem. Dopiero pod koniec życia stał się obrzydliwie zdemoralizowany i niepoczytalny.

Czy w filmie fałszuje pan jak Neron?

Nie, raczej staram się śpiewać pewną manierą z pogranicza opery i pieśni.

Podczas kręcenia filmu nagrał pan płytę „Kocham jutro”.

Żeby nie zwariować, odreagować psychicznie to, co działo się we mnie w związku z wcieleniem się w tak złą postać.



„Mój Neron będzie okrutny, ale i barwny” – powiedział pan w jednym z wywiadów. Czy to barwy okrucieństwa?

Nie. Nieprzewidywalność, to że się ciągle zmienia.

Może jest tak – jak mówią filozofowie – że skoncentrowane zło staje się banalne, czasem nawet śmieszne?

Być może. Neron był artystą, więc tak – ze bawił. I to będzie pokazane w filmie. Nawet jeśli nie bawił, to wszyscy udawali, że się bawią. On potrafił śpiewać i mówić wiersze przez kilka godzin. Kobiety rodziły w męczarniach, ludzie bali się wyjść za potrzebą i skakali przez mury albo udawali umarłych. A on śpiewał, nawet podczas trzęsienia ziemi. Bardzo źle znosił – i dawał temu okrutny wyraz – jeśli w jego obecności ktoś mówił dobrze o innym artyście albo, nie daj Boże, próbował jego skrytykować.

Skądś to znamy.

Żaden artysta nie znosi łatwo, gdy chwałę konkurenta. Ale też nikt nie posuwa się tak daleko, żeby z powodu krytyki kogoś unicestwić.

Czy ten film, pana bohater mają szansę zainteresować młodych?

Myślę że tak. „Gladiator” cieszył się dużym powodzeniem. Nasze kino jest artystyczne, ale temat zaczerpnięty z antyku, który nas fascynuje, grają popularni aktorzy, a poza tym to jest Sienkiewicz, którego wszyscy kochamy.

Czy po filmie młodzi powiedzą o panu: Neron OK?

Mam nadzieję, ale nie o moim bohaterze, lecz o mojej grze. Ten film, zachowując walory widowiskowe, nie będzie hollywoodzki.



W REJS PŁYNIEMY, PANOWIE

Premierzy Polski, Czech, Słowacji i Węgier po nieformalnym spotkaniu Grupy Wyszehradzkiej w Balatonszod nad Balatonem udali się w nieoficjalny rejs stateczkiem. Pewnie ostatni w takim składzie. Sondaże przed wrześniowymi wyborami w Polsce dowodzą, że trzeba by nowego cudu nad Wisłą, aby nie doszło do zwycięstwa SLD.

Dziura budżetowa, afery, nieuleczalna sytuacja w ZUS-ie oraz absolutny rekord w liczbie utraconych na finiszu ministrów to minusy rządu Jerzego Buzka. Nie ostał się nawet dyrektor Tatrzańskiego Parku Narodowego, Wojciech Gąsienica-Byrcyn. Przed tym, co na najbliższe lata wieszczą nam ekonomiści, najlepiej zamknąć oczy, jak przed skokiem na

głęboką wodę. Wiele wskazuje, że ostatnia propozycja ministra Kropiwnickiego, aby zamrozić progi podatkowe na przyszły rok – to dopiero początek radykalnych pomysłów. „Ja się boję, a jak ktoś się nie boi, to najwyraźniej nie odróżnia 50 mld nowych złotych od 50 mld starych” – wyznał prof. Marek Belka,

radca ekonomiczny prezydenta. Znaczył zarazem, że niespieszno mu fotela ministra finansów. Premier Buzek przyznaje, że zobowiązania finansowe umuśnią się w następnym roku. Ewidentnie będzie zupełnie inna ekipa przy kapitanie. I kto statek ten sam.

POŻEGNANIE Z BAUCEM

Jarosław Bauc przestał być ministrem finansów. Dziura w budżecie państwa, zgodnie z jego przewidywaniami, wyniesie ok. 85 mld zł. Eksperci uważają, że jeśli rząd nie będzie oszczędzał, niedobór w przyszłorocznym budżecie wzrośnie do 93 mld. Premier Buzek odwołał ministra nie za prognozy, ale za to, że za późno przejrzał.

VETO ŁATA DZIURĘ

Aleksander Kwaśniewski zawetował kilka ustaw (w tym prorodzinnych), uznając ich skutki finansowe za przekraczające możliwości państwa. Według resortu finansów do zawieszenia kwalifikują się 62 akty prawne spośród 103, których wprowadzenie kosztowałoby budżet prawie 13 mld zł.

SPÓR O TEMIDĘ

Sejm zaostrzył kodeks karny. Przyjął jednak zasadę, że kara nie może być wyższa od winy. Poseł Jarosław Kaczyński uznał to za dowód istnienia w Sejmie „frontu obrony przestępców”. Leszek Piotrowski, kiedyś minister sprawiedliwości, zażądał wyjaśnień, skąd rząd weźmie pieniądze na budowę nowych więzień, niezbędnych przy orzekaniu wyższych wyroków.

PRAWO KONSULTANTA

Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny zaprotestowała przeciwko powołaniu prof. Bogdana Chazana na krajowego konsultanta ds. położnictwa i ginekologii. Federacja uważa, że za sprawą profesora szpitale odmawiają kobietom zabiegu usunięcia ciąży w przypadkach, których nie kwestionuje prawo.

ROZLICZYĆ ZABORCÓW

W niemieckiej gazecie „Welt am Sonntag” minister spraw zagranicznych, Władysław Bartoszewski, oświadczył, że Polska nie zamierza reagować na ewentualne pozwy wypędzonych Niemców. Uznając ich prawo do rekompensat za mienie pozostawione za Odrą, można by również uznać pretensje Polaków pokrzywdzonych podczas zaborów.

ZACHĘTA BEZ WSKAZANIA

W homilii, wygłoszonej do pielgrzymów na Jasnej Górze, prymas Polski, kard. Józef Glemp, zapowiedział, że Kościół nie będzie wskazywał, na jakie ugrupowanie mają wierni głosować w wyborach. Zachęcił do wyboru ludzi i partii, które kierują się zasadami etyki chrześcijańskiej.



W czas „Niezbędnych żniw” żołnierze NATO zbierają w Macedonii broń od albańskich partyzantów. Znaczna jej część nadaje się, jak twierdzą władze macedońskie, do muzeum. „Ale i ona może zabić” – replikują eksperci sojuszu.



Palestynczycy zajmują pozycje na przedmieściach miasta Be-it Dżala na Zachodnim Brzegu. Izrael zgodził się na wycofanie karnej ekspedycji za wcześniejsze ostrzelanie jednego z żydowskich osiedli.



Leonid Kuczma, prezydent Ukrainy, całuje relikwiarz św. Andrzeja przywieziony z Grecji dla uczczenia rocznicy utworzenia Ławry Peczerskiej. Pierwszy klasztor na terenach dawnej Rusi Kijowskiej wzniesiono 950 lat temu, a św. Andrzej przepowiedział powstanie na peczerskim wzgórzu wielkiego miasta.



Abp Emmanuel Milingo, który wywołał zamieszanie, biorąc ślub w sekcie Moona, ogłosił publicznie, że – przekonany przez papieża – wraca na łono Kościoła katolickiego, a swoją żonę (na zdjęciu) od tej chwili będzie kochał tylko jak siostrę.



Konferencję prasową na huśtawce w parku Ujazdowskim w Warszawie odbył rzecznik AWSP, Ryszard Czarnecki.

KOREKTA CELOWNIKA

Istniejąca od 40 lat Amnesty International zamierza walczyć o ekonomiczne i socjalne prawa człowieka. Do tej pory występowała w obronie więźniów politycznych i przeciwko stosowaniu tortur. Po dokonaniu „korekty celownika”, będzie również prowadzić kampanie w obronie prawa człowieka do dachu nad głową i opieki zdrowotnej.

RÓŻNE PUNKTY WIDZENIA

Parlament peruwiański uznał odpowiedzialność zbiegłego do Japonii byłego prezydenta Fujimoriego za zbrodnie tzw. szwadronu śmierci. Na żądanie ekstradycji nie reaguje na razie rząd japoński, uważając Alberto Fujimoriego za jednego z najwybitniejszych mężów stanu Ameryki Łacińskiej.

DIALOG GŁUCHYCH

George W. Bush po raz pierwszy obarczył Jassera Arafata winą za eskalację napięcia na Bliskim Wschodzie. Ten sam zarzut postawił prezydentowi Stanów Zjednoczonych palestyński przywódca. Arafat przypomina, że – według wcześniejszych ustaleń – na obszarze Autonomii Palestyńskiej mieli być już dawno obserwatorzy międzynarodowi, ale sprzeciwia się temu Izrael.

CORRIDA W MOSKWIE

Zamiar przeprowadzenia w Moskwie portugalskiej corridy wywołał protest patriarchy Moskwy i Wszechrusi, Aleksija II, oraz przedstawicieli świata kultury i sztuki. Mimo zapewnień organizatorki, Lidii Artamonowej, że w portugalskiej corridzie nie zabija się byków, a pika torreadora wyposażona jest w gumowe ochraniacze, mer Moskwy uważa, iż walka z nimi nie mieści się w rosyjskiej tradycji.



MYŚL TYGODNIA

Zaciskanie pasa rząd i administracja państwowa muszą zacząć od siebie.

Aleksander Kwaśniewski – prezydent RP

FOT. ARTUR PAWLOWSKI/REPORTER



Profesor Tadeusz Chrzanowski odebrał z rąk kardynała Franciszka Macharskiego akt nadania Orderu Św. Grzegorza, przyznany mu przez papieża Jana Pawła II.

FOT. GRZEGORZ KOZAKIEWICZ



Wyberzemy piłkarzy, jeżeli futbolowa reprezentacja Polski awansuje do finałów Piłkarskich Mistrzostw Świata w roku 2002 w Japonii i Korei Południowej.



Było ekstremalnie. Okazało się, że skoczyć na spadochronie można także i z 452-metrowej wieży Petronas Twin Tower w Kuala Lumpur.

FOT. PAPIEPA



Setki tysięcy turystów przyciągnął bajecznie kolorowy karnawał muzyki i kultury karaibskiej w londyńskiej dzielnicy Notting Hill. Ochroną popularnej imprezy zajęło się – za 4 mln funtów – 10 tys. policjantów.

FOT. PAPIEPA



FOT. PAPIEPA

Naród norweski ze zrozumieniem potraktował ślub panny Mette-Marit Tjessem Hoiby z księciem-następcą tronu, Haakonem. Wybranka o bujnej przeszłości wyraziła ochotę rozpoczęcia nowego rozdziału w życiu. Na razie pozdrawia lud przed katedrą.



FOT. PAPIEPA

58. Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Wenecji nie tylko filmem stoi. Antyglobaliści transparentem „Nie zabijaj prawdy” powitali festiwalowe gwiazdy i VIP-ów.

Tajemnice żużlowych kloców

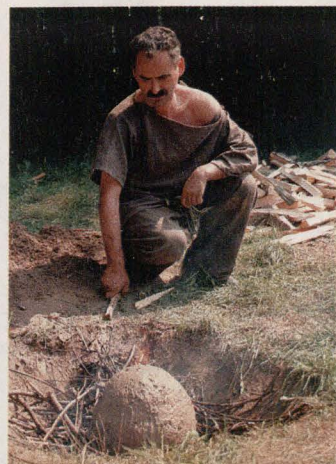
Dwa tysiące lat temu hutnicy z Gór Świętokrzyskich wytapiali żelazo metodą, której nikomu nie udało się odtworzyć.

To jedna z wielu pasjonujących zagadek cywilizacji. Starają się ją wyjaśnić archeolodzy i naukowcy z Wydziału Metalurgii i Inżynierii Materiałowej krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej.

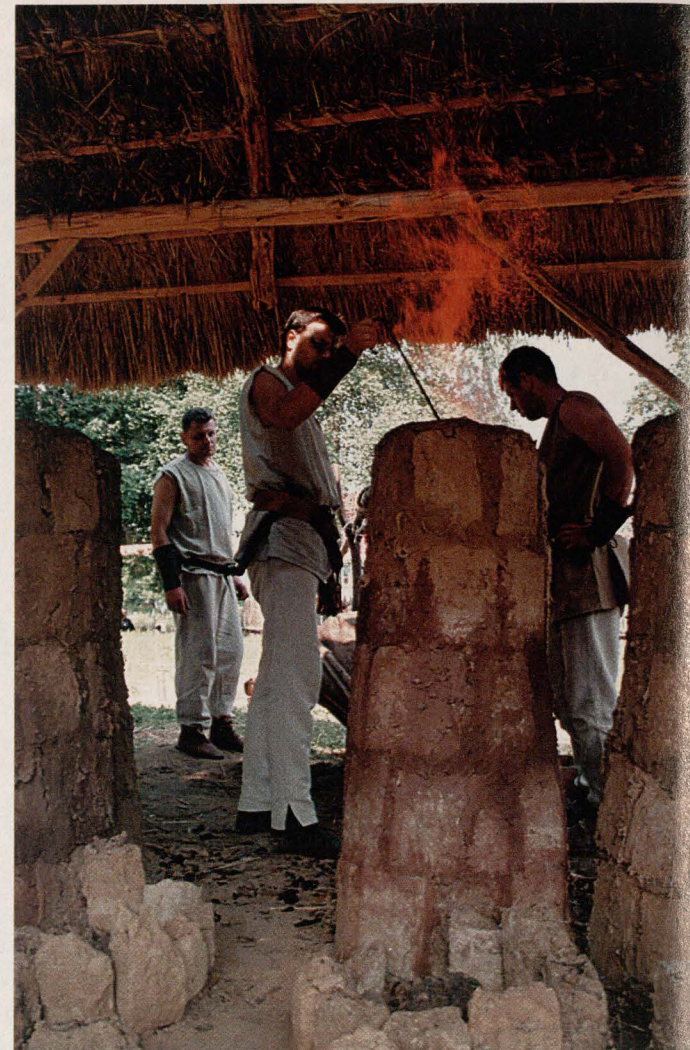
Profesor Kazimierz Bielenin zgłębia tajemnice starożytnego hutnictwa w Górach Świętokrzyskich od ponad 40 lat. Był młodym pracownikiem Muzeum Archeologicznego w Krakowie, kiedy w 1955 r. wykładowca AGH, inż. Mieczysław Radwan, poinformował dyrektora muzeum, że na północnych stokach Gór Świętokrzyskich spotyka się przy drogach wyorane z pól dziwne kłoc żużlowe, które być może są śladami starożytnego hutnictwa.

Żużel nie był wtedy gratką dla archeologów. Co innego zapinka lub miecz. Ale inż. Radwan, zanim trafił na AGH, był metalurgiem-praktykiem, głównym tech-

nologiem huty w Ostrowcu, wicedyrektorem huty „Pokój”. Zbadał kłoc żużla, które chłopcy worywali na polach, zwozili do huty w Starachowicach i sprzedali



Dr Wojciech Piotrowski z Muzeum Archeologicznego w Warszawie prezentuje metody uzyskiwania smoły i dziegiu.



Pokaz wytopu żelaza w dymarce prowadzą studenci archeologii.

wali po 10 zł za tonę. Zawierały 50 proc. żelaza. Były doskonałym surowcem do wytopu.

Mieczysław Radwan zadał sobie pytanie, jaka to technologia wytopu i z jakich czasów pozostała po sobie tak wyraźny ślad?

Pojechał wraz z metalurgiem na rekonesans w Góry Świętokrzyskie. Tak zaczęła się dla profesorów Mieczysława Radwana i Kazimierza Bielenina przygoda ze starożytnym hutnictwem. Ich odkrycia mają duże znaczenie.

Okazało się, że na północnych stokach Gór Świętokrzyskich istniał prężny ośrodek metalurgiczny. Piece wykorzystywano tylko raz. Po każdym wytopie żelaza pozostawał ślad w postaci kłoca żużla. Na podstawie znalezionych śladów piecowisk oszacowano, że w pierwszych wiekach naszej ery działało tu około 300 tys. pieców dymar-

skich. Produkcja żelaza była tak duża, że wykraczała poza potrzeby lokalnych społeczności.

Żelaza ponad miarę

Średni warsztat hutniczy miał 60-80 piecowisk. Są takie, gdzie odkryto ich 200, a nawet więcej. Do jednego pieca wkładano 200 kg rudy. Należało ją wykopać i wozem zaprzężonym w woły przewieźć kilka kilometrów z kopalni. Trzeba też było ściąć i przewozić drzewa, przygotować węgiel drzewny.

Żelazo było produktem strategicznym, drogim i poszukiwanym. Jeden wytop dawał około 20 kg. Ze stu pieców – dwie tony. A na jeden miecz wystarczył kilogram. Więc ktoś musiał organizować produkcję i rynek zbytu.

Zagadek jest więcej. Dlaczego jedno warsztaty liczą 60 pieco-



Po zakończeniu wytopu piec trzeba rozbić, żeby wydostać rudę. W czasie Dymarek Świętokrzyskich hutnikami byli studenci z Krakowa.

wisk, a inne 200? Dlaczego rozmieszczone są na północ od Kamiennej, między Bodzentynem a Opatowem?

Archeolodzy szukają też odpowiedzi na pytanie, gdzie trafiało żelazo wytopione w Górach Świętokrzyskich i jaki był związek świętokrzyskich dymarzy z Imperium Rzymskim?

W obrębie osad odkrywa się srebrne denary Wespazjana i Trajana z I w. n.e. Znajdowane są też skarby monet w Kamiennej. Czy więc może skarb 5 tys. denarów z Nietuliska Małego był depozytem przygotowanym dla odbiorcy nad Kamienną jako ekwiwalent za żelazo? Wiele wskazuje, że docierało ono na teren prowincji rzymskich, a na pewno o świętokrzyskiej produkcji Rzymianie sporo wiedzieli. Żelazo mogło też służyć do produkcji broni dla barbarzyńskich plemion w czasie ich zmagania z Rzymem.

Dr Szymon Orzechowski, archeolog, przewodniczący Świętokrzyskiego Stowarzyszenia Dziedzictwa Przemysłowego, który kontynuuje badania prof. Bielenina, przypuszcza, że żelazo z Gór Świętokrzyskich mogło trafiać nie tylko na południe, ale także, po upadku hut na Mazowszu, w strefę północną, do Gotów.

Łamigłówkę rozwiązują metalurzy i specjaliści inżynierii materiałowej. W starożytnych piecach dymarskich, gdzie ruda przechodziła proces redukcji, żużel zbierał się w zagłębionej w ziemi kotlinie, a łupka żelaza kształtowała się nad żużlem. Starożytni hutnicy po prostu ją odkuwali, a kłoc żużla pozostawał w ziemi jako ślad po piecu.

Upłynnić żużel

Dziś nikt na świecie nie umie tak wytopić żelaza w piecu kotlinkowym. Choć znamy podstawy teoretyczne procesu, podczas próby wytopu starożytną metodą zamiast łupki powstaje żużlowa bryła, w której zawieszone są ziarna żelaza.

Nad uzyskaniem kłoca żużla w piecu kotlinkowym pracują dr Ireneusz Suliga i dr hab. Mirosław Karbowniczek z Wydziału Metalurgii i Inżynierii Materiałowej AGH. Przekładają wiedzę ar-



Efekt wytopu.

cheologów na proces metalurgiczny. Stosują taką samą rudę jak w starożytności i taki sam węgiel drzewny. Budują dymarki z gliny. Eksperymentują. Mierzą temperaturę przepływu powietrza w piecu. Szukają topnika, który pozwoli upłynnić żużel.

Rzecz w tym, że w starożytnym żużlu nie ma śladów topnika. Więc może jest jakiś naturalny? W ubiegłym roku przeprowadzili próby z popiołem z paproci: spalili ich ogromne ilości, i nic z tego.

– Coś upłynniało żużel w taki sposób, że osadzał się na dnie. Tylko co? – pyta dr Jerzy Suliga. W kotlinie pieca możemy osiągnąć 800 stopni. Powinno być więcej, żeby upłynnił się żużel, ale nie więcej niż 1250, bo wtedy upłynnił się żelazo. Może w dawnych czasach wyższa była zawartość tlenu w powietrzu i w piecu osiągnęto wyższą temperaturę? Więc sztucznie napowietrzamy piec i badamy przepływ powietrza.

W eksperymencie chodzi o to, żeby uzyskać żelazo metodą redukcji bezpośredniej – bez fazy ciekłej. To nie żelazo ma stać się surówką i spłynąć na dno (jak we współczesnych metodach hutniczych), ale żużel, jak w starożytności. Idzie o znalezienie metody znanej dwa tysiące lat temu, a której nie potrafimy dziś zastosować.

Eksperyment jest wpisany w program badawczy AGH. Założenie – zrekonstruowanie procesu dymarskiego. Po co? Dla dobra nauki.

Rzymianie u stóp Łysej Góry

Program badawczy profesorów Radwana i Bielenina zaowocował powstaniem w Nowej Słupii, w miejscu odkrycia starożytnych piecowisk, oddziału Muzeum Techniki w Warszawie – Muzeum Starożytnego Hutnictwa Świętokrzyskiego oraz wielką plenerową imprezą nazwaną Dymarki Świętokrzyskie. W tym roku wytop żelaza starożytną metodą odbył się po raz 35.

Od dwóch lat impreza jest festynem archeologicznym i ludowym. Organizują go gmina Nowa Słupia, Świętokrzyskie Stowarzyszenie Dziedzictwa Przemysłowego i starostwo powiatowe w Kielcach. Patronat merytoryczny przyjął Muzeum Archeologiczne w Krakowie, AGH, Instytut Archeologii UJ, a w organizację włączyli się także miłośnicy archeologii, etnologii i rzemiosł dawnych.

W tym roku w sierpniowy weekend niewielką Nową Słupię odwiedziło około 20 tys. ludzi. Mogli zobaczyć komentowany przez archeologów i metalurgów wytop żelaza w piecach kotlinkowych i wytop eksperymentalny. Piecowisko zmieniło się w starożytną osadę, gdzie nie tylko w mielerzach wypalano węgiel drzewny i prażono rudę, którą potem wypalano w piecach dymarskich.

Miłośnicy archeologii i dawnych rzemiosł rozłożyli odtworzone wiernie warsztaty garncarza, złotnika i rymarza. Pokazali obróbkę kości i rogu, wyplatanie koszy, a nawet przygotowali dawne potrawy. Naukowcy z Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie pokazali proces uzyskiwania dziegiu i smoły drzewnej.

Na placu stawiła się też legacja (złożona z naukowców i studentów lubelskiego UMCS) rzymskich żołnierzy w strojach z epoki. Zaprezentowali kunszt walki.

Tekst i zdjęcia
MAREK MACIĄGOWSKI



DOROTA SZUSZKIEWICZ

Za najbardziej kolorowym murem w Warszawie jest zamknięty świat żyjący własnymi problemami.

Bomba w dół

W czasie prezentacji można przyrzyć się kandydatom.

Teren wyścigów konnych na Służewcu zajmuje 139 ha. Koncentrują się na nim emocje małych i wielkich graczy. Tych, co walczą o drobne stawki, oraz takich, którzy biją się o wielkie pieniądze, wpływy i stanowiska. Żadna gonitwa nie podnosi tak adrenaliny, jak walka prezesa spółki „Służewiec Państwowe Tory Wyścigów Konnych” Marka Przybyłowicza z ministerstwem rolnictwa.

Karuzela koni

Życie na Służewcu zaczyna się przed piątą rano. Wtedy przychodzą brygadziści i stajenni. Czyszczą 26 stajni i dają koniom (jest ich od 600 do 800 – zależnie od sezonu) jeść. Koń potrzebuje dzien-

nie filizanki witamin, siedmiu kilogramów owsa i tyleż siana. W stajniach gra głośno muzyka. Ma oswoić zwierzęta z hałasem na torach. Inaczej będą się płoszyć.

O szóstej przychodzi trener. To tutaj najważniejsza postać. Ma swoją firmę. Dzierżawi stajnię i teren wokół niej, dba o zaopatrzenie, zatrudnia ludzi. Jedną osobą pracuje przy sześciu, siedmiu koniach. Szczytem marzeń trenera jest wygranie derby. Wtedy nad jego stajnię powiewa niebieska flaga. Nagroda wynosi 80 tys. zł, 15 proc. tej sumy dostaje stajnia. Z tego 5 proc. wypłaca się dżokejowi, resztą dysponuje trener i może podzielić się według własnego uznania z pracownikami.

Gdy zjawia się trener, konie są wyprowadzane ze stajni i zaczynają codzienną pracę. Przyczepia się je za uzdę do żelaznych wysięgników urządzenia przypominającego karuzelę. Chcą czy nie chcą, chodzą w kółko. Przełącznik na tablicy rozdzielczej reguluje szybkość: stępa, klus. Potem są zajęcia na torze treningowym. Trener sprawdza kondycję, sprawność nóg, wsłuchuje się w oddech po wysiłku.

W południe konie są już wyczyszczone, najedzone i życie w stajni zamiera. Milknie też muzyka. Konie i ludzie są wolni. Zazwyczaj do piątej po południu, kiedy cały rytuał się powtarza.

Tylko w niedzielę konie mają wolne popołudnia. Chyba że startują w wyścigach. Bo ten rytuał służy wyścigom. A czemu służy wyścigi?

– Żeby sprawdzić dzielność konia – tłumaczy mój przewodnik, pan Leszek – co jest koniecznym elementem hodowli i selekcji. Zakłady, hazard – to sprawa uboczna.

Gonitwy odbywają się od wiosny do jesieni, w każdą sobotę i niedzielę, a w lecie również w środy. Zawsze po południu, tylko jesienią rano, bo dzień jest krótki, a tor nie ma oświetlenia.

Większość pracowników mieszka na Służewcu. Kiedy w 1939 r. powstawał tor, wybudowano mieszkania dla obsługi. Bywa, że tygodniami nie opuszczają terenu za murem. Są tacy, którzy mieszkają tu od 1946 r., od czasu reaktywowania działalności Służewca po wojnie.

Stajnia ministerstwa rolnictwa

Wyścigi Konne na Służewcu stworzyło Towarzystwo Zachęty do Hodowli Koni. Tory powstały w 1939 r. Kiedy wybuchła wojna, przyjeżdżał tu Hitler i z wieży ciśnień obserwował bombardowanie Warszawy. Potem kazał wieżę zburzyć, żeby nie przeszkadzała nadlatującym bombowcom. Jej ruiny straszą do dziś.

W 1950 r. tory odebrano przedwojennemu właścicielowi i je znacjonalizowano. Ten stan trwa do dziś. W 1994 r. Służewiec przejęła

Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa i wówczas powstała spółka „Służewiec Państwowe Tory Wyścigów Konnych”. Kilkakrotnie próbowano prywatyzować spółkę. Piękny teren przyciągał inwestorów i obawiano się, że wyścigi staną się tylko dodatkiem do ekskluzywnych osiedli i klubów.

Nie mógł się z tym pogodzić m.in. Marek Przybyłowicz. Gdy trzy lata temu został prezesem spółki, walczył, by nie dopuścić do podziału terenu, choć sprzedaż paru hektarów wybawiłaby firmę z kłopotów finansowych.

Walka przeniosła się do Sejmu i Senatu. Chodziło o znalezienie ustawy o wyścigach, tak aby uniemożliwić podział terenów. Na początku tego roku ustawa została uchwalona. Powstał Polski Klub Wyścigów Konnych wzorowany na przedwojennym Dżokej Klubie i to on otrzymał niezwykłe prawo do służewieckiego majątku. Utworzono radę Jockey Klubu, w której skład wchodzi hodowcy koni, trenerzy, ludzie związani z torami od lat. Oni wybierają prezesa.

Czerwcowe wybory wygrał Jerzy Budny, niegdyś prezes spółki służewieckiej. Ministerstwo rolnictwa odrzuciło ten wybór i wystawiło własnego kandydata: wiceministra rolnictwa Feliksa Klimczaka, w przeszłości prezesa torów w Sopocie.

Marka Przybyłowicza oburza, że, po pierwsze, minister Klimczak był w komisji sejmowej przeciwnikiem przekazania ziemi Jockey Klubowi. Po drugie, do składu rady Jockey Klubu został nagle dokooptowany doradca premiera – Andrzej Urbański. Wniosek taki złożyła obecna prezes torów w Sopocie, a więc następczyni na tym stanowisku ministra Klimczaka. Andrzej Urbański miał zwiększyć szanse ministra Klimczaka w wyborach. Jednak znów wygrał Jerzy Budny.

Minister Balazs nie chce podpisać nominacji Budnego. Twierdzi, że kandydat nie daje gwarancji właściwego funkcjonowania Polskiego Klubu Wyścigów Konnych. Przepychanki trwają.

Kadencja prezesa Jockey Klubu trwa cztery lata. Nowa ustawa o wyścigach zawiera punkt mó-



FOT. JANUSZ SOBIELEWSKI/FOTOFORUM

Gonitwa. Jeszcze biegają razem.

wiać, że „Prezes wykonuje inne zadania określone w ustawie, statucie Klubu i regulaminie wyścigów konnych”. Czy pojęcie „inne zadania” obejmuje na przykład wydzierżawienie części terenów pod luksusowe hotele lub apartamenty?

Świat pana Leszka

Pan Leszek pierwszy raz trafił na Służewiec, gdy był uczniem zawodówki. Jest żywym dowodem na to, że pierwsza wizyta na wyścigach zawsze kończy się wygraną. Kupił wtedy do domu meble i telewizor. Od tego czasu minęło dwadzieścia parę lat, a pana Leszka tak wciągnęło, że stał się właścicielem połowy dobrego konia. Niestety, na dzień przed bardzo ważną gonitwą koń złamał nogę i zamiast wielkich pieniędzy były wielkie straty. Teraz dzierżawi konia na spółkę z zaprzyjaźnionym trenerem.

Zna tu i stałych bywalców, i obsługę. Do sektora bezpłatnego wstęp ma każdy. Są tu rozsypujące się trybuny, krzywe chodniki, bary szybkiej obsługi w stylu dworcowym i oszałamiająca wielkością hala. Ciemno, ponuro i lekko. Kilkadziesiąt kas. Kasjerki wy-

glądają podobnie: jednakowy strój w barwach Totalizatora Sportowego. Większość z nich to panie w średnim wieku, z krótko przyciętymi włosami. Jest to dla nich dodatkowa, sezonowa praca. Pan Leszek przedstawia swoją żonę – kasjerkę i inspektorę. Za chwilę zjawia się jeden z trenerów i też przedstawia żonę – kasjerkę.

Po hali krążą grupkami i pojedynczo starsi panowie. Każdy z programem wyścigów i długopi-

sem. To stali gracze. Sądząc po wyglądzie, nie wygrywają zbyt często. Chodzą i dyskutują. Sporo ludzi niechlujnie ubranych, jakby przed chwilą zeszli z budowy. Najniższa stawka, za jaką można zagrać, to dwa złote. Raz ktoś zagrał tzw. kwintę za dwa złote i wygrał 60 tys.

Zaczyna się pierwsza gonitwa. Gracze wędrują na trybuny. Słychać tętent i narastający szmer głosów, potem pojedyncze

krzyki, wreszcie jeden zgodny wrzask. Przekleństwa mieszają się z radosnym wyciem i po chwili wszystko cichnie. Gracze rozchodzą się w stronę bufetów. Jest czas, żeby napić się piwa, coś przekąsić, zajrzeć do kasy, obstawić następną gonitwę. O siódmej tereny wyścigów pustoszeją. Niektórzy idą do bramy zakosami. Na wygranych czeka rząd taksówek.

Redaktor przeciw księdzu

Pan Leszek mówi, że Służewiec się wyludnia. Prezes Przybyłowicz twierdzi, że czasy się zmieniły. Ludzie mają do wyboru wiele rozrywek. Zresztą po co tłumy na Służewcu? Chodzi tylko o to, żeby ludzie grali, wpłacali pieniądze. Nie muszą tego robić na Służewcu. Prezes chciałby mieć sieć kolektur. Najlepiej ze 200 w całej Polsce. Teraz jest ich 16. Przeciętyny obrót na torach to około 400 tys. zł dziennie. Gdyby można było grać w Zakopanem, Gdańsku czy w Krakowie, byłby dwa razy większy.

Na Służewcu swoje konie miał Pershing, a jego brat ustawiał gonitwy. Skończyło się wysadzeniem mercedesa Pershinga w powietrze, a gangster cudem uniknął śmierci. Pan Leszek pokazuje ślad po dziurze spowodowanej wybuchem.

Prezes Przybyłowicz o mafii w ogóle nie chce mówić. Różne



FOT. ADAM CHLESTOWSKI/FOTOFORUM

Stawiasz 2 zł, wygrać możesz 60 tysięcy.

rzeczy się działy, kiedy tu przyszedł trzy lata temu. Burdy, awantury. Dżokejom się dostawało za ustawione gonitwy, bo to przecież łatwo poznać, więc wtedy leciały im na głowy pomidory i przekleństwa.

– Teraz jest spokój. Dżokej zarabia kilka tysięcy miesięcznie. Nie opłaca mu się ryzykować, że go zawiesimy na trzy miesiące – tłumaczy prezes Przybyłowicz.

Chce uczynić ze Służewca miejsce ekskluzywne. Żeby goście

prosto z lotniska przyjeżdżali tu zamiast do „Marriott”.

– Czyż tutaj nie jest pięknie? – pyta. – A jak będzie luksusowa oprawa, skórzane fotele, kelnerzy we frakach i wspaniałe jedzenie? Kocham to miejsce i chcę je doprowadzić do wielkości.

Dziś przyjechali wielcy hodowcy, którzy poprzedniego dnia byli na aukcji koni arabskich w Janowie. Są wytworne panie w kapeluszach, panowie w marynarkach. Niektórzy przecha-

dają się w angielskich strojach do jazdy konnej. Rzuca się w oczy redaktor Piotr Kraśko w czerwonym smokingu. Jego koń ścigał się w specjalnej gonitwie dla amatorów. Ale przegrał. Wyprzedził go koń księdza z Lubelszczyzny.

To na takich gościach zależy prezesowi Przybyłowiczowi. Dla nich wyszukiwał część terenu. Wydzielił go, odnowił, urządził. Tu wejść mogą tylko posiadacze kart wstępu. Karta na sezon kosztuje 200 zł. Dostępu strzegą ochroniarze. W dobrze utrzymanym przedwojennym budynku są kasy, gabinety dyrekcji, bary, salonik dla VIP-ów, kilka tarasów na różnych poziomach. Z nich goście mogą wygodnie śledzić przebieg gonitw.

Wszyscy czekają na najważniejszą gonitwę: bieg o Nagrodę Europy. Tłum powoli gęstnieje. Tymczasem odbywa się wyścig o nagrodę Polskiego Towarzystwa Hodowli Koni Arabskich. Faworytem jest Mont Blanc. Wygrywa nieoczekiwanie Elrun ze stajni Tadeusza Sadowskiego.

Za chwilę najważniejsza gonitwa dnia. Zapełniają się trybuny i tarasy. Konie ruszają, wszyscy wstają z miejsc. W części wydzielonej, dla wybrańców, okrzyki cichsze, nikt głośno nie przeklina. Nie ma niespodzianki. Wygrywa zdecydowany faworyt – Nedjam Lotois z Francji. Ten sam, co w zeszłym roku.

Nagroda 161 tys. zł znów pojedzie za granicę i wszyscy tego żałują. Każdy zaangażowany w wyścigi wolałby, żeby te pieniądze poszły do polskiego hodowcy.

Konie zmęczone biegami wracają do stajni. Zanim wejdą do boksów, muszą odbyć parę rund przytroczonych do karuzeli, bo po biegu nie wolno im stać beczynnie. Chodzą więc w kółko i nie wiadomo, czy wolałyby, żeby w Derby o Fotel Prezesa pierwszy dobiegł kandydat Budny, czy raczej kandydat Klimczak ze stajni „Ministerstwo Rolnictwa”, czy też może czują, że zjawi się nieoczekiwanie jakiś „czarny koń”?

DOROTA SZUSZKIEWICZ



FOT. ADAM CHLESTOWSKI/FOTOFORUM

www.warszawska-jesien.art.pl

WARSZAWSKA JESIEŃ

44. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej

21-29 września 2001

USTWOLSKA Symfonie
ZIEMIA ULRO I o Swedenborgu:
Padding/Haverkamp
MŁODE POKOLENIE
Komsta, Gryka, Talma-Sutt
Arnhold, Głowicka, Krcha, Zubel
BASSO OSTINATO
zamówienia, prawykonania
CONTINUA
PASMO NOCNE
POLDER HOLENDERSKI
VARIA

OFICJALNY SPONSOR FESTIWALU

GIEŁDA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH w Warszawie

OFICJALNY PRZEWÓZNIK FESTIWALU

LOT

PATRONI MEDIALNI

PRZEKRÓT gazeta wprost PARKIET CITY

HOTEL ORBIS EUROPEJSKI deuterium

EWA KOZAKIEWICZ

Głowynie od parady

Sztuka
jest wielka,
a artyści
mali
– mawiał
Xawery
Dunikowski.

Gigantowi polskiej rzeźby natura nie poskąpiła talentu, lecz wzrostu. Trochę ponad 1,5 m to dla ambitnego mężczyzny o wiele za mało.

W 126. rocznicę urodzin najwybitniejszego polskiego rzeźbiarza pierwszej połowy XX w. Zamek Królewski na Wawelu przygotował wystawę, która ukazuje związki twórcy z miastem i królewskim wzgórzem. Ekspozycja dzieł ze zbiorów własnych, w tym „Głów wawelskich”, ma być hołdem dla zapomnianego i prawie nie znanego za granicą polskiego artysty.

Celny strzał

– Zastąpić człowieka tseba od razu. Potem panu złość minie – spleniąc, radził swojemu studentowi Xawery Dunikowski.

Wacław Franciszek Pawliszak, ulubiony uczeń Jana Matejki i Józefa Brandta, znany był z zadziorności oraz niezrównoważonego charakteru. W 1901 r. pojedynkował się z Jerzym Antonim Austenem, też malarzem.

Po decyzji jury (zasiadał w nim Dunikowski) Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, które odrzuciło obraz Pawliszaka przedstawiający kobietę bawiącą się z Arlekinem, malarz wyzwał Dunikowskiego na pojedynek. Rzeźbiarz odmówił, twierdząc, że przeciwnik jest niepoczytalny. Obrażony, słusznej postury Pawliszak dążył do konfrontacji, a Dunikowski, obawiając się napaści, kupił pistolet.

18 stycznia 1905 r. w warszawskiej restauracji Lijewskiego przy Krakowskim Przedmie-

ściu 8 przeciwnicy naraz sięgnęli do kieszeni. Dunikowski szybciej wyciągnął pistolet i celnie strzelił. Wacław Pawliszak padł. Dunikowski o zdarzeniu zawiadomił policję. Postrzelony malarz zmarł następnego dnia w szpitalu.

Sąd uniewinnił Dunikowskiego, ale bohemę go bojkotowała. W 1910 r. Dunikowski przeniósł się z Warszawy do Krakowa.

Panu Bogu świeczkę

1 grudnia 1910 r., jeszcze w Warszawie, podpisał umowę na wyrzeźbienie „w czasie nieprzekraczalnym 4–6 miesięcy dwóch grup figur i posagu Chrystusa, jako modeli przez siebie wykonanych w gipsie, za kwotę 5000 koron”. Na kompozycję „Adoracja Chrystusa” do portalu wieży kościoła jezuickiego p. w. Serca Jezusa przy ul. Kopernika w Krakowie namówił go kolega ze studiów w krakowskiej ASP, architekt projektujący kościół, Franciszek Mączyński.

W centrum rzeźbiarz umieścił postać Chrystusa. Po bokach – Mnichów i Rodzinę. Kompozycja tak się spodobała, że trafiła na I Wystawę Współczesnej Sztuki Kościelnej im. ks. Piotra Skargi w krakowskim Towarzystwie Sztuk Pięknych w 1911 r.

Zachowało się studium do postaci Zbawiciela. Można je oglądać obok portretu Franciszka Mączyńskiego na wawelskiej ekspozycji. Rodzina i Mnisi gdzieś przepadli. „Adoracja Chrystusa” w krakowskim kościele zamyka symboliczny okres twórczości artysty.

Straszny dziadunio

– A jadł pan kiedy wątróbkę z kobiety młodej? – pytał Dunikowski emerytowanego prof. Pelczarskiego, starego młodopolskiego rzeźbiarza.

– Co też pan mówi? – dziwił się zagadnięty.

– A ja jadłem, jak byłem w Afryce – przechwalał się Dunikowski.

– To pan profesor jest ludożercą – oburzał się Pelczarski.

– A tak, a tak – cieszył się i podskakiwał Ksawciu.

Nie był wylewny, ale raz do roku, 4 grudnia, urządzał przyjęcia imieninowe w obszernej krakowskiej mieszkaniu przy ul. Karłowickiej 27.

– W Legii Cudzoziemskiej to ja nie byłem takim kozak, siedziałem jak mysz pod miotłą – opo-

wiedział. – Wtedy poznałem w Egipcie amerykańską prostytutkę, która się nawróciła i założyła klasztor, ale jej córka nie chciała do niego wstąpić, tylko dalej uprawiała nierząd. Dobrze, co?

Że Dunikowski był w Legii Cudzoziemskiej, mało kto wierzył, ale „Słownik artystów polskich” informuje o półrocznym pobycie w oddziale w Bayonne. Trafił tam w czasie I wojny światowej. Wcześniej, w 1914 r., był na stypendium z zapisu hr. M. Tyszkiewicza, który wysłał utalentowanego artystę do Londynu. Młody Dunikowski poznał tam zbiory British Museum. Wrażenie zrobiła na nim rzeźba starożytna,



Głowa wawelska – autoportret Dunikowskiego

zwłaszcza egipska, którą, obok greckiej archaicznej (klasycznego antyku greckiego nie cierpia!) i francuskiej gotyckiej, cenił najwyżej.

Ach, ten Paryż

Przy ul. Francois Gilberta miał Dunikowski pracownię. Tu prawdopodobnie powstała w 1920 r. fontanna „Kobiety kartagińskie”. Kupił ją zarząd miejski Paryża. Stała na Wystawie Sztuki Polskiej w stolicy Francji w 1921 r. Nie ocalała z II wojny.

W Paryżu urodziła się córka Dunikowskiego – Sława, owoc nieślubnego związku z piękną

polską Żydówką. Dunikowski uważał, że artysta nie powinien się żenić. Później, jako profesor ASP w Krakowie czy w Warszawie, wściekał się na studentów, którzy zakładali rodziny.

Sława przyjeżdżała do ojca, kiedy przeniósł się na stałe do Warszawy (od 1955 r.). Rzeźbiarz szczylił się nią przed znajomymi.

– Patrz, ona piękna jak anioł i podobna do mnie. Nawet linie papilarne mamy takie same – mawiał.

W czasach paryskich Dunikowski nawiązał kontakt z tamtejszymi rzeźbiarzami, m.in. z Antoine'em Bourdelle'em, twórcą pomnika Adama Mickiewicza w Paryżu.

Głowy niechciane

Te głowy chodziły ulicami Krakowa: pięknej Zofii Jachimeckiej, ze starannie upiętymi lokami, tłumaczki i znawczyni literatury włoskiej, prezydenta Krakowa Karola Rollego, wiceprezydenta Witolda Ostrowskiego.

Jak, gdzie i kiedy Dunikowski portretował śmietankę towarzyską Krakowa lat 20., dokładnie nie wiadomo. Wiemy, że już w 1924 r., po odzyskaniu renesansowych głów wawelskich, z inicjatywy Adolfa Szyszko-Bohusza, stojącego na czele Kierownictwa Odnowienia Zamku, postanowiono, że należy uzupełnić puste kasetony w Sali Poselskiej na Wawelu.

Decyzję podjął 21 lutego 1925 roku Komitet Lokalny Wawelski: prof. Józef Gałęzowski, dr Stanisław Tomkowicz, architekt Tadeusz Stryeński oraz prof. Adolf Szyszko-Bohusz.

Strop zdołały pierwotnie 194 głowy. Wykonał je Sebastian Tauerbach i współpracownicy około 1540 r. Zachowało się 30, uratowanych przez księżnę Izabelę Czartoryską.

Xawery Dunikowski przedstawił sześć próbnych rzeźb. Komisja zaaprobowwała je i zleciła artystce wykonanie reszty. Dunikowski rzeźbił głowy w latach 1925–1928.

Z „Głosu Narodu” z 1927 r. wiemy, że mistrz wyrzeźbił już 60 głów. Wycinał je z drewna, modelował w gipsie. Jednej głowie poświęcał 50 godzin pracy.

Im bliżej końca dzieła, tym bardziej – jak to w Krakowie – sprawa rzeźb na Wawelu stawała się dyskusyjna. Czy można mieszać oryginalne głowy renesansowe ze współcześnie wykonanymi? A może oddzielić je od siebie rozetami?

Dyskusja nasiliła się przed przyjazdem na Wawel w 1927 r. prezydenta Rzeczypos-



Józef Dietl w drodze na cokół, pod czujnym okiem Xawerego Dunikowskiego.



FOT. JAN MOREK/FOTOFORUM



Fasada kościoła Jezuitów, Kraków



Popiersie Witolda Jodko-Narkiewicza

spolitej Ignacego Mościckiego. Kilka gotowych rzeźb zawisło w kasetonach, ale które i na jak długo – nie wiadomo. (W archiwum wawelskim nie ma dokumentacji. Zniszczyli ją Niemcy.) W 1928 r. urządzono sąd nad głowami. Dr Tadeusz Szydlowski – konserwator województwa krakowskiego podczas obrad Komitetu Robót w Gmachach Reprezentacyjnych RP 12 lipca 1928 r. wypowiedział się przeciwko umieszczeniu rzeźb Dunikowskiego. Jego stanowisko poparli prof. Leon Piniński oraz prof. Władysław Tatarkiewicz. Jedynie prof. Wojciech Jastrzębowski uważał, że należy je tam umieścić, gdyż są „dziełem prawdziwego artysty”. Ostatecznie zostały wycięte.

„W stropie Sali Poselskiej mogą być pozostawione stare głowy oryginalne, jednakowoż nowych głów osadzać nie należy”. Decyzję potwierdziło Ministerstwo Robót Publicznych 29 grudnia 1928 r. Wywołała ona gorzkość i żal rzeźbiarza: Dunikowski miał zrobionych 70 rzeźb w gipsie i kilkanaście w drewnie. Na Wawelu znajdowało się 12 prac w drewnie oraz około 16 w gipsie.

„Są to po prostu arcydzieła. Są żywe, tak wymowne i tak dalece z owych czasów, że można by je uznać za głowy zrobione przez nieznanego wielkiego mistrza renesansu” – napisał w „Kurierze Warszawskim” w 1927 r. wybitny krytyk Jan Kleczyński.

Głowy wawelskie zalicza się do najlepszych dzieł artysty. 12 drewnianych i dwie gipsowe, obok innych dzieł darowanych przez Dunikowskiego Wawelowi, warto zobaczyć.

Pomysł wypełnienia pustych kasetonów stropu Sali Poselskiej pojawił się w historii Wawelu na początku lat 50. Najwyższe władze polityczne – inicjatorem był Włodzimierz Sokorski – rozważały projekt umieszczenia tam głów „najwybitniejszych działaczy par-

tyjnych i państwowych polskich i przywódców sąsiadujących państw”.

Umierający amarylis

To tytuł najpiękniejszego obrazu z cyklu „Oświęcim”, powstałego w latach 1948–1955. Oprócz cyklu i kilkustronicowej informacji napisanej na prośbę Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, rzeźbiarz o tym, co przeżył w obozie, nigdy nie mówił.

Po beztroskim, pogodnym lecie 1939 r., które spędził w Harendzie w Zakopanem, został aresztowany 24 kwietnia 1940 r. i osadzony w areszcie na Montelupich. Do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu trafił pierwszym krakowskim transportem, 20 czerwca 1940 r. Na pięć lat stał się numerem 774, przydzielonym do bloku nr 3. Miał 65 lat. Najpierw obierał ziemniaki, potem dostał się do stolarni, gdzie rzeźbiono drobne przedmioty z drewna: łyżki, noże do rozcinania papieru, okładki do albumów, drewniaki. Wśród pracujących w stolarni i innych obozowych warsztatach spotykał swoich byłych uczniów z krakowskiej ASP. Zdarzało się, że zmęczonego, wyczerpanego profesora nosili na rękach w drodze z pracy do bloku.

W warsztatach potajemnie rysował, a więźniowie pracujący w komandach wynosili z obozu jego rysunki. Dunikowski portretował współtowarzyszy niedoli. Oficjalnie robił dekorację na wizytę Reichsführera SS Heinricha Himmlera – szkic posrebrzanej czaszki. Zlecono mu też wyrzeźbienie ulubionego konia – araba jednego z wysokich funkcjonariuszy SS. Praca przy makiecie rozbudowującego się obozu uratowała Dunikowskiemu życie.

„Będąc chorym na plamisty tyfus leżałem w szpitalu. (...) Wszystkich zabrano i wysyłano do gazu, ocalało nas cudem po prostu 25 osób i ja między nimi, gdyż polecono mi zro-



Kobiety brzemiennie. Królikarnia, Warszawa

bić model łagru i byłem im potrzebny” – napisał we wspomnieniach.

27 stycznia 1945 r. Armia Czerwona wyzwołała obóz. Przez rok chorował. W 1946 r. rozpoczął pracę w krakowskiej ASP.

Co ten Ksawciu wyrabia?

– Jakies piece kaflowe stawia? – zdziwił się Stanisław Eibisch, ówczesny rektor ASP, zatrzymując się przy kariatydach stojących obok pracowni profesora. To były modele na konkurs pomnika Czynu Powstańczego na Górze św. Anny.

– Mnie się wtedy podobały – mówi Marian Konieczny, uczeń profesora. – Dziś już nie.

Do korekt prac swoich uczniów Dunikowski się nie przykładał. Żył własnymi problemami twórczymi, ale przed przeniesieniem do Warszawy postanowił w 1955 r. – jak wspomina Bronisław Chromy – urządzić w Krakowie wystawę pożegnającą „Dunikowski i jego uczniowie”.

Chromy, wówczas student V roku, przygotowywał kompozycję „Gitarzystów”. Zatrut się bigosem, pracował na siłę i wyszła chała. Kiedy mistrz ujrzał „Gitarzystów”, spurpurowiał i zaczął wymyślać.

– Panie, kto pana wpuścił na Akademię? Woźny? A może przez okno się pan zakradł?

Chromemu wszystko się zaważyło – znalazł się w klinice psychiatrycznej. Cztery miesiące szprycowano go zastrzykami, aż któraś z lekarek powiedziała: – Weź się pan w garść i jedź gdzieś na łono natury, a wszystko przejdzie. Przeszło.

– Wielu studentów Dunikowski dołował: dziewczyny ryczały, chłopcy chodzili się upić, a inni, jak ja, rzucali się z siekierą na swoje rzeźby – wspomina Chromy.

Był złośliwy nie tylko dla studentów. Do swego asystenta potrafił powiedzieć: – Panie, miałem wieczne pióro, pelikana, i nie mogę go znaleźć, a byliśmy w pokoju tylko ja i pan.

Staremu hrabiemu Łosiowi, który dorabiał pozowaniem, na skargi, że mu zimno siedzieć rozebranemu do pasa, ciepło otulony Dunikowski odrzekł: – Wcale nie jest tak zimno.

Rzeźby w wazelinie

W 1955 r. Dunikowskiego zaproszono do udziału w zamkniętym konkursie rzeźbiarskim na pomnik Stalina.

– Widziałem model wykonany w skali 1: 5. Miał około 2,5 m wysokości – wspomina uczeń Dunikowskiego, Marian Konieczny.

Model miał formę skubizowanego kłoca. Stalin stał w postawie napoleońskiej, z ręką wsuniętą za poły marynarki. Odwilż 1956 r. zmieniła politykę w Polsce i monumentu nie zrealizowano.

Wszyscy, którzy narzekali na obrzydliwy „komin” stojący do niedawna na placu Wolności, obecnie Inwalidów, w Krakowie, powinni się cieszyć, że nie doszło do realizacji projektu Xawerego Dunikowskiego. Rzeźbiarz na konkurs pomnika wyzwolenia Krakowa przez Armię Radziecką wymyślił 30-metrowy sierp i młot.



„Xawery Dunikowski. Dzieła w zbiorach wawelskich”. Zamek Królewski na Wawelu – Centrum Wystawowo-Konferencyjne. Ekspozycja czynna od 16 sierpnia do 16 września 2001, codziennie od godz. 10.00 do 16.30.

– To miało być wyższe od okolicznych kamienic. Mistrz lubił zadawać szyku – śmieje się Marian Konieczny.

– Ksawciu był bardzo za władzą ludową. Na 1 Maja zawsze przypinał order Budowniczych Polski Ludowej, tym się szczycił – mówi jego bliski współpracownik.

Dunikowski otrzymał m.in. Państwową Nagrodę Artystyczną, Nagrodę Państwową I stopnia (za pomnik Czynu Powstańczego na Górze św. Anny), order Sztandaru Pracy I klasy i nagrodę I stopnia Ministra Obrony Narodowej za twórczość o tematyce wojskowej.

Wbrew pozorom trudno doszukać się w twórczości Dunikowskiego wpływu socrealizmu. Tylko jedną rzeźbę, „Głowę żołnierza radzieckiego” z 1949 r. (studium do pomnika w Olsztynie), można przyporządkować do ówczesnie obowiązujących wytycznych, choć niektórzy krytycy – na przykład

Mieczysław Wallis w „Sztuce polskiej XX wieku” – mówią tu o fascynacji prostotą rzeźby afrykańskiej.

W erze socrealizmu Dunikowski kierował Katedrą Rzeźby ASP w Krakowie. Jego studenci mieli swobodę. Formistyczne i abstrakcyjne wygibasy zalegały pracownię. Kazał je sprzątać i chować do piwnicy, gdy zapowiadano wizyty przedstawicieli środowiska artystycznego z Kraju Rad.

Po XIX Zjeździe WKP (b) w 1952 r., kiedy władze radzieckie ogłosiły, że realizm socjalistyczny jest obowiązującym nurtem w sztuce, również w Polsce, wręczył studentowi broszurę z zaznaczonymi punktami. – Niech pan to odczyta – powiedział, po czym bez słowa wyszedł z sali.

– Widziałem już rzeźby w glinie, marmurze i brązie. Pierwszy raz widzę w wazelinie. W wazelinie pierwszy raz – skomentował wystawę w Zachęcie, na której królowały figury robotników z kilofami i pełne patosu popiersia dostojników.

Xawerego Dunikowskiego niektórzy historycy i krytycy sztuki (Wiesław Juszczak, Antoni Lange, Mieczysław Treter) cenią głównie za twórczość przedwojenną. Za pełne uniesienia rzeźby powstałe w okresie neoromantyzmu. Za dzieło najwybitniejsze uchodzi cykl „Kobiety brzemienne”. Kazimierz Wyka napisał o tych figurach: „Nasycone są aż po ostatni fałd i rąbek ubioru pełnią treści psychicznej”.

Uznanie znajduje doskonały, stojący na placu Wszystkich

Świętych w Krakowie pomnik Józefa Dietla (1936 r., brąz). Autorzy „Leksykonu sztuki polskiej XX w.” dopatrują się w nim echa fascynacji stylem Rodina.

Po II wojnie w rzeźbach Dunikowskiego widać bezduszne formistyczne zagrywki. Wielki rzeźbiarz miał tego świadomość. Zwierzył się swojej asystentce Wandzie Ślędzińskiej, że coś zagubił w swojej twórczości, ale nie wyjaśnił dokładnie, co.

Pod koniec życia bardzo chciał mieć własne muzeum w Warszawie. Obiecano mu i dano. W rok po śmierci, w tzw. Królikarni na Mokotowie.

– Już niewiele brakuje mi do setki – chwalił się szeptem. Nie doczekał stu lat. Zmarł w Warszawie 26 stycznia 1964 r.

EWA KOZAKIEWICZ

Fot. GRZEGORZ KOZAKIEWICZ

TEKST LESZEK MAZAN
ZDJĘCIA ADM

Wojna, o której nie mówi się przy paniach

Jedynym państwem, które u boku Hitlera zbrojnie uczestniczyło w agresji na Polskę, była Słowacja. Jedyną jednostką, która stanęła do walki w obronie Polski, był Legion Czechów i Słowaków.



Marszałek Keitel przed frontem kompanii honorowej wystawionej na jego cześć w Bratysławie. Z lewej: minister obrony Słowacji, gen. Catlos, i niemiecki ambasador, SA-Gruppenführer Hans Ludin.

W nocy z 19 na 20 sierpnia 1939 r. ambasador RP w Rzymie Bolesław Wieniawa-Długoszowski uzyskał od dyplomatów francuskich i angielskich nieoficjalne potwierdzenie najgorszych przypuszczeń polskiego MSZ i wywiadu wojskowego: w pierwszej fazie wojny z Niemcami cały jej ciężar spadnie wyłącznie na Polskę.

Jeszcze tej samej nocy Wieniawa poinformował o tym posła Republiki Słowacji przy Watykanie, Karola Sidora, i przybyłego właśnie z Bratysławy słowackiego działacza politycznego, znanego polonofila – Pavola Czarnogurskiego. W rezultacie nad ranem szef sztabu generalnego armii sło-

wackiej, gen. Augustin Malar, otrzymał ściśle tajną depeszę z Rzymu: tajne plany militarnego współdziałania z Warszawą są nierealne. W nadchodzącej wojnie polsko-niemieckiej – depeszcował Sidor – Słowacja winna zachować neutralność.

Zza ściany Tatr

14 marca 1939 r. w miejscze Czechosłowacji powstał Protektorat Czech i Moraw oraz oficjalnie niepodległa, w rzeczywistości całkowicie satelitarna wobec III Rzeszy, Republika Słowacka. Na mocy układu Berlin-Bratysława z 23 marca 1939 r. Niemcy

podjęły się ochrony niepodległości i integralności Słowacji, otrzymując prawo budowania baz wojskowych i utrzymywania garnizonów w zachodniej części Słowacji (do linii Wag-Czadca). To właśnie stąd miały zaatakować Polskę od południa armie niemieckie.

„Współpracę z Niemcami uważamy za smutną konieczność, z której należy wynieść możliwie największe korzyści przy minimum ofiar” – cytował słowackiego ministra obrony narodowej gen. Ferdinanda Czatlósa w depeszy do MSZ nasz chargé d'affaires w Bratysławie, Mieczysław Chałupczyński. Ber-

lin jednak naciskał coraz mocniej. 17 czerwca 1939 r. odbyło się w Bratysławie wspólne posiedzenie rządu słowackiego, przedstawicieli rządu Rzeszy oraz wyższych oficerów niemieckich. W jego wyniku wzmocniono wojskiem posterunki graniczne, a słowacki kontrwywiad miał przeciwdziałać przenikaniu polskich szpiegów oraz uciekających do Polski, pragnących walczyć z Niemcami dezertarów z armii słowackiej do utworzonego w Krakowie Legionu Czecho-słowackiego. Zgodnie ze wskazaniami niemieckich fachowców dostosowywano do potrzeb wojska trasy komunikacyjne na północ, m.in. mosty na Wagu i Orawie. Niemcy otrzymali swobodę korzystania z linii kolejowej Czadca-Żylin-Bratysława oraz prowadzącej w tym kierunku szosy i innych dróg położonych już na wschodnim brzegu Wagu i Kisucy. Pomagano w budowie baz zaopatrzeniowych Wehrmachtu i Luftwaffe. W Spiskiej Nowej Wsi – tuż nad granicą polską – zgromadzono sześć wagonów 500-kilogramowych bomb lotniczych i 200 tys. litrów benzyny. Oddziały armii słowackiej miały pomagać przy ochronie i obsłudze 70 niemieckich

bombowców, które właśnie z baz w Spiskiej Nowej Wsi, Winnem i Pieszczanach wystartowały wczesnym rankiem 1 września na Kraków i Warszawę. Wcześniej z lotnisk tych wzbijały się w powietrze, naruszając polską granicę, niemieckie samoloty rozpoznawcze.

Jeśli nie chcemy rozbioru Słowacji

Równocześnie oficjalna propaganda nasiliła kampanię antypolską. Nie było to trudne: Słowacy nie mogli pogodzić się z zajęciem przez Polaków w 1938 r. skrawków terenu w Czadeckim, na Spiszu i Orawie o łącznej powierzchni 220 km kw. z ok. 4,5 tys. ludności. Dodatkowego argumentu dostarczył poseł słowacki w Warszawie, Ladislav Szthmary. Chcąc za wszelką cenę nie dopuścić do wojny polsko-słowackiej, informował swoje MSZ, powołując się na wymyślone przez siebie „źródło”, iż rząd polski po zwycięstwie nad Niemcami zamierza – wraz z Węgrami – dokonać całkowitego rozbioru Republiki Słowackiej. Lepiej więc już teraz stawiać na Warszawę niż Berlin.



Słowacka warta na dworcu w Zakopanem.



Bratysława – fragment miasta (fot. z 1939 r. – sprzed wybuchu wojny).

Efekt dyplomatycznej mistyfikacji był całkowicie inny od planowanego. „Dla Polski nie może być ratunku – pisano w tygodniku „Slovak” – nadchodzi godzina sądu i sprawiedliwości”. I choć owe nawoływania słabo przekładały się na nastroje, zwłaszcza w wojsku, to propolskie lobby z dnia na dzień traciło w rządzie księdza Józefa Tiso wpływy i znaczenie. 2 sierpnia słowackie ministerstwo obrony zatwierdziło plan operacji. Celem wspólnych z jednostkami niemieckiej Grupy Armii „Południe” działań bojowych miało być wsparcie, manewrem oskrzydlałym z Moraw i Śląska, ataku na tyły polskich sił zbrojnych. Manewr przeprowadzić miał nowo utworzony 51-tysięczny korpus „Bernolák”. Składał się z trzech wspartych lotnictwem dywizji piechoty pod dowództwem mini-

stra obrony narodowej gen. Ferdinanda Czatlosza, do którego Niemcy oddelegowali gen. Englebrechta. Na zachód od Tatr mieli uderzyć Niemcy, na wschód – Słowacy.

W nocy z 22 na 23 sierpnia sfanatyzowany tłum, złożony głównie z wyselekcjonowanych członków organizacji profaszystowskich, zdemolował mieszkanie polskiego chargé d'affaires w Bratysławie. Następnego nocy oddział słowacki napadł na tunel kolei Łupków-Cisna.

Niemiecko-słowackie braterstwo broni

24 sierpnia niemiecko-słowacki oddział dywersyjny Abwehry zaatakował należący wówczas do Polski tunel i stację kolejową Mosty na Przełęczy Jabłonkowskiej na Zaolziu. Cztery dni póź-

niej niemieckie jednostki pancerne, piechota i dywizje górskie, pod pozorem „zapewnienia Słowacji obrony przed Polską” wkroczyły pod Tatry, w dolinę Orawy i na Spisz. W tym samym dniu premier Tiso podjął ostateczną decyzję o wojnie z Polską po stronie „zaprzysiężonej armii niemieckiej”, ogłosił mobilizację oraz wprowadził w armii stan gotowości bojowej.

Dowództwo armii słowackiej nie znało dokładnego terminu ataku. Zaskoczony Czatlosz odmówił wykonania poleceń niemieckich, żądając oficjalnego rozkazu premiera i kapitulując dopiero przed przyłożoną mu do głowy lufą niemieckiego pistoletu. Sam premier (później prezydent) po wojnie, podczas swego procesu oświadczył, że o przygotowaniach swojej armii nie miał pojęcia, a o przekrocze-

niu granicy polskiej dowiedział się z depeszy gen. Czatlosza. Sąd nie dał wiary tym twierdzeniom, co stało się jednym z powodów, dla których Tiso trafił na szubienicę.

1 września o godz. 5.00 w okolicach Spiskiej Starej Wsi na terytorium polskie wdarła się 1. dywizja gen. Pulanicha, walcząca u boku 14. armii niemieckiej, wchodząc na głębokość 25 km i zajmując m.in. Jaworzynę, Czorsztyn, Krościenko i Zakopane.

2. dywizja gen. Czunderlika nie brała udziału w bezpośrednich walkach, zabezpieczając jedynie zajęte przez Niemców tereny w rejonie Przełęczy Dukielskiej. 3. dywizja natomiast uderzyła samodzielnie z rejonu Medzilaborców w kierunku na Sano-lesko-Baligród, przenikając do 11 września 60-90 km w głąb polskiego terytorium. Prawie nigdzie Słowacy nie napotkali większego oporu. Polskie siły zbrojne nie zdążyły się odpowiednio przygotować na wymierzony znienacka cios z południa.

W przeciwieństwie do oddziałów pozostających pod bezpośrednią kontrolą niemiecką, atakujących w rejonie Spisza i witanych w niektórych wioskach jako wyzwoliciele, żołnierze i oficerowie 3. dywizji walczyli bardzo niechętnie, gen. Czatlosz musiał wydać specjalny rozkaz wzywający do boju i dyscypliny. Oficjalna propaganda przedstawiała inny obraz „bohaterskich walk”, akcentując narodziny „niemiecko-słowackiego, złączonego wspólnie przelaną krwią, braterstwa broni”.

Oto dlaczego nieszczęsna wojna z Polską w 1939 r. jest dziś nawet w najbardziej nacjonalistycznych kołach słowackich tematem z gatunku tych, „o których nie mówi się przy paniach”.

Parada zwycięstwa w Zakopanem

W Zakopanem gen. Czatlosz odebrał Paradę Zwycięstwa. Hitler w oficjalnym oświadczeniu bardzo wysoko ocenił postawę i zasługi wojsk słowackich, szczególnie w walkach o Ochot-

nicę. Generałowie Czatlosz, Pulanich i Malar otrzymali Krzyże Żelazne. Führer oświadczył: „Od dziś dnia Niemcy nigdy i nikomu nie pozwolą naruszać praw Słowacji”.

Wszystkie oddziały słowackie wycofano do połowy września z terenów polskich okupowanych przez Niemcy. Podliczono straty: zginęło 18 żołnierzy, 46 zostało rannych, 11 uznano za zaginionych. Straty te słowacki historyk dr Vladislav Szmiuhla przypisuje raczej trudom wojennym, a nie bezpośrednim walkom.

Terytorium faszystowskiej republiki powiększyło się o przekazane zgodnie z decyzją rządu w Berlinie wioski na Jaworzynie, Spiszu i Orawie – w sumie 770 km kw z 34 509 mieszkańcami. Niemcy – pisze w swych pamiętnikach Czatlosz – proponowali Bratysławie znacznie więcej: granica z Generalną Gubernią miała bieć po północnej stronie Wysokich Tatr, od Dunajca na wschodzie aż po Babią Górę. Tym koncepcjom terytorialnym sprzeciwił się ks. Tiso. Do Słowacji przyłączono jedynie tereny, które Polska „zagrabiła” w 1920 i 1938 roku.

LESZEK MAZAN

Korzystałem z nagrań z niepublikowanej rozmowy z nieżyjącym już dr Pavolem Czarnogurskim oraz z artykułów historyków polskich i słowackich, m.in. Jerzego Kuplińskiego i Andreja Hrnki.



Generał Holys dowodzący korpusem armijnym uczestniczył we wręczeniu „Krzyży Żelaznych” żołnierzom słowackiego pułku.

Na planie „Quo vadis”

Zdjęcia PIOTR BUJNOWICZ



Film Jerzego Kawalerowicza to pierwsza polska ekranizacja „Quo vadis” i najdroższe przedsięwzięcie w dziejach rodzimej kinematografii.

Nagrodzona literackim Noblem powieść Henryka Sienkiewicza była wielokrotnie ekranizowana.

W 1899 r. bracia Lumière, kręcąc kilkunastosekundowy film „Neron wypróbowujący truciznę na niewolnikach”, czerpali inspirację z dzieła Sienkiewicza. Dwa lata później Ferdynand Zecca nakręcił krótki film „Quo vadis”, pierwsza zaś pełnometrażowa wersja powstała w roku 1912. Film Enrico Guazzoniego pokazywał najważ-

niejsze sceny powieści: pożar Rzymu, orgię w pałacu, lwy pożerające chrześcijan, „pochodnie Nerona” (czyli ludzi palonych na stosach, znanych w Polsce z obrazu Henryka Siemiradzkiego) i śmierć Petroniusza.

Budżet filmu – zaplanowany pierwotnie na 12 mln dolarów – przekroczono o 6 mln. Zdjęcia – jak na superprodukcję przystało –

trwały niemal pół roku. Zużyto 95 kilometrów taśmy Kodaka i nakręcono 55 godzin materiału, który będzie wykorzystany w serialu telewizyjnym.

W filmie występuje 70 aktorów w rolach pierwszo- i drugoplanowych. W scenach zbiorowych towarzyszy im ponad 1700 statystów. Na







planie pojawiło też 50 zwierząt, m.in. 30 koni, 3 byki i 15 lwów sprowadzonych z Czech. Na szczęście obyło się bez kłopotów – warto przypomnieć, że na planie „Quo vadis” z roku 1924 lew rozszarpał jednego z aktorów.

Film realizowano w Tunezji, Francji i we Włoszech. Tam skupiono się na śródziemnomorskich plenerach. W Polsce natomiast nakręcono sceny rozgrywające się we wnętrzach.

Jedenaście specjalnie wybudowanych dekoracji kosztowało prawie 4 mln dolarów. Na stadionie „Warszawianki” na Mokotowie wzniesiono rzymski amfiteatr, gdzie filmowano sceny z lwami, pojedynek Ursusa z bykiem Toro i sceny krzyżowania chrześcijan. Pod Piasecznem

stało Zatybrze – dzielnica rzymskiej biedoty ze świątynią, domem Kryspusa i mieszkaniem Chilona Chilonidesa oraz imitacja mostu na Tybrze i Forum Romanum. Jak wiadomo, miejsca te płoną po zaprószeniu ognia przez Nerona. Tak też się stało z dekoracjami. W Modlinie powstały wnętrza pałacu cesarza Nerona, domu Petroniusza i domu Winicjusza.

Tak wielki nakład pracy i pieniędzy pozwala mieć nadzieję, że ani jedno, ani drugie nie poszło na marne. Oby największe przedsięwzięcie w dziejach polskiego kina stało się także wielkim wydarzeniem artystycznym.

JACEK ZIEMEK



Sofia, mądra i wrażliwa

BOGNA WERNICHOWSKA

95 proc. Hiszpanów uważa, że mogłoby się zaprzyjaźnić ze swoją królową.



Pochodzenie ma iście królewskie.



Juan Carlos z królową podczas intronizacji w listopadzie 1975 r.



Para królewska z chilijskim pisarzem Jorge Edwardsem, kwiecień 2000.

Lubią ją nawet ci, którzy uważają monarchię za relikwiarz przeszłości. Gdy dwa lata temu włoskie czasopismo kobiece „Amica”, a w ślad za nim kilka innych europejskich wysokonakładowych tygodników, zapytało czytelniki, którą z panujących w Europie królowych uważają za osobowość najbardziej pozytywną, wygrała bezapelacyjnie.

Tak Włoszki, jak i Angielki, Francuzki i Niemki uważały królową Hiszpanii, Sofię de Grecja y Hannover, za znacznie bardziej pasującą do wyobrażenia współczesnej monarchini niż Elżbieta II, Małgorzata Duńska, a nawet lubiana królowa Sylwia ze Szwecji.

Pochodzenie ma iście królewskie. Przyszła na świat w listopadzie 1938 r. jako najstarsza córka króla Grecji Pavlosa I i Frederiki, księżniczki Hannoveru. Wśród przodków ma dwóch cesarzy niemieckich, ośmiu królów Danii, pięciu królów Szwecji, siedmiu carów Rosji, jedną królową Anglii (Wiktoria, prababkę wielu

monarchów europejskich) i pięciu królów Grecji.

Mimo błękitnokrwistego rodowodu królowa Sofia jest osobą niezwykle skromną i bezpośrednią – tak twierdzą zgodnie wszyscy, którzy zetknęli się z nią choć raz.

Ta wysoka, szczupła blondynka (175 cm wzrostu) mówi biegle nie tylko po grecku i hiszpańsku, ale również po angielsku, niemiecku, francusku, portugalsku. Intelktualistka – dużo czyta, przede wszystkim dzieła filozoficzne i historyczne. Jest ekspertem w dziedzinie malarstwa. Lubi muzykę klasyczną, dobrze gra na fortepianie – najczęściej utwory Bacha lub któregoś z mistrzów romantyzmu, z Chopinem na czele.

Żona Juana Carlosa

Została nią w wieku 24 lat. W maju 1962 r. Juan Carlos de Borbon y Battenberg, wówczas jeszcze książę, poślubił ją w Atenach zgodnie z obrządkiem Ko-

ścioła prawosławnego i katolickiego. Dwa tygodnie później przeszła na katolicyzm. Są bardzo dobrym małżeństwem. Nawet najbardziej wścibskim paparazzi nie udało się wytropić najmniejszego choćby śladu zainteresowania Juana Carlosa inną kobietą. Jego sympatia do księżnej Diany, o czym w swoim czasie rozpisywała się prasa, nigdy – zdaniem osób z kręgu dworu – nie wykroczyła poza „ojcowską przyjaźń”.

Królewska para wiele czasu spędza razem. Często, po wspólnym obiedzie, Juan Carlos – w tzw. małym salonie swego madryckiego pałacu – przegląda prasę, przysłuchując się grze Sofii na fortepianie.

Razem jeżdżą na nartach, najchętniej w Pirenejach, jako że oboje są zdania, iż jeśli ich w kraju są odpowiednie warunki do uprawiania tego sportu, nie trzeba wyjeżdżać w Alpy. Lubią też konie przejażdżki.

W ciągu prawie 40 lat małżeństwa doczekali się trojga dzieci:

Eleny, Cristiny i następcy tronu – Filipa, księcia Asturii, Gerony i Viana. Obie infantki są od kilku lat zamężne i obdarzyły rodziców trzema wnukami.

Filantropka i społeczniczka

Jako monarchini przewodniczy lub patronuje różnym stowarzyszeniom charytatywnym. Kilkanaście lat temu wystąpiła z inicjatywą stworzenia fundacji na rzecz pomocy ofiarom narkotyków, gdyż narkotyki uważa za jedną z najgorszych plag współczesnego życia. Dwa razy w miesiącu, w niedzielę, na madryckim targu Aventura odbywają się giełdy staroci oraz dzieł sztuki i wyrobów rzemiosła artystycznego. Dochody są przekazywane na leczenie narkomanów.

Królowa – jeśli tylko przebywa w Madrycie – zawsze odwiedza plac Aventura, kupując jakiś przedmiot, zwykle za niebagatelną sumę. Kiedyś nabyła autentycznego barokowego aniołka, płacąc czterema okrągłymi tysiącami.



Królowa Sofia z wnukiem Pablem.

Sofii podlega Hiszpański Czerwony Krzyż i Caritas. Ofiary klęsk żywiołowych, katastrof, zamachów i wojen – bez względu na pochodzenie i kolor skóry – zawsze liczyć mogą na jej wsparcie. Widuje się ją w dzielnicach zamieszkałych przez emigrantów czy Cyganów, jakich jest wiele na obrzeżach największych miast Hiszpanii. Z osobistych funduszy co roku przekazuje pewne sumy na pomoc dzieciom należącym do mniejszości narodowych czy środowisk dyskryminowanych.

Przyjaciółka artystów i miłośniczka natury

Ze sztuk najbliższa jej jest muzyka i malarstwo. Wśród kompozytorów i wokalistów ma wielu przyjaciół. Nieraz spotyka się podczas nieformalnych herbatek w pałacu ze słynną sopranistką Montserrat Caballe czy tenorem Placido Domingo. Nie opuszcza żadnego koncertu sławnych orkiestr czy znakomitych instrumentalistów, jeśli występują w Madrycie.

Kilka lat temu z jej inicjatywy otwarto w Madrycie Centrum Sztuki Królowej Sofii, gdzie w 23 salach oglądać można 450 najważniejszych arcydzieł hiszpańskiego malarstwa – od Velázqueza do Picassa.

Najlepiej odpoczywa na łonie natury. Jest wegetarianką. Popierając ochronę dzikich zwierząt, nigdy nie nosi naturalnego futra. Unika narodowego sportu swych poddanych – corridy



Na spacerze w Hawanie.

i wszelkich okrutnych widowisk z udziałem zwierząt.

Dama bez kapelusza

Mówi o sobie, że stara się być elegancka, ale bez przesady. Z racji wysokiego wzrostu swego męża może nosić obuwie na 10-centymetrowych obcasach. Rzadziej niż inne monarchinie widuje się ją w kapeluszu. Wszystkie jej torebki mają długie paski, rękawiczki wkłada tylko na szczególne

okazje. Ubrania, w których występuje publicznie, są dziełem hiszpańskich projektantów i krawców. Lubi to podkreślać w wywiadach.

Często w niedziele wstaje o czwartej rano, aby pojechać do oddalonego o 120 km od stolicy klasztoru Dominikanek i wysłuchać tam porannej mszy. Kiedy w kościele Franciszkanów w Madrycie odprawia się nabożeństwa w intencji ochrony Ziemi i zwierząt, można ją zobaczyć wśród modlących się. Nie lubi korzy-

stać z ochrony i z niechęcią go dzi się, by towarzyszył jej uzbrojony agent.

– Cóż może mi się stać? Nie noszę futer, biżuterię wkładam tylko na większe okazje, a zgodnie ze zwyczajem Burbonów, nigdy nie mam przy sobie gotówki – mówi żartobliwie. – Poza tym odnoszę wrażenie, że większość ludzi, z którymi się stykam, darzy mnie pewną sympatią.

I chyba ma rację. Kiedy popularny dziennik „El Mundo” przeprowadzał sondaż na temat odczuć, jakie budzi w czytelnikach rodzina królewska i jej poszczególni członkowie, aż 90 proc. stwierdziło, że mogliby zaprzyjaźnić się z królową Sofią.

Polska i Chopin

Królowa Sofia – sama i z mężem – odwiedziła Polskę czterokrotnie. Ostatni raz w maju tego roku. W październiku 1990 r. była honorowym gościem Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego, co bardzo ją cieszyło, jako że – obok Bacha – uważa Chopina za „króla muzyków”.

Z Polski wywodzą się krewni hiszpańskich Burbonów. Kuzy-nem Juana Carlosa I jest Adam książę Czartoryski (urodzony w 1940 r.), którego matką była księżniczka Maria de los Dolores de Burbon. Więzy krwi łączą też Burbonów z rodziną hrabiów Zamoyskich i książąt Lubomirskich.

BOGNA WERNICHOWSKA



Z Jolantą Kwaśniewską w maju tego roku w Warszawie.

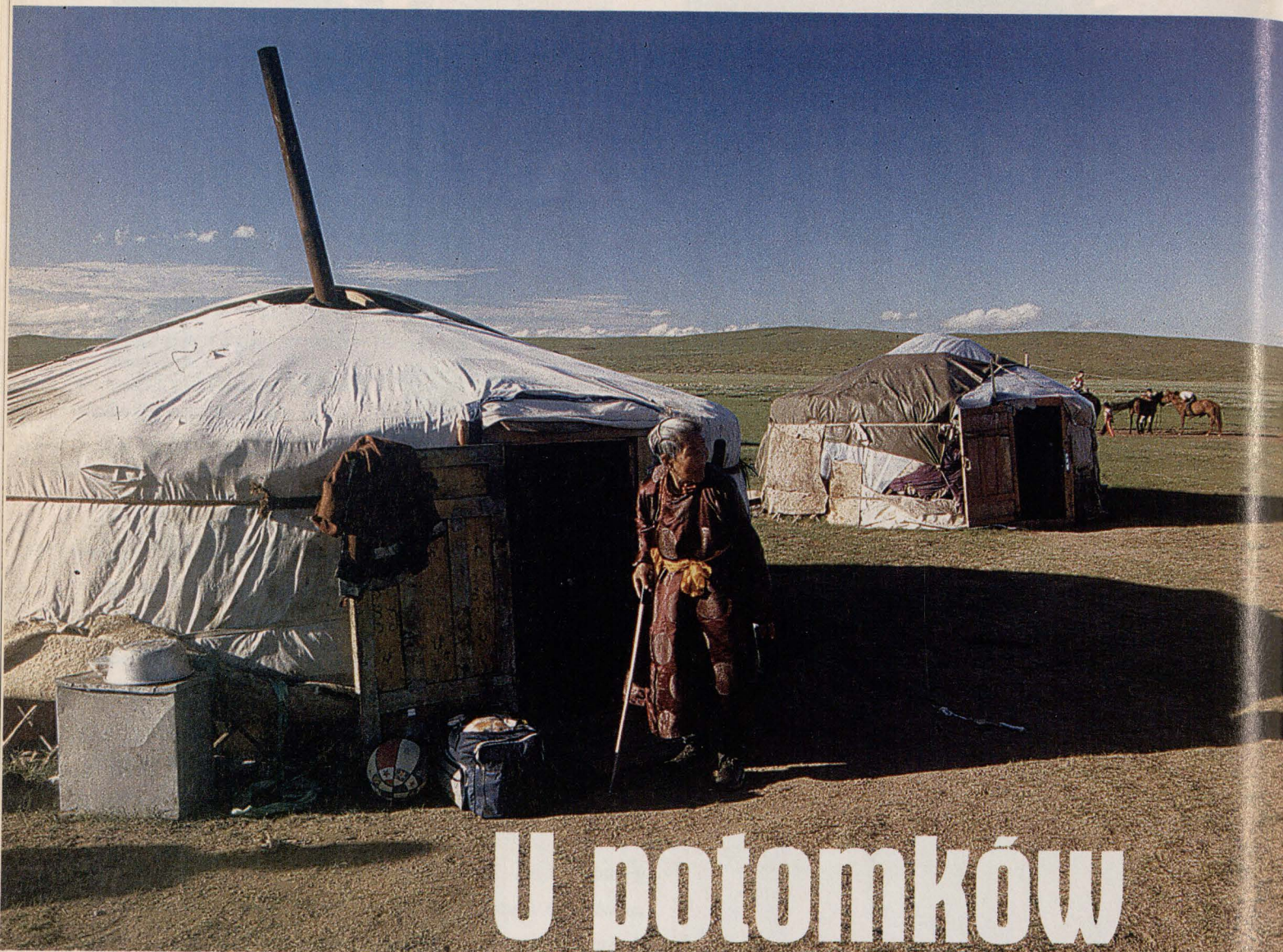
Godziny dzienne



Oglądam różne mody – piękne, śliczne i bogate, seksowne, wręcz wyuzdane, odważne i zwariowane, futurystyczne i retro. Oglądam kolekcje i zdjęcia w pismach kolorowych, modele z inspiracji egipskiej, pirackiej, hiszpańskiej, tyrolskiej, południowoamerykańskiej, indyjskiej, kolejnych dziesięcioleci XX w. Infantylnie, kabaretowe i cyrkowe, zima na biegunie, zima w nocnym barze. Dyskoteka na wyspach – wszyscy prawie rozebrani, ulica w Pernambuco – wszyscy w dzikich kolorach. I tak w nieskończoność, a my rozpaczliwie szukamy, w co by się tu ubrać do biura. Do firmy swojej ukochanej i do pracy – jeśli ją mamy. Do pracy – jeśli jej szukamy. Jak się ubrać na co dzień przez te nasze główne dziesięć godzin. Potem można odpuścić, bo to już inny film. Ale do pracy trzeba być kobietą, która wygląda poważnie, kompetentnie i cywilizowanie. Nie być głupią paniusią, która przychodzi tam na ploty i wypija herbatę. A jeśli nawet taka jest – to należy to starannie ukryć. Nie jest panną puszczałką i rozbieralską, a jeśli nawet, to również trzeba to starannie ukryć. Nie jest kobietką szukającą sponsora, a jeśli – to trzeba... Nie jest dziewczyną szukającą męża, a jeśli, to... Nie jest osobą, która wygląda bylejako, bo tylko wpada tu na chwilę, a całe jej prawdziwe życie jest przy ukochanym bachorku, mężusiu, piesku, działce itp. A jeśli tak jest, to trzeba to stanowczo ukryć. Nie jest kobietą nienawidzącą pracy zawodowej ani tej konkretnej pracy, ani każdej innej. A jeśli... Nie jest mężatką, która daje czadu na szkoleniowych wyjazdach. A jeśli... Nie jest szefową, która przepuszcza przez łóżko kolejnych podwładnych. A jeśli tak jest, to trzeba to starannie, bardzo starannie ukryć. Czyli nie nosimy przepastnych dekolotów ani nie robimy triku z samorozpinającą się bluzką. Nie siedzimy na krześle, jakby to była sesja fotograficzna do pisma porno. Nie nosimy sukienek i spódniczek, które mają taką długość, jakbyśmy je zapomnieli założyć. Nie nosimy ubranek, które wyglądają jak spodnia bielizna: lycrowych majtek do kolan i obcisłych podkoszulków, pod którymi jest tylko nasz obficie falujący biust. Ani tzw. ginekologicznych spodni. Ani gorsetów z operetki przedstawiającej dramaty z życia XIX-wiecznych kobiet upadłych. Ani staników czarnych koronkowych, które wyskakują nam spod marynarki, kiedy omawiamy aneks do umowy. Ani makijażu z dawnych spelun portowych. Ani biżuterii z ludowych zespołów brazylijskich lub haremów arabskich. Ani kolorów, przy których gasną pióra egzotycznych ptaków. Straszne. Jak się ubrać, żeby wyglądać jak kobieta profesjonalna, jak szczyt odpowiedzialności, pracowita mrówka skrzyżowana z Himalajami kreatywności? Jak kobieta elegancka i światowa, z której firma może być dumna. Jak ktoś, kto nie przywiązuje zbytnej wagi do wyglądu, bo nie jest pusty i płytki, a zarazem jest porażająco wytworny w sposób skromny i prawie niezauważalny. Nie mogę. Chcę pracować na stacji benzynowej i mieć firmowy kombinezon.

Fot. Eric Schaix. Fot. Rafał Strzechowski/Free

HOFF



U potomków Dżyngis-chana

TEKST I ZDJĘCIA JOANNA RESZKA

Mongolska jurta zaskakuje, gdy widzi się w niej umywalkę, lodówkę lub telewizor z anteną satelitarną.

Łagodnie wysklepione pagórki ciągną się po horyzont. Na suchą szarozieloną trawę od dawna nie spadł deszcz. Na stepie ledwo widać ślady kół. Wkoło leżą szkielety padłych koni i kóz. Mijamy rzadko rozstawione białe jurty. Koczownicy na koniach pilnują stad kóz.

Czasem z naprzeciwka w tumanach kurzu nadjeżdża zdezelowana rosyjska ciężarówka załadowana po brzegi dobytkiem: łóżka, skrzynie, maty. Mongołowie przenoszą się na żywniejsze pastwiska. Mijają nas cysterny wypełnione nie deficytową tutaj benzyną, lecz narodowym produktem Mongolii – kumysem.

Zwyczaj nakazuje zatrzymać się przy usypanych z kamieni kopczykach owoo. Znaczą święte miejsca – szczyty gór, kaldery (rodzaj kraterów) wulkanów czy rozstaje dróg. Na

dragach opartych o stożek kamieni powiewają niebieskie szarfy buddyjskie. W szczeliny powtykane są papierowe banknoty, drewniane figurki koni i czaszki zasłużonych rumaków.

Przystają tu podróżni. Bez pośpiechu wymienniają pozdrowienia. Przykucają, aby porozmawiać, wypalić grubego tytoniu skrecony w bibule i nasycić się kupionymi od przydrożnego sprzedawcy nasionami limby syberyjskiej, przyjemnie chrupiącymi w zębach.

Garścią przysmaku obdarowuje nas Tsegij, wysoki jak na Azjatę 40-latek o wnikliwym spojrzeniu. Jest właścicielem i kierowcą wynajętego przez nas UAZ-a. Wożąc podróżnych po kraju pięciokrotnie większym od Polski, utrzymuje rodzinę mieszkającą w Ułan Bator.

Baatar, nasz zeuropeizowany przyjaciel, który studiował w Pradze, a teraz jest doktorem leśnictwa w Ułan Bator, żywo rozprawia z dziećmi Tsegija. Tłumaczy fragmenty rozmowy. Starszy, nazywany Monhooonoi – Spłaszczony Nosek, i młodszy Shonhooonoi – Zadarły Nosek, jadą na wakacje do rodziny na wsi. Zajmą się pracą przy stadzie koni.

Chrapliwy, urywany język brzmi władczo w ustach potomków Dżyngis-chana. W pieśniach ma miękką i delikatną tonację. Baatar intonuje popularny przebieg mongolskiego popu. Śpiew słyszy się w autobusie, jurcie, na stepie. Galopujący samotni jeźdźcy wydzierają się, sławiąc szybkość i posłuszeństwo szlachetnego rumaka bądź odwagę i siłę zwycięzcy zapasów.

W oddali, na tle zielonkawego wzgórza, rząd białych płyt – mongolski cmentarz.

– Nie ma tutaj kultu zmarłych – wyjaśnia Baatar. – Buddyści przez siedem dni po śmierci bliskiego modlą się o następne dobre wcieleństwo, a potem zapominają o nim i nie odwiedzają cmentarza, na którym pozostało tylko ciało. Dusza uczestniczy w reinkarnacji.

Ostatni bohater

Przybyliśmy do dwóch jurt w środku stepu. Obok duże stado koni i kilka dobrze odżywionych psów. Chłopcy wbiegają do jurty. Słychać okrzyki powitania. Po chwili obaj wyskakują, dosiadają wierzchowców i z dziką radością galopują w step.

– Sajin Bajnu – wita nas gospodarz, a Tsegij skinieniem zaprasza do środka.

Oślepienie słońcem oczy dostrzegają tylko niskie, prostokątne wejście z drewnianymi zdobionymi drzwiami i okrągły otwór u góry, przez który wpada światło.

Powoli wyłaniają się inne szczegóły. Na obrzeżach okręgu wytyczonego drewnianą konstrukcją, pokrytą z zewnątrz białym wołokiem, stoją dwa żelazne łóżka, stara malowana skrzynia z ołtarzykiem, kadzidełkami i portretem dalajlamy. Obok, na czerwonym suknie, między tankami – buddyjskimi makatkami przedstawiającymi bóstwa – portret zwycięzcy ostatniego Nadamu, narodowego festiwalu, podczas którego rozgrywane są trzy konkurencje: zapasy, łucznicstwo i wyścigi konne.

Na jednym z łóżek siedzi bezżębna staruszka o twarzy zoranej zmarszczkami. Ubrana jest w del – tradycyjny długi płaszcz z szerokim pasem. Na środku stoi żelazny piecyk z rurą, a na kratownicy drewnianego szkieletu jurty wiszą kawałki suszonego mięsa i bistle-gu – sera z mleka jaka.

Na podłodze leżą czerwone dywany, na których siedzą po turecku mieszkańcy. Młoda kobieta o indiańskiej urodzie, z czarnymi warkoczami, tuli do piersi dziecko. To Navczka (Listek), żona Orthгона Baatara (Ostatni

Bohater), brata Tsegija. Przyglądający się nam bacznie staruszek to jego ojciec.

Czarka kumysu

Na stoliku obok piecyka stoi zwyczajowy poczęstunek dla gości: miseczka słodkich bułeczek i dzbanek sute-caj, lekko osolonej zielonej herbaty z kobyliim mlekiem. Orthgon spędza zimę z rodziną w Ułan Bator; latem koczując ze stadem koni na stepie, utrzymując się z produkcji kumysu. Pracują od świtu do nocy. Często doją klacze. Mleko mieszają w stągwi, aby dobrze sfermentowało.

Ostatni rok był trudny dla pasterzy. Zima zdziesiątkowała stada. Potem nastąpiła długotrwała susza. Dlatego step jest szary, chociaż już dawno powinien być zielony.

Orthgon, jak nakazuje tradycja, ujmuje dłonią wyprostowanej prawej ręki czarkę kumysu i podtrzymując prawy łokieć lewą ręką, poczynawszy od najstarszego, częstuje nas po kolei. Pomni ostrzeżeń Baatara, w trosce o żołądki, próbujemy ostrożnie. Pierwszy łyk rozwiewa wątpliwości – delikatny, lekko kwaskowaty napój przyjemnie łaskocze podniebienie. Zwyczaj nakazuje upić trochę i oddać czarkę gospodarzowi, który dolewa napoju i podaje kolejnej osobie. Tak samo celebrować się picie wódki archi i alkoholu destylowanego z mleka jaka.

Smutne rżenia wychudzonych źrebaków oznajmniają czas dojenia. Klacz jest spokojniejsza, gdy podprowadzi się do niej źrebaka. Do wiadra płyną strugi mleka.

– Znakomity ogier – oznajmia Orthgon, pokazując kasztanowatego rumaka prowadzonego na arkanie zwanym tu urgą.

Mongołowie otaczają konie kultem. Są częstym motywem w malarstwie i muzyce. Ich rzeźby widnieją na instrumentach, jak podobny do skrzypiec monochor. Podobizny koni umieszczono na oficjalnej walucie – tugrikach.

Za niebo, rodzinę i Mongolię

Jak okiem sięgnąć – kamienna półpustynia. Na horyzoncie majaczą góry. Na wzniesieniu stoi usypany z kamieni kopiec owoo. Baatar podnosi z ziemi kamyczki. Okrąża kopiec trzykrotnie, poczynając od wschodu. Za każdym razem dorzuca kamień: za niebo, za rodzinę, za Mongolię.

Zatrzymujemy się przy studni, żeby uzupełnić zapasy wody. Kierat pompuje wodę do drewnianego koryta, przy którym kłębą się konie. Na swoją kolej czeka także stado kóz.

Po drodze spotykamy zakurzonego, zmęczonego nomada na małym koniku. Prowadzi dwa wychudzone, objuczone wielbłądy. Przenosi się z resztką dobytku na żywniejsze tereny. Wędruje 53 dni. Przebył ponad 2 tys. km.

– Mongolia jest 100 lat za Polską – Bataar studzi nasz zachwyt przestrzenią i wolnością. Uważa rodaków za prymitywnych. Gardzi żywotem koczownika, a przyszłość Mongolii dostrzega w rozwoju agroturystyki. Myśli o założeniu firmy turystycznej – dzierżawa stada kóz nie wystarcza mu na utrzymanie.

Mongolia sprawia wrażenie, jakby czas zatrzymał się w XIX w. Ale stolica się rozwija.



Taki widok na ulicach Ułan Bator nie jest rzadkością.



Trzeba się napracować, zanim powstanie kumys. Od lewej: Olzi, Nanczka, Orthgon Baatar.

Szarą zabudowę zastępują nowoczesne budynki. Widać kafejki internetowe i dobrze ubranych młodych ludzi.

– Powinni inwestować, a nie kupować drogie ciuchy – potępia ich Baatar.

W mieście pozostają także ci, których nie stać na własne stada i jurty. Widać żebrzące dzieci, pucybutów i slamsy wokół klasztoru buddyjskiego. Powszechną rozrywką jest bilarz na ustawionych wszędzie stołach. Wśród grających – mnisi, dzieciaki i policjanci.

W starym zaniedbanym budynku uniwersytetu czuć stęchliznę. Są wakacje, więc trwa remont. Na korytarzu walają się pudła kryjące stare mapy, zakurzone książki, znaleziska paleontologiczne, coś na kształt jaj dinozaurów. Na parapecie nie dojedzona kozia głowa.

Nad Ułan Bator góruje masyw Bogd Han – pierwszy na świecie park narodowy.

– Nie chodźcie tam sami. Możecie spotkać gangsterów – przestrzega Baatar.

Lekceważąc ostrzeżenie, wyruszamy na świętą górę. Gangsterów spotykamy już u podnóża – to niegroźni, małoletni zbieracze limbo-

wych szyszek. Palcem pokazujemy na mapie punkt, gdzie chcemy dotrzeć. Życzliwie wskazują drogę. Po dwóch dniach wracamy. Straż parku rekwiruje ciężkie worki limbowych szyszek tym, którzy schodzą z nami z gór. Zbieranie szyszek w parku jest nielegalne.

Jurta z lodówką

Na północy krajobraz się zmienia. Step ustępuje górcom. Północne stoki porasta rzadka tajga. Południowe, ze względu na nasłonecznienie, są łysy. Nad brzegami rwących rzek rosną bujne zarośla. Przy mijanych jurtach częściej pojawiają się stada jaków. Chłodzą masywne włochate cielska w strumieniach.

Z mleka jaków wytwarza się delikatny ser, podobny do owczego, a także wódkę o mlecznym posmaku. W każdej z odwiedzanych jurt tradycyjny poczęstunek – suteć, ajrak lub archi. Domostwa zaskakują udogodnieniami cywilizacyjnymi: umywalki, lodówki, anteny satelitarne, baterie słoneczne. Za dnia w jurcie pozostają tylko ko-

biety. Mężczyźni pilnują stad lub wyruszają na polowanie.

Step może w kilka chwil zmienić oblicze. Malutka chmurka mająca na horyzoncie przemienia się w chmurę burzową. Zrywa się wiatr. Gwałtowna ulewa podmywa zbocza i z drogi czyni potok błota. Na naszych oczach strumień błota zalewa widoczne w dolinie jurtowisko.

Co jakiś czas zatrzymujemy się, aby pomóc nieszczęśnikom, którzy utknęli w stepie. Tęgi wyciąga jakieś narzędzie lub upuszcza benzyny. Jej brak to najczęstsza przyczyna przymusowego postoju.

Koleją do kraju

Po trzech tygodniach wracamy do kraju Koleją Transsyberyjską. Sześć dni podróży pozwoli łagodniej wrócić do naszej rzeczywistości. Wagon, w którym jesteśmy jedynymi Europejczykami, szybko wypełnia się rozmaitymi pakunkami, upychanymi gdzie się da – pod łóżka, na półki, pod podłogę i w sąsiednich przedziałach. Podróżni przewożą chińskie podróbki dżinsów i butów, tanie bluzki, sweterki, tandetne złote żyrandole.

Na pierwszej stacji obserwujemy sytuację, która będzie się powtarzać aż do Moskwy – skłębiony tłum Rosjan czekający na Mongołów wysiadających z towarem. Dziesięć minut targowania się, przepychaniek i wyrywania pieniędzy. Potem gwizd lokomotywy i sprawny odwrót Azjatów do wagonu. Pierwszego wieczoru do naszego grona dołącza się przygnębiony mężczyzna z butelką wódki. Śpiewamy piosenkę, której nauczył nas Olzi. Oczy przybysza wilgotnieją – pokazuje nam zdjęcia rodziny, którą zostawił w Mongolii.

– Może już tu nie wrócę – tłumaczy. Wyjeżdża do Niemiec w poszukiwaniu lepszego bytu. Mieszka tam jego brat, który przedtem pracował na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie. Wznosimy toast za Mongolię.

JOANNA RESZKA

Wiedemann (28)



FOT. BOGDAN KRZEL

12.08.01

Kupiłem sobie dwie książki z wierszami, z przekładami wierszy. Tranströmer w przekładach Neugera i Šalamun w przekładach Katariny (Katarina nigdy nie chwaliła się, że wydała aż dwa wybory wierszy swojego brata – właśnie udało mi się zdobyć ten pierwszy). Przez całe popołudnie czytałem Tranströmera i nie natrafiłem na ani jedną linijkę, która by zawierała choć odrobinę poezji. A Šalamuna otwieram na chybił trafił gdzieś w środku i od razu rewelacja. Proszę sobie wyobrazić wiersz, który zaczyna się słowami: „Kiedy św. Franciszek zdjął płaszcz, / nie było mu zimno”, a kończy tak: „Kiedy wszystko to zrobił, / powiedział to jest elektryczność i amen. / Teraz możemy ją zgasić i zasnąć”. To niewyobrażalne, a jednak istnieje (wraz ze wszystkim, co pomiędzy). Wiersz nazywa się „Mikola Tesla”. Szczególnego smaku dodaje tej historii fakt, że postowie do Tranströmera napisał Zagajewski, a do Šalamuna – Kornhauser.

14.08.01

Przeglądam „Aktivistę” i co widzę – przedstawiony tam na zdjęciu Stanisław Lem czyta „Studium”! A więc ktoś jednak do tego zaglądał, czy choćby przeglądał to (jak teraz ja „Aktivistę”), czy nawet tylko pozo- wał z tym do fotografii, zawsze to coś. A myślałem, że cała ta robota na darmo. W nowym „Studium” „niegodziwy” artykuł Filipiak, o Frankfurtach. Cały czas tylko się bałem, że któraś z postaci okaże się podobna do mnie (a to aż 26 stron, więc strachu sporo), na szczęście nie piłem z Filipiak w czasie Targów, tylko jednego wieczora zamieniłem z nią dwa słowa w windzie, upiekło mi się. Swoją drogą to ciekawe, że Reich-Ranicki wziął Stasiuka za kobietę, podczas gdy u nas uważa się go za szczyt mę-

skości w prozie. Nareszcie widać, jakie to wszystko zagmatwane i niejasne.

20.08.01

Nieszczęścia chodzą po ludziach. Idę do sklepu po ser, a tu z przeciwka – Bartek. Wygląda nie najlepiej.

– Wiesz, co się stało? – mówi. – Okradli mnie. Wróciłem późnym wieczorem do domu, wziąłem pilota i chciałem sobie puścić jakąś muzykę, a tu muzyka nie gra. Zapalił światło, patrzy – nie ma wiesz. Zniknęła wieża i dzbanek do gotowania wody, poza tym wszystko w najlepszym porządku,

raz przeprowadzić do Warszawy, bo jednak lepiej, żeby Karol wychował się w Krakowie, niech mu najpierw zostaną jakieś dobre wspomnienia stąd. I wtedy nagle odzywa się radio:

– Łączymy się z Tomkiem Słoniem. Tomku, powiedz nam, jak radzi sobie Biała Gwiazda z tak renomowanym Lwem?

– Ojej – niepokoi się Aldona. – Chyba przez pomyłkę puściłam RMF.

24.08.01

Warszawskie Targi Książki. Kupuję słodczyne na stoisku, bo wybieram się do kina. Spotykam koleżankę (Marta Wawrzyńska?), która też. Zima, wnętrza Pałacu Kultury zawałone śniegiem, puste. Po drodze dołącza do nas Darek Sośnicki. Jesteśmy jakby w „studni” nowoczesnego osiedla. Nagle słyszymy strzał. Zauważam uchylone drzwi któreś klatki schodowej, biegniemy tam, chowamy się, ale drzwi są szklane, wszystko przez nie widać. Morderca wytłania się z przeciwległej klatki, jest w brązowym garniturze od Armaniego, znam go, to Pat Bateman. Idzie w naszym kierunku, otwiera drzwi swoim kluczem, wchodzi, śmieje się (ze strachu próbujemy się wcisnąć za kaloryfer). – Genialna kryjówka – mówi, po czym wychodzi i zamyka nas na klucz.

Po południu opowiadam Benowi historię Bartka. – A wiesz – mówi Beno – Bartek nie szanował tej wieży. Ostatnio jak u niego byłem, to ją kopnął.

– Czyli co, wieża poszła do dzbanka i powiedziała: Dosyć tego, zwiewamy.

– No i teraz jadą gdzieś autostopem, a wieża się puszcza, bo wszyscy kierowcy wkładają w nią swoje płyty.

ADAM WIEDEMANN



nawet drzwi były porządnie zamknięte na klucz, kiedy wchodził.

– Dobrze, że nie mam komputera – dodaje na koniec. – Jakbym miał komputer, to też by go pewnie ukradli.

21.08.01

Siedzimy z Aldoną i Michałem, pijemy winko; Michał tłumaczy mi właśnie, że nie mogą się te-

Geniusz na manowcach

Fred Hoyle uświadomił nam, że nasze ciała są zbudowane z popiołów gwiazd.

Fascynował i irytował. Oklaskiwano go i potępiano. Budził podziw i gwałtowne spory. Jego życie to wielkie sukcesy przeplecione jeszcze głośniejszymi porażkami. Jedno nie ulega wątpliwości: Fred Hoyle należał do najbardziej niezwykłych postaci nauki XX wieku.

Stworzeni z popiołów gwiazd

Na początku był wodór – lecz skąd się wzięły węgiel, tlen, krzem, żelazo? Jak doszło do powstania pierwiastków, z których zbudowany jest nasz świat i my sami?

Niegdyś sądzono, że pełny zestaw pierwiastków został wyprodukowany „hurtem” w początkowym, gorącym okresie wszechświata. Wyjaśnienie było tyleż proste, co... nieprawdziwe. Fred Hoyle, brytyjski fizyk i astronom, z trójką innych badaczy doszedł do wniosku, że wytwarzanie cięższych pierwiastków następuje w procesach termojądrowych we wnętrzach masywnych gwiazd, które – gwałtownie wybuchając – rozrzucają swoją materię w kosmosie. Z takiej materii uformowało się kiedyś Słońce i okrążające je planety; tak powstało życie na Ziemi.

Dzięki Hoyle'owi dowiedzieliśmy się, że nasze ciała zbudowane są z popiołów gwiazd. Jednak nie to epokowe odkrycie przynio-

sło mu największy rozgłos. Jak na ironię, znany stał się głównie dzięki teorii, która poniosła widowiskową klęskę. Nazwano ją teorią stanu stacjonarnego. Głosiła, że Wszechświat nie miał początku oraz że nieustannie zachodzi w nim proces tworzenia się nowej materii „z niczego”. Nowa materia miała wypełniać przestrzeń, w miarę jak oddalają się od siebie galaktyki, co już w 1929 r. zaobserwował amerykański astronom Edwin Hubble.

Teorię stanu stacjonarnego Hoyle opracował wspólnie z Hermannem Bondim i Thomasem

Goldem; ogłoszona została w 1948 r. W tym czasie konkurencyjny model powstania wszechświata w błysku gigantycznej eksplozji nie miał wystarczającego oparcia w obserwacjach. Lecz w 1965 r. przypadkowo usłyszano dochodzący z kosmosu szum radiowy, który okazał się echem owego pierwszego błysku i od tej pory teoria stanu stacjonarnego zaczęła gwałtownie tracić zwolenników. Pod naporem faktów odesłano ją niebawem do lamusa nauki.

Paradoksalnie, wielką przysługę koncepcji narodzin wszech-

świata oddał sam Hoyle. Chcąc ją ośmieszyć i wykić, określił mianem „wielkiego wybuchu”. Tymczasem nazwa zrobiła oszałamiającą karierę, przyczyniając się do szerokiego spopularyzowania teorii.

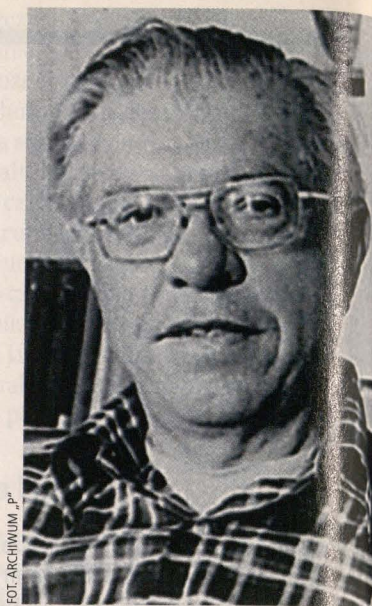
W ogniu polemik

Już w dzieciństwie Fred wyróżniał się wśród rówieśników. Tabliczkę mnożenia poznał, mając trzy lata. Jako dziesięcioletek zaczął prowadzić doświadczenia chemiczne. Szkoła go nudziła, często z niej uciekał. Rozczytywał się za to w literaturze popularnonaukowej. Gdy miał 13 lat, dostał od rodziców niewielki teleskop. Prezent zaważył na całym jego późniejszym życiu.

Nigdy jednak nie zamknął się w kręgu jednej dziedziny naukowej. Zabierał głos na różne tematy, przeważnie wywołując swoimi wystąpieniami burzę. Jedną z największych spowodował w połowie lat osiemdziesiątych, gdy skamielinę archeopteryksa, dumę Muzeum Brytyjskiego, uznał za fałszerstwo. Archeopteryks żył 60 mln lat temu, był w połowie gadem, w połowie ptakiem. Widziano w nim dowód ewolucyjnego przechodzenia jednego gatunku w drugi. W ogłoszonej w 1986 r. książce Hoyle i jego bliski współpracownik, Chandra Wickramasinghe, wysunęli zarzut, że upierzenie archeopteryksa zostało sfa-

Fred Hoyle
(1915–2001)

Był synem handlarza wełną, studiował w Emanuel College w Cambridge. W latach II wojny światowej pracował nad projektami technicznymi brytyjskiej admiralicji, m.in. nad radarem. Od 1958 był profesorem astronomii Uniwersytetu Cambridge. Odegrał znaczącą rolę w nauce brytyjskiej jako wiceprezes Towarzystwa Królewskiego w Londynie (1969–1971), następnie jako prezes Astronomicznego Towarzystwa Królewskiego (1971–1973). W 1972 otrzymał tytuł szlachecki. Zmarł 20 sierpnia tego roku.



FOT. ARCHIWUM „P”

brykowane z betonem i po kryjomu dodane w 1861 r. do skamieliny przez jej odkrywcę – Carla Haeberleina. Zarzut oburzył specjalistów. Na łamach magazynu „New Scientist” wprost zarzucono autorom książki kłamstwo.

Hoyle i Wickramasinghe swoimi wystąpieniami mocno zasłżyli za skórę wielu uczonym kolegom. Opowiadano, że jeden z nich tak często podejmował polemiki, że uznał za konieczne wzbogacenie swojego edytora tekstów o dodatkowy podprogram. Dzięki niemu za naciśnięciem jednego klawisza na ekranie komputera pojawiała się fraza: „W przeciwieństwie do poglądów Hoyle’a i Wickramasinghe’a...”.

W 1990 r. obaj autorzy ogłosili w periodyku „Nature” artykuł, w którym dowodzili, że epidemie grypy są skutkiem... plam słonecznych. Hoyle od dawna był zwolennikiem teorii panspermii głoszącej, iż życie na Ziemi powstało z zarodków pochodzących z kosmosu, a być może nawet celowo umieszczonych tu przez jakąś wysoko rozwiniętą cywilizację. Uważał, że kosmos pełen jest wirusów, które opadają na Ziemię. Według niego miały wywoływać nie tylko grypę, ale także spowodować epidemię AIDS. Uczony postawił też tezę, iż winę za wnikanie tych wirusów do atmosfery ziemskiej ponoszą burze na powierzchni Słońca, których przejawem są plamy widoczne na na-

szej gwieździe. Idea wywołała oburzenie wśród przedstawicieli dyscyplin medycznych, którzy uznali ją za kompletną bzdurę.

Zaskakujący werdykt

Przez kilka dziesięcioleci koncepcje Freda Hoyle’a budziły poruszenie nie tylko uczonych kolegów, ale również czytelników jego książek dla masowego odbiorcy. Twórca teorii stanu stacjonarnego był bowiem utalentowanym pisarzem. Zajmował się popularyzacją wiedzy, publikował powieści fantastycznonaukowe. Oba nurty działalności – naukowy i literacki – ściśle się ze sobą wiązały i przenikały nawzajem. Pomysły pisarskie nabierały cech idei naukowych, poglądy naukowe trafiały na karty książek beletrystycznych.

Rozgłos i atmosfera sensacji towarzyszące wielu poczynaniom Hoyle’a nie wszystkim się podobały. Najwyraźniej nie przypadły do gustu szwedzkiej akademikom, którzy decydowali o przyznaniu Nagrody Nobla z fizyki w 1983 r. Dostał ją amerykański badacz William Fowler, z którym Hoyle opracował teorię powstawania ciężkich pierwiastków we wnętrzach gwiazd. Do zespołu należało jeszcze małżeństwo Burbidge’ów, ale wszyscy wiedzieli, że ich rola sprowadzała się do dostarczenia wyników obserwacji astronomicznych. Hoyle natomiast był pełnoprawnym współtwórcą teorii. Pomińcie go w werdykcie szwedzkiej akademii było dla wszystkich olbrzymim zaskoczeniem.

Do końca życia Hoyle nie odwołał żadnej ze swych kontrowersyjnych koncepcji. Wbrew mnożącym się argumentom na rzecz Wielkiego Wybuchu bronił teorii stanu stacjonarnego. Starał się pogodzić jej założenia z wynikami obserwacji.

Martin Rees, brytyjski astronom królewski, powiedział ostatnio, że nic nie może się równać z ideami, które Hoyle wprowadził do astronomii w latach 1945–1970. Tym większą jest więc zagadką, dlaczego ten niewątpliwie geniusz tak często błądził po manowcach nauki.

LESŁAW PETERS

TO I OWO

PODGRZEJMY DROGI

Naukowcy amerykańscy uzyskali nowy materiał o walorach półprzewodnika. Jest nim... cement portlandzki – podstawowy surowiec do produkcji betonu. Po modyfikacji przepuszcza on prąd elektryczny, podobnie jak dioda, tylko w jednym kierunku. Może też rozgrzewać się bądź oziębiać w zależności od kierunku, w jakim płynie prąd. Elektroniczny cement wynaleźli Sihai Wen i Deborah Chung – specjaliści z Uniwersytetu Stanu Nowy Jork w Buffalo. Jeśli produkowany z niego beton zachowa właściwości półprzewodzące, wynalazek znajdzie zastosowanie w budownictwie. Pani Chung szczególnie podkreśla możliwość wykorzystania nowego betonu w konstrukcjach wymagających podgrzewania lub chłodzenia. Niewielki prąd wystarczy, aby szosę zbudowaną z takiego materiału można było ogrzać w celu usunięcia pokrywającej ją gołoledzi.

ZNIKAJĄCY PIERWIASTEK

Układ okresowy pierwiastków niespodziewanie się odchudził. Badacze z Lawrence Berkeley National Laboratory w Kalifornii odwołali ogłoszone dwa lata temu odkrycie pierwiastka o numerze 118. Twierdzili wtedy, że udało się uzyskać trzy jego atomy. Ken Mody z Berkeley przekonuje, że w 1999 r. nie było podstaw, aby nie wierzyć uzyskanym wynikom. Jednak próby powtórzenia eksperymentu w ośrodku kalifornijskim oraz w laboratoriach w Niemczech i Japonii nie powiodły się. W dodatku ponowna analiza danych sprzed dwu lat nie potwierdziła, że doszło wtedy do powstania nowego pierwiastka. Śledztwo wszczęte w Berkeley ma ustalić, jak doszło do pomyłki.

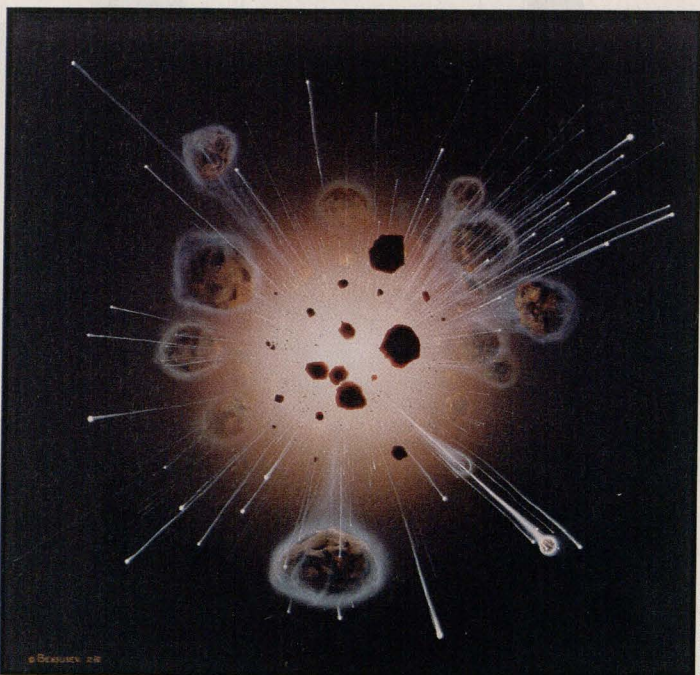
DŻYNGIS-CHAN NA WIOSNĘ

Na trop poszukiwanego od dawna grobowca Dżyngis-chana wpadła ekspedycja amerykańsko-mongolska. Legenda głosi, że po pogrzebie władcy w 1227 r. cała świata i wszyscy żołnierze uczestniczący w ceremonii żałobnej zostali zabici, aby zachować w tajemnicy miejsce pochówku. Grupa badaczy, kierowana przez prof. Johna Wodsa z Uniwersytetu w Chicago, trafiła na otoczone murem cmentarzysko 320 km na północny wschód od Ułan Bator. Znajduje się ono w pobliżu prawdopodobnego miejsca urodzin Dżyngis-chana



FOT. ARCHIWUM „P”

w 1162 r. i niedaleko od miejsca, gdzie w 1206 r. został on obwołany wielkim chanem Mongołów. Kamienny mur długości trzech kilometrów i wysokości od 2,7 do 3,7 m otacza wzgórze, w którego górnej części znajduje się co najmniej 20 grobowców, a w dolnej – prawdopodobnie 40 dalszych. Archeolodzy wystąpili do rządu mongolskiego o zgodę na penetrację cmentarzyska wiosną przyszłego roku. Władze kraju rzadko udzielają takich zezwoleń, bowiem Mongołowie wierzą, że wydobycie ciała z grobu może unicestwić duszę. (LP)



© B. KRAJEWY

FOT. EAST NEWS



Homo sapiens pnie się w górę

- Coraz wyższe modelki królują na wybiegach. 175-178 centymetrów to norma dla dziewczyny. Chłopak musi mieć co najmniej 186, choć kilka lat temu mógł być dużo niższy - twierdzi Joanna Gaweł kierująca agencją Reclamex Entry. Powszechną uwagę przykuwa 16-letnia Edyta Waciuta, która przy 186 cm wzrostu może się też pochwalić imponującymi nogami (116 cm) i długą szyją (15 cm). Wysoki wzrost jest w cenie. I to nie tylko w świecie mody.

Kłopoty olbrzymów

Jakie rozmiary może osiągnąć człowiek? To pytanie zadałam sobie w nowojorskim Muzeum Guinnessa, patrząc na woskową figurę nieżyjącego już mieszkańca stanu Illinois - Roberta Pershinga Wadlowa: jego 272 centymetrów nikomu w świecie nie udało się dotąd „przekroczyć”.

Profesor Hans W. Jurgens, antropolog z Kilonii, uważa, że nie możemy rosnąć bez granic. Ogranicza nas anatomia. Już wkrótce przestaniemy piąć się w górę, bo serce nie podoła pompowaniu krwi przez wydłużone arterie, wątroba nie sprosta produkcji enzymów koniecznych do przetwarzania coraz większych porcji jedzenia, a obciążone stawy nie uniosą ciała.

Nie jest tajemnicą, że ludzie bardzo wysocy mają kłopoty ze zdrowiem. Chinka Zeng Jinlian, która osiągnęła 248 cm, cierpiała na zaawansowaną skoliozę, nie potrafiła stać prosto. Ból rąk dokuczał Pershingowi Wadlowowi, którego ramiona miały 288 cm rozpiętości. Wielu olbrzymów dolegliwości przykuwały do łóżek.

Na co dzień jednak duży wzrost jest atutem. Po zbadaniu ok. 500 szkieletów ekszumowanych z cmentarza w Barton-on-

Humber brytyjscy uczeni doszli do wniosku, że ludzie wyżsi żyli dłużej. Spostrzeżenia te dotyczyły przodków sprzed 150-1100 lat.

Polak poza podium

XX wiek zapisał się w historii medycyny nadzwyczajnie: ludzie żyli średnio o trzydzieści lat dłużej. A także mieli o dziesięć centymetrów więcej. O ile Homo habilis przed trzema milionami lat miał niewiele ponad 100 cm, a Homo erectus milion lat później tylko o kilka więcej, to dzisiejszy Homo sapiens sięga przeciętnie 180 cm.

Minione stulecie w krajach rozwiniętych przemysłowo przeobraziło ludzi małych w dużych. Jeśli uznać wzrost za miernik dobrobytu, na podium dla zwycięzców staną Holendrzy (przeciętny młodzieniec ma 183 cm), Duńczycy (179 cm), Szwedzi i Norwegowie (178 cm). Średni wzrost 19-letniego Polaka to 177 cm, a Polki - 164 cm.

Limit centymetrów jest zapisany w genach. Daje się łatwo obliczyć. Od wzrostu ojca wystarczy odjąć 13 cm, dodać wzrost matki, wszystko podzielić przez 2 - i wzrost dziewczynki gotowy. Aby otrzymać wzrost chłopca, trzeba do wzrostu matki dodać 13 cm i wzrost ojca, a sumę podzielić przez 2. Tymczasem naukowcy austriaccy, po zbadaniu 507 tys. poborowych z roczników 1966-1975, doszli do wniosku, że ich wzrost jest zdeterminowany momentem narodzin. Ci, którzy urodzili się wiosną (pod znakiem Barana), byli o 6 mm wyżsi od tych, co przyszli na świat jesienią (pod znakiem Skorpiona) tego samego roku.

Roli genów nie da się podważyć, ale styl życia i środowisko też mają coś do powiedzenia. Na-

WE WŁASNYM GRONIE

W Klubach Ludzi Wysokich liczą się centymetry. Najwięcej ma ich małżeństwo Rędziów z Siedlec, w sumie prawie czterysta; Krystyna - 198, Sławomir - 201. Nie oni jednak w Polsce są najwyżsi. Waldeemar Siemiątkowski zatrzymał się na 219 cm, a Małgorzata Dydek - najwyższa koszykarka na świecie, grająca obecnie w Stanach Zjednoczonych, osiągnęła 213 cm! Stefan Świągół, prezes wrocławskiego klubu, zauważa jednak, że naszą rodaczkę znacznie przerosła Amerykanka Sandy Alen - 232 cm. Na ostatnim dorocznym balu ludzi wysokich w Dąbkach górował nad innymi pewien Holender - 232 cm. Lecz i tak do Rosjanina, Aleksandra Sisonenki, brakuje mu dziesięciu centymetrów.

Naukowcy udowodnili to na przykładzie bliźniąt jednojajowych żyjących w odmiennych warunkach - geny miały identyczne, wzrost różny. Zauważono też, że dzieci niemieckie zaczęły szybko rosnąć w latach powojennych; wcześniej ich wzrost ograniczało niedożywienie. Podobnie było z bezdomnymi w Londynie - w latach 1780-1800 ich średni wzrost malał, a gdy w kolejnym trzydziścielciu poprawiły się warunki życia, zwiększył się o 7,5 cm!

Pogoda dla wysokich

Wzrost człowieka jest odzwierciedleniem jego pracy, chorób, odżywiania się, tego, czy mieszka na wsi, czy w mieście (im miasto większe, tym ludzie w nim wyżsi), klimatu, w jakim żyje. Jeśli warunki sprzyjają - pniemy się w górę, gdy jesteśmy zagrożeni - rozwój jest hamowany. Stwierdzono, że dzieci szybciej rosną w czasie wakacji. Maltretowane przez rodziców potrafią odzyskać „zgrabione” centymetry w rodzinach zastępczych.

- Wysoki wzrost jest cechą niosącą wymierne korzyści - mó-

wi Anna Lipowicz z Zakładu Antropologii PAN we Wrocławiu. - Pod kierunkiem prof. Tadeusza Bielińskiego przeprowadziliśmy badania, z których wynika, że niżsi mężczyźni kończą edukację na szkole zawodowej, wyżsi kontynuują naukę, przez co osiągają lepszą pozycję materialną i status społeczny.

Prof. Irena H. Frieze z Uniwersytetu w Pittsburghu obliczyła, że każdy centymetr długości ciała przynosi zwiększenie dochodów o 240 dolarów rocznie. Mimo to aż 72 proc. amerykańskich pracodawców woli wybrać spośród kandydatów o tych samych kwalifikacjach - wyższego. Lepiej się prezentuje, lepiej więc postrzegana jest firma - uważają. Również dla kobiet istotnym czynnikiem w wyborze partnera jest jego wzrost. Ojcami częściej zostają wysocy. Potwierdziły to wyniki badań naukowych, które prof. Robin Dunbar z Uniwersytetu w Liverpoolu prowadził m.in. na 3200 mieszkańcach Wrocławia (przy współudziale naukowców z Zakładu Antropologii PAN). Do tego samego wniosku doszli uczeni z uniwersytetów w Syracuse i Marburgu, którzy badali absolwentów słynnej akademii wojskowej w West Point.

Czy wzrost ma znaczenie dla polityków? Ano spójrzmy: Helmut Kohl mierzy 193 cm, Jacques Chirac - 189, Borys Jelcyń - 187, Bill Clinton - 186, George W. Bush - 183 cm, Aleksander Kwaśniewski - 176, Jaser Arafat - 169.

Antropolodzy twierdzą, że przeciętnie ludzie są co dekadę wyżsi o jeden centymetr. Widać to np. w samolotach, gdzie coraz więcej osób ma problem z nogami. W tramwajach głowy niebezpiecznie zbliżają się do sufitu. W szkolnych ławkach dzieci siedzą zgarbione. A na pokazach mody dominują niebotyczne dziewczyny, jakże różne od drobnych modelek, które oglądały nasze babki i mamy.

Czy jednak ktoś zagrozi rekordowi Roberta Pershinga Wadlowa?

TERESA BĘTKOWSKA

W MEDYCYNIE

ASPIRYNA RATUJE ŻYCIE

Co czwartą osobę cierpiącą w Wielkiej Brytanii na dolegliwości sercowe chroni przed zawałem lub śmiercią zażywanie aspiryny łącznie z lekiem rozrzedzającym krew. Oce-



nia się, że aspiryna ratuje życie rocznie ok. 10 tys. Brytyjczyków. Do takiego wniosku doprowadziły badania przeprowadzone na Wyspach w ramach międzynarodowego programu, którym objęto pacjentów z 28 krajów. W Europie i Stanach Zjednoczonych każdego roku dzięki łatwo dostępnej i taniej aspirynie unikają śmierci setki tysięcy ludzi. Lekarze zwracają jednak uwagę, że - podejmując decyzję o stosowaniu leku - zawsze trzeba uwzględnić jego działanie uboczne.

PRZECIW RAKOWI PROSTATY

Badacze amerykańscy z Uniwersytetu Michigan zidentyfikowali grupę genów i białek, które zaczynają funkcjonować nieprawidłowo, gdy dochodzi do zmian nowotworowych prostaty. Zespół kierowany przez Marka Rubina przebadął tkankę prostaty 50 mężczyzn i znalazł blisko 200 genów lub fragmentów genów, które różniły się między sobą w zależności od tego, czy tkanka była normalna, czy występowała w niej zmiany złośliwe. Dzięki temu odkryciu za trzy do pięciu lat dostępne będą nowe testy wykrywające raka prostaty w jego wczesnej fazie. Poprawią one dokładność diagnozowania i pomogą w wyborze najlepszej terapii.

STRACH UKRYTY W GENACH

Pojawiła się nadzieja dla ludzi przeżywających napady lęku, cierpiących na klaustrofobię i chorobliwie nieśmiałych. Być może już niebawem osoby takie będą się mogły pozbyć uczucia strachu dzięki pigułce poprawiającej nastrój. Grupa naukowców hiszpańskich pod kierunkiem Xaviera Estivilla z Centrum Biologii Medycznej i Molekularnej w Barcelonie odkryła mutację genetyczną mającą związek ze stanami lękowymi. Badając rodziny cierpiące na tego typu dolegliwości, stwierdzili, że w dziewięciu na dziesięć przypadków mały fragment w chromosomie 15 jest podwojony. Dalsze badania na 70 osobach nie spokrewnionych ze sobą wykazały, że anomalia występuje nawet u 97 proc. odczuwających stany lękowe. Podwojony fragment chromosomu 15 zawiera ponad 60 genów. Wśród nich są geny odpowiedzialne za białka sterujące wymianą informacji między komórkami nerwowymi. Gdy uda się zidentyfikować, które z nich wywołują dolegliwości lękowe, można będzie przystąpić do opracowania specyfików zdolnych do tłumienia owych genów lub wytwarzanych przez nie białek. Hiszpańscy specjaliści ostrzegają jednak, że na lek przeciw lękowi trzeba będzie poczekać nawet dziesięć lat. (LP)

Ludzie wysocy na każdym centymetrze zyskują 240 dolarów rocznie, ale za zbyt duży wzrost płaci się zdrowiem.

Rafting, czyli spływ pontonem górską rzeką, jest sportem dla wyjątkowo sprawnych fizycznie, a do tego zamożnych.

DARIUSZ WOJTAŁA

Szaleństwo dzikiej rzeki

Czym jest white water? To pokonywanie górskich rzek na wszelkie możliwe sposoby, najczęściej w kajaku lub pontonie. Niezależnie od tego, co wybierzesz, zawsze dostaniesz solidny zastrzyk adrenaliny. O intensywności doznań decyduje przede wszystkim trudność pokonywanej trasy. Wyraża ją międzynarodowa skala WW (white water). WW I oznacza rzekę łatwą, WW II – umiarkowanie trudną, WW III – trudną, WW IV – bardzo trudną, WW V – wyjątkowo

trudną, WW VI – to granica pływalności.

Do niedawna rafting uprawiała garstka zamożnych zapaleńców, których stać było na kosztowny sprzęt. Obecnie spróbować może go niemal każdy. Wystarczy zgłosić się do wyspecjalizowanej firmy. Markowy raft (ponton górski) i instruktorzy pozwolą zasmakować tej niesamowitej przygody.

Wybór pada na krakowską Szkołę Kajakarstwa Górskiego

i Raftingu „Retendo”. Z Internetu ściągamy podstawowe wiadomości o spływie – jak dojechać na miejsce zbiórki, ile zabawa będzie kosztować oraz w co się ubrać, by po kilku minutach walki z wodą nie trząść się z zimna.

Z Piotrem Sikorą (instruktorem i założycielem szkoły) spotykam się w Sromowcach Niżnych nad Dunajcem. Zanim wraz z pięcioma innymi śmiałkami pomknę dmuchaną tratwą, przechodzę krótkie szkolenie z zasad

bezpiecznego zachowania się na wodzie. Następnie dobieram i zakładam kask oraz kapok. Łapię za pagaj (pontonowe wiosło) i z resztą załogi spycham ponton na wodę.

Wsiadamy i zaczynamy dryfować. Śmiejemy się, rozmawiamy, nie bacząc na komendy sternika-instruktora. Nurt robi się wartki. Przyśpieszamy, zaczyna lekko kołysać. Nagle „łódka” podskakuje, opada i do środka wlewa się trochę wody. Panie piszcza, panowie



66-letni premier kanadyjski, Jean Chretien, podczas raftingu na Ottawie.

kurczowo trzymają się liny oplatającej gumową łajbę. Zapada cisza. Czekamy na puszczane dotąd mimo uszu słowa Piotra. Na jego komendę zaczynamy wiosłować.

– Na ogół na początku ludzie nie zwracają uwagi na kierownika pontonu i na to, co dzieje się na wodzie. Ale wystarczy ich trochę wystraszyć i zaczynają chodź jak w zegarku – śmieje się instruktor. Pod jego rozkazami płyniemy dalej bez niespodzianek.

Klient połknął haczyk

Od dziesięciu lat Piotr Sikora pojawia się wszędzie tam, gdzie rwące rzeki powodują żywsze bicie serca. W wożach towarzyszy mu ponton. Zdarza się, że rozszalała woda jest zbyt niebezpieczna, by ryzykować pływanie po niej górkim kajakiem.

– Pontonem można płynąć po rzece, która dla kajakarza dostępna jest dopiero po dwóch latach intensywnego treningu – twierdzi Piotr Sikora.

Komercyjny rafting podpatrzył na Zachodzie. Nie myślał wtedy, że mógłby zarabiać jako organizator spływów. – Byłem przekonany – mówi – że nie znajdą się chętni do przeżycia takiej przygody.

Zaczął od spływów na Białce i Dunajcu. Jednymi z pierwszych klientów byli pracownicy firmy ubezpieczeniowej. Łącznie 50 osób. Po imprezie pytano go, czy można popłynąć jeszcze raz lub zorganizować podobny spływ na innej rzece. – Podobało im się tak bardzo, że pożegnali się ze mną chóralnym „Sto lat” – wspomina Sikora.

– Dunajcem czy Białką można spłynąć pięć, najwyżej sześć razy. Później robi się nudno – mówi instruktor. Dlatego urozmaica pontonowe wyprawy wojnami na wodzie – ludzie polewają się z plastikowych wiader i ostrzeliwiają z pneumatycznych pompek. Szkoła organizuje również rafting na torze kajakowym w Wietrznicy k. Krościenka oraz na słowackiej rzece Vah. Niebawem spragnionych większych wrażeń zabierze na czeską Wełtawę (podczas wypuszczania wody ze zbiornika retencyjnego trudność WW IV) i do Austrii.

– W Polsce nie ma warunków do uprawiania prawdziwego, a więc mrozącego krew w żyłach raftingu – mówi Andrzej Ziarko z warszawskiej firmy Tatra Extreme, która prowadzi szkolenia personalne, doradztwo sportowe, organizuje imprezy i turystykę ekstremalną oraz pracuje na planach filmowych (m.in. z Bogusławem Lindą przy „Projekcie X”). Nie dość, że brakuje górskich rzek, to sezon na pływanie jest krótki – od maja do października.

Ponieważ zainteresowanie raftingiem rośnie, spływy pontonami pojawiają się w ofertach rodzimych biur podróży, pensjonatów i hoteli. SDS Holidays proponuje wczasowiczom znudzonym tureckim słońcem spływ trzynastokilometrową rwącą rzeką. Na fotografiach pokazywanych zainteresowanym pontony mkną po spienionej wodzie.

– To tylko tak groźnie wygląda. Rzeka jest bezpieczna. Płynąć mogą nawet małe dzieci i osoby starsze. Dotąd na spływie nie zda-

CENY SPŁYWÓW OD OSOBY

- San (7–25 km): 20–50 zł
- Tor kajakowy w Wietrznicy (5 km): 90 zł
- Białka lub Dunajec (10 km): 100–180 zł
- Vah na Słowacji: 110 zł
- Wełtawa: 200 zł (dwukrotne spłynięcie 10-kilometrowym odcinkiem)
- W Turcji z polskim biurem podróży: dorośli – 30 USD, dzieci od 6 do 12 lat – 15 USD, do 6 lat – za darmo
- Ameryka Południowa: 50–100 USD



rzyło się nic złego – uspokajają organizatorzy. Na wszelki wypadek, tzn. gdyby „nie daj Boże coś się stało”, firma proponuje ubezpieczenie.

Z kolei Safari Travel wkomponowała rafting na rzece Athi w 17-dniową wyprawę po Afryce. W programie oprócz spływu znajdują się m.in. forsowne marsze po bezdrożach Kenii, wizyty w murzyńskich wioskach i przejażdżka na wielbłądzie – wszystko za około 2340 dolarów od osoby. Pływanie pontonem przewidziane jest również w ofercie tańszej wycieczki do Nairobi i Parku Narodowego Samburu.

Są też ogłoszenia dla mniej zamożnych. Przykładowo, za 150 zł goście hotelu „Cis” z Przybędza w Beskidzie Żywieckim mogą spłynąć pontonem w słowackich Tatrach Niskich. Gospodarstwo agroturystyczne z Dwerniczka nad Sanem proponuje rafting trzykrotnie tańszy. Pod jednym warunkiem: najpierw musi solidnie popadać, w przeciwnym razie rzeka będzie za płytka.

Dyscyplina jak w desancie

– Polacy wciąż bardzo mało wiedzą o aktywnym wypoczynku, a co dopiero o raftingu. Pontony najczęściej kojarzą się im z tandetą zza wschodniej granicy, a nie z supernowoczesnymi łodziami za kilkanaście tysięcy złotych – ubolewa Piotr Sikora. Na tej niewiedzy często żerują domorośli fachowcy.

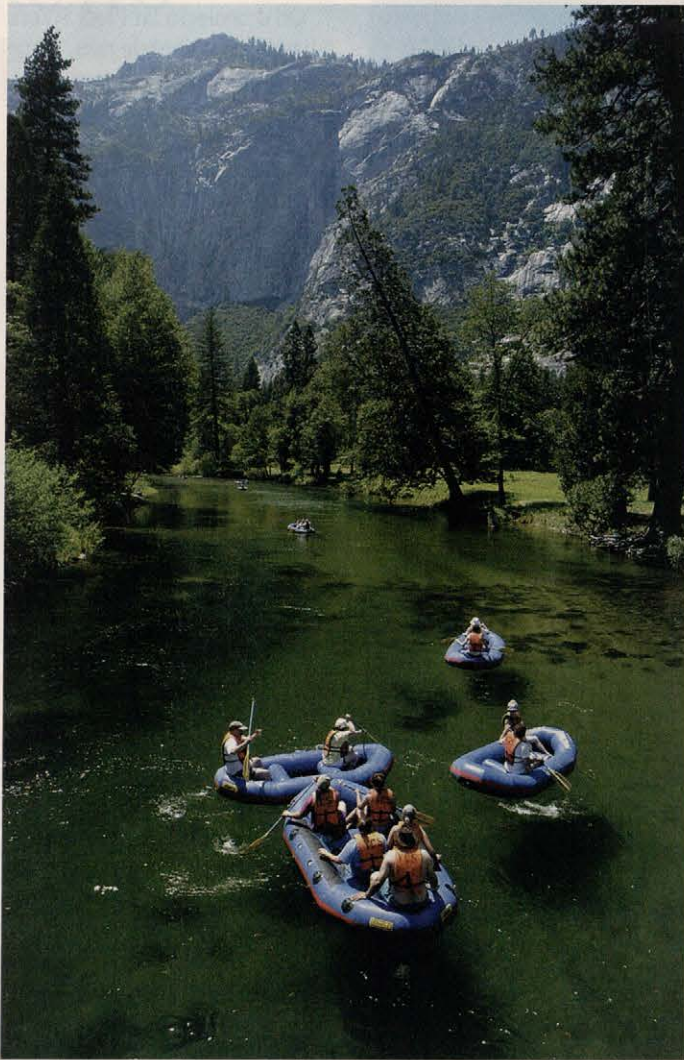
– Brakuje godnych zaufania organizatorów spływów i dlatego łatwo można się nadziać na takich, którzy z bezpiecznym dostarczaniem adrenaliny mają niewiele wspólnego – przestrzega Andrzej Ziarko. – Żeby na górskiej rzece nie zrobić sobie krzywdy, trzeba pływać z doświadczonymi ludźmi. Odradzam spływy na własną rękę lub w towarzystwie osób, które niewiele wiedzą o white water. Pod żadnym pozorem nie wolno wsiadać do zdezelowanego pontonu lub próbować płynąć na starej dętce.

Po czym poznać dobrą firmę raftingową? Profesjonaliści dysponują nowoczesnym sprzętem: pontonami ze specjalnymi odpływami, kaskami, kapokami i paga-

jami. Zdarza się nawet, że ubierają klientów w pianki neoprenowe chroniące przed otarciami i lodowatą wodą (4–10 st. C).

Nie wszystkim się to spodoba, ale o zawodowstwie świadczy również wojskowy dryl organizatorów.

– Przed eskapadą trzeba przejść krótkie szkolenie. Płynący muszą zapoznać się przynajmniej z komendami sternika i uwierzyć mu na słowo, że podejmowane przez niego decyzje będą słuszne, bo ponton to nie miejsce na dyskusje



Turyści płyną pontonami po rzece Merced w Parku Yosemite.

i indywidualizm. Bezpieczeństwo załogi zależy od zachowania wszystkich jej członków – wyjaśnia Andrzej Ziarko.

Dobry sternik musi doskonale znać rzekę. Na wodzie nic nie powinno go zaskoczyć. – W spływach na ogół uczestniczą laicy, którzy na górskiej rzece znaleźli się pierwszy raz. Może się im więc zdawać, że instruktor wymądrza

się i próbuje komuś pokazać, że jest od niego lepszy. A to nieprawda – kontynuuje Ziarko. – Sternikowi zależy przede wszystkim na tym, by u celu podróży z pontonu wysiadło tylu załogantów, ilu do niego wsiadło.

Organizatorów godnych zaufania poznamy również po obecności kajakarzy eskortujących gumowe łódki (nieodzwonej na rzekach o trudności większej niż WW III). – Jeżeli w czasie spływu ktoś wpadnie do rwącej wody, pomoże mu jedynie

stralii, Stanach Zjednoczonych, Francji, Szwajcarii czy we Włoszech, ale także w Rosji.

Przyjemne z pożytecznym

– Ponton jest dużą jednostką z opóźnieniem reagującą na każdy ruch pagajem. Dlatego na wodzie potrzebne jest doskonałe zgranie wszystkich pasażerów – mówi Piotr Sikora. – W przeciwnym razie nie popłyniemy tam, gdzie zamierzamy, a rzeka zrobi z nami, co zechce. – Różnie to bywa z tym zestrojeniem. Zwłaszcza gdy grupa jest niezdyscyplinowana. Czasem zdrowo się napocimy, zanim popłyniemy zgodnie z planem – przyznaje Andrzej Ziarko.

Ale to właśnie dzięki potrzebie koordynacji poczynają członków załogi spływy cieszą się zainteresowaniem dużych firm. Menedżerowie coraz chętniej fundują takie ekstremalne wycieczki pracownikom, ponieważ chcą sprawdzić swoich ludzi w niecodziennych warunkach.

– Rafting jest świetnym sposobem na budowanie prawdziwych załóg, ich integrację i poprawę komunikacji wewnętrznej – przekonuje instruktor Sikora.

Po spokojnej rzece pływać mogą prawie wszyscy: bez względu na płeć czy wiek (niektórzy organizatorzy ustalają dolną granicę na 14 lat). Na rozszałętej „białej wodzie” poradzą sobie tylko najlepsi. Prawdziwy rafting jest bowiem sportem dla wyjątkowo sprawnych fizycznie, a do tego zamożnych.

– Dotąd oferowaliśmy ekstremalne spływy jedynie firmom. W tym sezonie ruszamy również z ofertą dla klientów indywidualnych – mówi szef Tatra Extreme. – U nas spływ jest drogi, ponieważ zawsze stanowi część większej wyprawy, np. do Afryki lub Patagonii, w czasie której organizujemy np. wspinaczkę i jazdę konną.

Chętnych do dalekich podróży, ze szczyptą ryzyka wpisanego w cenę, nie brakuje, bo interes narkęca samo życie.

– Przepracowani i zestresowani ludzie muszą odreagować, a rafting i inne sporty ekstremalne zapewniają nie znane im wcześniej emocje – mówi Andrzej Ziarko. – Poza tym są bardzo modne.

DARIUSZ WOJTAŁA

W związku z ustawą antypiwną miastu Warka grozi zmiana nazwy.

Czy wchodzące w połowie września przepisy zabraniające reklamowania piwa zagrożą polskiemu sportowi? Marek Pałus, prezes Polskiego Związku Koszykówki, twierdzi, że rozpoczynająca 20 września rozgrywki basketbalowa ekstraklasa, po wycofaniu się ze sponsoringu Kompanii Piwowarskiej Lech, straci ponad 5 mln złotych.

Tylko po dwudziestej trzeciej

Kiedy wiosną do laski marszałkowskiej wpłynął projekt nowelizacji ustawy o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi, eliminujący reklamę piwa w czasie imprez sportowych, larum podnieśli nie tylko przedstawiciele browarów, ale także kluby i związki sportowe. Nic dziwnego. Zakaz umieszczania reklam na stadionach i w halach oraz używania w nazwach drużyn marek piwa oznacza utratę pokazywanych pieniędzy. Dla wielu organizacji sportowych stanowią one często podstawę budżetu.

Batalia, jaką browary stoczyły z ustawodawcą, przekonując o stratach grożących polskiemu sportowi, odniosła niewielki skutek. W Senacie nieco zliberalizowano sejmowy projekt, zezwalając na informowanie o sponsorowaniu imprez przez producentów i dystrybutorów piwa, jednakże pod określonymi warunkami. Taką informację można – zgodnie z uchwaloną ostatecznie ustawą – eksponować jedynie poprzez umieszczenie nazwy lub logo producenta piwa na bilecie, zaproszeniu, plakacie i tablicy informacyjnej związanej z imprezą. Można ją podawać w radiu i telewizji, jed-

BASKET BEZ PIWA



W chmiele przyszłość polskiej koszykówki.

nakże tylko między 23 a 6 rano. Przedstawiciele browarów uważają, że nowelizacja ustawy to triumf głupoty i kołtuństwa.

Czy jednak sportowi grozi finansowa zapaść?

Warka to nie tylko piwo

W niektórych krajach zachodnich już od dawna nie można reklamować piwa, nawet puszczając oko. Nie zbankrutował z tego powodu żaden z klubów. Nie małe je też sprzedaż złocistego napoju podczas sportowych imprez. W Polsce ekspansja reklamowa firm browarnianych rozpoczęła się na początku lat 90. Inwestowano głównie w kluby koszykarskie

i zarazem główny komisarz ligowych rozgrywek. Wskazuje też na mogące pojawić się absurdy nowej sytuacji. – Chcąc być konsekwentnym, trzeba by zmienić nazwę miasta Warka, bo przecież kojarzy się ona z zakazanim napojem. A co zrobić z klubem, który ma siedzibę w tej miejscowości i także używa jej nazwy? Czy to wreszcie oznacza, że transmisje telewizyjne z meczów Euroligi, sponsorowanej między innymi przez duże światowe browary, będą możliwe dopiero po 23?

Nie ma kolejki sponsorów

Antoniczuk uważa, że dla wielu zespołów koszykówki może to oznaczać poważną dziurę w budżetach. Dotychczas środki otrzymywane od sponsora tytularnego ligi oraz z telewizji równo dzielono między kluby ekstraklasy. Chętnych do zastąpienia „Lecha” na podobnych warunkach nie ma wielu. Prowadzi się rozmowy z kilkoma firmami, ale – jak mówi Antoniczuk – są to trudne negocjacje i przed drzwiami PLK nie ustawiła się kolejka potencjalnych sponsorów.

Nie ulega wątpliwości, że boom na koszykówkę w Polsce związany był z napływem do niej dużych pieniędzy. W klubach pojawiła się plejada zagranicznych graczy, zarabiających grubo ponad 100 tys. dolarów za sezon. W ostatnich latach podniósł się poziom rozgrywek, a rodzime zespoły zupełnie nieźle radziły sobie w europejskich rozgrywkach. Zapewniły się hale, coraz większe i nowocześniejsze.

– Nie jesteśmy jednak na tyle zamożnym krajem, żeby rezygnować z tak poważnego sponsora, jakim jest branża piwna – ubolewa nasz rozmówca. – Takich klubów jak Śląsk Wrocław, z rocznym budżetem ponad 4 mln dolarów, nie ma w Polsce wiele. Nawet po urealnieniu wysokich zarobków zawodników bez pieniędzy z browarów niektóre zespoły nie poradzą sobie.

Również działacze innych klubów biją na alarm.

JERZY CIERPIATKA
MAREK LATASIEWICZ

Ukryty plan prezesa

Telewizja publiczna po raz kolejny zakpiła z widzów, oferując im produkt drugiej świeżości.

Od kilku lat na niewinną głowę prezesa TVP SA spadają gromy rzucane przez kibiców piłki nożnej. Robert Kwiatkowski jest atakowany za oddanie walkowerem prawa do pokazywania tej najpopularniejszej w Polsce dyscypliny sportowej. Niełaska kibiców sięgnęła zenitu, gdy wiosną tego roku okazało się, że TVP po „odpuszczeniu” futbolu w wydaniu krajowym i pucharowym przegrała również przetarg na transmisję z mistrzostw świata w Korei.

Prawdopodobnie to właśnie wtedy w biurze zarządu TVP zdecydowano się na podjęcie piłkarskiej ofensywy – niekonwencjonalnej, oryginalnej, właściwej stacji o ambicjach artystycznych. Ofensywy, której cel jest równie jasny co ambitny: wybić ostatnim Mohikanom polską piłkę z głowy, udowadniając, że jej oglądanie jest stratą czasu.

Od decyzji do czynów droga była krótka. Najpierw od Canal Plus kupiono prawo do pokazywania bramek z krajowych boisk, potem zadbanie o wyłączność na pucharowe spotkania polskich drużyn uczestniczących w międzynarodowych rozgrywkach (chcieliście, to macie, po trzy mecze dziennie). Wreszcie w sierpniu kibice zobaczyli tajną broń prezesa:

reklamowany przez kilka tygodni dzielnym magazyn „Gol”. Jak dziś „sprzedaje się” futbol na szklane

nym ekranie – z grubsza wiadomo. Na każdym boisku kilka kamer, wielokrotne powtórki (z różnych ujęć i w zwolnionym tempie) najciekawszych sytuacji. Przy relacjach na żywo meldunki z ławki rezerwowych, w trakcie transmisji aktualizowane statystyki z meczu, ciekawostki o piłkarzach. Tak od dawna robi Eurosport, Wizja Sport i Canal Plus, tak stara się przygotowywać swoje magazyny Polsat. Jest i sól każdej transmisji – komentarz. Taki, żeby mecz w Radomsku zyskał temperaturę widowiska na Camp Nou.

A co robi TVP? Nawet widowisko na Camp Nou z udziałem mistrza Polski relacjonuje tak, jakby to był sparing w Radomsku, coś dopiero, gdy przyjdzie jej pokazywać „ligową szarżę”. W tym pozornym szaleństwie odstręczającym ludzi od telewizorów kryje się jednak wspomniana wcześniej metoda, ów „ukryty plan” prezesa. Po prostu ktoś na Woronicza zadał sobie fundamentalne pytanie: jaki jest poziom polskiej piłki klubowej? Oczywiście – totalna amatorszczyzna! Jaki stąd wniosek dla realizatorów telewizyjnych? Dostosować formę do treści! Pokazywać ekstraklasę jak „ligę buraczaną”, bo tylko tego jest warta.

W magazynie „Gol” oglądamy zatem minutę lub dwie z każdego krajowego boiska (więcej nie warto). Obraz rejestruje jedna kamera, najczęściej ustawiona na poziomie murawy (jaki poziom, takie ustawienie kamery), co sprawia, że nie sposób połapać się, jakim cudem piłka wtoczyła się do siatki. Słusznie przyjęto założenie, że jakiegokolwiek powtórki (nie daj Boże, w zwolnionym tempie), ujęcia zza bramki czy zbliżenia mogłyby tylko zniekształcić prawdziwe oblicze rodzimej kopaniny. Dwa razy tyle czasu, ile sytuacjom na boisku, poświęca się rozmowom z trenerami i gwiazdami piłki. Pytania są oczywiście tendencyjne, więc atmosfera robi się zupełnie jak w „Rejsie”.

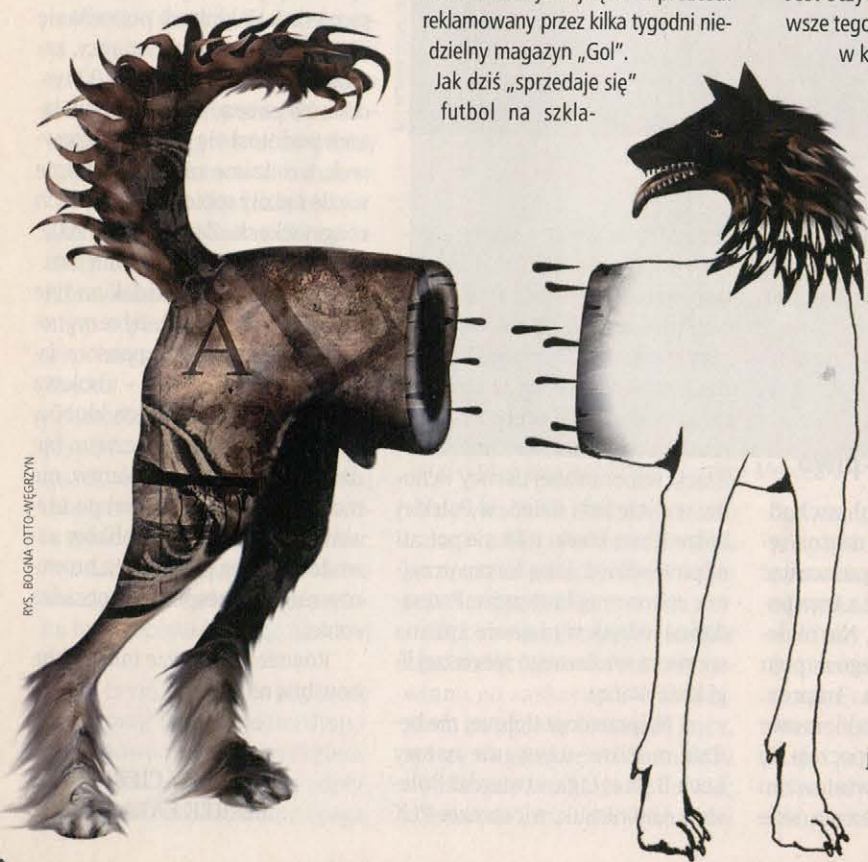
Jest oczywiście i komentarz, są wypowiedzi piłkarzy, są opinie eksperta (zawsze tego samego, Dariusza Dziekanowskiego) – wszystko doskonale osadzone w konwencji cinéma-vérité. Komentarz zwykle zaczyna się od słów: „O meczu X z Y można powiedzieć tyle, że się odbył”, lub stwierdzenia: „Mecz rozstrzygnął się już w piątej minucie (i każdy wie, że oglądanie następujących dalej sytuacji można sobie darować). Komentarz mówi głosem monotonnym, śmiertelnie znudzonym, do czego ma absolutne prawo, bo te same perły frazeologiczne rzucał przed kibicowską tłuszcą jeszcze w czasach Andrzeja Jarosika i Huberta Kostki.

Rok temu w jednym z (telewizyjnych) wywiadów prezes Kwiatkowski na pytanie, dlaczego TVP nie transmituje spotkań ligowej piłki, odpowiedział pytaniem: „A czy widział pan ostatnio jakiś mecz ligowy?”. Potem dorzucił kilka cyfr dotyczących oglądalności takich transmisji i dziennikarz miał się pyszna. Widz zapewne też, chyba że akurat miał w domu dekodery i mógł porównać poziom nie tyle samej piłki, co realizacji meczu: w TVP i którejkolwiek z platform cyfrowych.

Telewizja publiczna po raz kolejny zakpiła z widzów, oferując im produkt drugiej świeżości. Magazyn „Gol” jest także przykładem klasycznego sabotażu, bo nie brak dowodów na to, że futbol nie dużo wyższych lotów niż nasz można pokazać w atrakcyjny sposób, sporo na tym zarabiając.

A co do ukrytego planu prezesa. Prawdziwy kibic jest jak alkoholik. Jakbyś mu obrzydział butelkę, i tak po nią sięgnie. Tyle że korzystając z dekodera.

WŁAJER



RYS. BOGNA OTTO-WĘGRZYN

Nie pytaj, co jamnik zrobił dla ciebie, lecz – co ty zrobiłeś dla jamnika.

PRZE
KRÓŁ

– już po raz siódmy – zaprasza psią elitę
wraz z właścicielami na ogólnościową

PARADĘ JAMNIKÓW 2001



Słuchajcie, jamniki! Jest jesień. Jest wrzesień.

Pora iść, bo zbliżają się czasy wielkie, a czasy wielkie wymagają długich psów. Na moje dramatyczne pytania:

– Jeśli nie teraz, to kiedy? Jeśli nie my, to kto? – Wielka Rada Jamnicza odpowiedziała jak jeden ogon: IDZIEMY POD BARBAKAN.

Wszyscy: bez różnicy długości, stanowisk, miejsc pod kołdrą, doniosłości głosu. Idziemy, bo naszym obowiązkiem jest demonstracja elegancji, inteligencji, dojrzałości politycznej, umiejętności zabierania głosu w każdej sytuacji.

Lub też milczenia, które – bywa – jest sztuką największą. Pamiętajcie: nie będziemy się gryźć jak ludzie.

Pamiętajcie: 22 września, godz. 11.45, Jamnicza Stolica Polski, Barbakan.

Hurrrrra! Hurrrrrra! Hurrrrrrra!

...Król

KARTA UCZESTNICTWA

Zgłaszam swój udział w Paradzie Jamników 2001 i zgadzam się kandydować na Króla/Królową Parady 2001

Imię psa

Płeć..... Rok urodzenia.....

Długość (w centymetrach, mierzona od nosa do końca ogona).....

Cechy szczególne (można dołączyć zdjęcie).....

Imię i nazwisko oraz cechy szczególne właściciela.....

Dokładny adres.....

Telefon

Uwaga! Karta uczestnictwa jest deklaracją udziału w Paradzie Jamników 2001 i podstawą wyboru finalistów, spośród których Kapituła wybierze Królową i Króla Jamników 2001. Termin nadsyłania kart uczestnictwa upływa 17 września 2001 r.

PASZPORT

Uprawnia do udziału w losowaniu cennych nagród podczas Parady Jamników w Krakowie 22 września 2001 roku

Imię psa.....

Cechy charakterystyczne jamnika.....

Imię i nazwisko oraz cechy szczególne właściciela.....

Adres.....

Uwaga! Paszport upoważnia do losowania nagród niezależnie od udziału w Paradzie (nieobecni otrzymują nagrody pocztą). Karty uczestnictwa i paszporty przysyłajcie na adres: „Przekrój”, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z dopiskiem Jamniki 2001. **UWAGA!** Paszporty będzie można składać do ostatniej chwili, tzn. jeszcze podczas pochodu.

Oczekujemy także na listy z zabawnymi fotografiami psich ulubieńców oraz z „jamniczymi” fraszkami.

Sponsor Główny

ROYAL CANIN

Sponsor

SOLARIS

Partnerzy medialni

Radio ZET

TELEWIZJA
KRAKÓW

MIESIĘCZNIK DLA MIŁOŚNIKÓW ZWIERZĄT
MójPies

Z Sękocina w świat

Ruszyła druga edycja Wielkiego Brata.

Zwycięzca pierwszej edycji Big Brother Janusz Dzieciół nie opuścił jeszcze domu w Sękocinie, a już ruszyła produkcja drugiej. Na wezwanie Wielkiego Brata zgłosiło się ponad 120 tys. osób – 12 razy więcej aniżeli przed rozpoczęciem pierwszych odcinków.

– Wśród zgłaszających się byli nawet cudzoziemcy. Mogę również zdradzić, że zjawił się były kandydat na prezydenta wraz z żoną – mówi rzecznik prasowy Big Brother II, Magdalena Kuczerawa.

40 redaktorów oraz 10 osób z produkcji w pierwszym etapie zajęło się selekcjonowaniem 35 tys. listów. Wybrano 5 tys. zgłoszeń. Wyłoniono z nich 500 osób i zaproszono na pierwszą próbę przed kamerami.

Testy trwały kilka godzin. Grupa wybrańców zawęziła się do 50 osób. Kolejny etap eliminacji, sprawdzający wytrzymałość psychiczną i fizyczną kandydatów, miał pokazać, jak reagują na sytuacje stresowe, wstydlive czy też zabawne. Podczas dobierania do-

REKLAMA(GJE)

ZAKŁĘCIA NA WZDĘCIA

Medycyna nie jest domeną magów i czarodziejów. Niemniej uzdrowiciele mają się dobrze, tyle że ich pacjenci niekoniecznie. Ostatnio media doniosły o kolejnych ofiarach cudotwórców.

Tym bardziej dziwi, że duży koncern farmaceutyczny zdecydował się w swojej kampanii w roli głównej obsadzić maga, chociaż nie wypowiada magicznych zaklęć i nie macha czarodziejską różdżką. Zamiast wywaru z lewego oka bazyliuszka, skrzydła nietoperza, języka smoka i liścia kwiatu paproci zebranego odpowiedniej nocy podaje manti. Lek zwalcza zgagę, nadkwaśność, ból żołądka, niestrawność i wzdęcia. Jak działa – wyjaśnia reklama telewizyjna i ulotki. Mocy magicznych nie ma w tym ani trochę. Król, który w filmie reklamowym przesadził z uciechami stołu, czuje się już wyśmianie. Jedynym magicznym elementem, w jaki wyposażono „magunia” – jak nazywa go król – jest emanujące zeń światło.

Dzieło wieńczy hasło: „Zgaga precz! Manti lecz!”. Na to hasło pozwolę sobie odpowiedzieć copyrigherom także w formie rymowanej: „Rymów dość! Wymyśl coś!”. (ŁDZ)



Big Brother II: Alicja Długowska, Ireneusz Górski, Małgorzata Witczak i Jakub Jankowski – pierwsi kandydaci do zamknięcia w Sękocinie.

mowników nie dopuszczano do sytuacji, w której uczestnicy mogliby się spotkać. Ostatecznie wybrano 10 osób, które 2 września weszły do sękocińskiego domu, 6 osób nominowanych do „Ty wybierasz” oraz rezerwę.

Kariery lokatorów

Czy powtórzą sukces poprzedników, z którymi TVN zawarła dwuletni kontrakt, który obejmuje m.in. prawo do wizerunku, a także związany jest z działalnością promocyjną i marketingową, aby – jak mówi rzecznik prasowy TVN, Andrzej Sołtysik – zabezpieczyć się przed wykorzystaniem ich popularności dla celów komercyjnych lub programowych przez konkurencyjne stacje telewizyjne.

– W razie zawarcia przez nich innych umów, np. reklamowych, 50 proc. zysków – mówi Sołtysik – przysługuje TVN. Mówimy oczywiście o intratnych kontraktach. Stacja nie zażąda połowy zarobku jednego z byłych uczestników, który np. promował jakiś produkt w supermarkecie i otrzymał za to 2000 zł. Nie jesteśmy cerberami.

Manuela Michalak ma zostać współprowadzącą program „Maraton uśmiechu”, Małgosia Majer vel „Gosiacek” będzie prowadzić program „Ikea – dom twoich marzeń”. Kontrowersyjnej Monice Sewioło stacja nie zaproponowała niczego konkretnego, informacja o możliwości prowadzenia przez Karolinę Pachniewicz programu muzycznego „Viva Polska” okazała się przedwczesna.

Alicja Walczak prowadziła tegoroczny konkurs Miss Polonia, Sebastian Florek wrócił do polityki – startuje w wyborach z listy SLD w okręgu olsztyńskim, prowadzi również poranny program w tamtejszym radiu.

Klaudiusz Sevković wydał książkę „Sękocin od kuchni”, z którą jednak – jak podkreśla rzecznik TVN – stacja nie ma nic wspólnego.

Shafted zadebiutuje w Polsce

Andrzej Sołtysik – również jako nowy prowadzący – ma świadomość, że oglądalność drugiej edycji programu jest z reguły o 10 – 15 proc. niższa od pierwszej. Wielki Brat najdłużej pre-

zentował się w Niemczech – aż trzy edycje.

Poza Wielkim Bratem firma Endemol-Neovision planuje kolejny projekt Shafted, którego polski tytuł dopiero uzgadnia z TVN. Tym razem Polska będzie pierwszym krajem na świecie, w którym go zrealizują.

Najtrafniej mogę go opisać jako psychologiczny „game-show”: inteligentna mieszanka tradycyjnej telewizji z tą, która wywołuje u widzów dreszcz podekscytowania – wyjaśnia Mike Morley, dyrektor generalny firmy Endemol-Neovision, producenta programu.

Jego emisja rozpocznie się jesienią tego roku. Tydzień później ruszy wersja angielska – w najlepszym czasie antenowym.

JUSTYNA TAWICKA

PILOT

RADIA NA TURECKIM KAZANIU

Wysoka Rada ds. Radia i Telewizji – turecki odpowiednik Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji – nakazała wstrzymanie emisji tureckim sekcjom radia BBC i Deutsche Welle. Decyzję uzasadniono łamaniem prawa, gdyż obie stacje nadawały na częstotliwościach zarezerwowanych dla rodzimych nadawców.

Nowe rozporządzenie jest sprzeczne z wcześniejszą zgodą Rady na nadawanie przez zagranicznych nadawców na tych falach.

STAN POSIADANIA

Należąca do Eurozet Radiostacja otrzymała nową koncesję na pięć lat. Zgodnie z nią stacja ma mieć uniwersalny program, adresowany do młodzieży w wieku od 15 do 25 lat. Muzyka nadawana przez Radiostację powinna należeć do awangardy polskiej i światowej muzyki młodzieżowej. Według zapewnień prezesa zarządu Eurozet, Moniki Bednarek, stacja ta, obok Radia Zet, ma decydujące znaczenie dla spółki. Eurozet planuje zwiększenie zasięgu jej nadawania.

PLUS DO UŻYTKOWANIA

Episkopat Polski przekazał w „umowne użytkowanie” wszystkie należące do niego udziały w Spółce Producentkiej Plus (właściciela Radia Plus) firmie Silesia Plus, Agencji Reklamowej z Katowic. Jednocześnie desygnował do rady nadzorczej spółki trzech księży archidiecezji śląskiej.

ZMIANY KADROWE

Dyrektor Programowy programu III PR Michał Olszański zrezygnował z pełnionej funkcji. Nie udało mu się zahamować spadku słuchalności stacji. Olszański był trzecią osobą – po Pawle Zegarłowiczu i Piotrze Kaczkowskim – kierującą PR III w ostatnich trzech latach. Większość pracowników Trójki podpisała się pod listem wystosowanym do prezesa PR Ryszarda Miazka, mówiącym o wciąż pogarszającej się sytuacji radia i sugerującym zmiany programowe.

Piotr Metz (na zdjęciu) obejmie od 1 września stanowisko doradcy muzycznego w grupie medialnej Eurozet, będącej właścicielem m.in. Radia Zet. Metz pracował w radiu RMF FM od początku jego działalności, początkowo jako dyrektor muzyczny, a w ostatnim okresie także jako dyrektor programowy. W RMF nie pracuje od sierpnia. (opr. ŁDZ)



FOT. BOGDAN KRZEL



Kadry z filmu „Idealny mąż”



Oscar Wilde

Poważny, ale na serio

Oscar Wilde zmarł 101 lat temu. Po jego utwory kino sięga już od 93 lat.

„Mam nadzwyczaj prosty smak. Zawsze zadowala mnie to, co najlepsze” – oto jeden z wielu paradoksalnych aforyzmów Oscara Wilde’a. Postać to niezwykła i wyjątkowo tragiczna.

Naprawdę nazywał się Fingal O’Flahertie Wills. Uważano go za cudowne dziecko. Po ukończeniu Oksfordu zajął się twórczością literacką – pisał opowiadania, wiersze, dramaty i eseje. Zasłynął jednak nie tylko swoją twórczością, lecz skłonnością do skandalizowania i epatowania burżujów. Stał się wcieleniem XIX-wiecznego dandysa – z lubością demonstrował swoją znie-

wieściałość, odmiennosc seksualną, przyozdabiał się w pawie pióra oraz w stroje ozdobione słonecznikami i liliami. To przyczyniło się do jego upadku. W 1895 r. – na pięć lat przed śmiercią – Wilde’owi wytoczono proces o praktyki homoseksualne (homoseksualizm przestał być ścigany przez brytyjskie prawo dopiero w 1968 r.). Skazano go na dwa lata ciężkich robót i więzienia, co dla wymuskanego estety i zwolennika sztuki dla sztuki było trudnym do zniesienia przeżyciem. Zaraz po zwolnieniu wyjechał do Francji, gdzie umierał w osamotnieniu i nędzy.

Powstały zresztą wtedy dwa najbardziej wstrząsające utwory pisarza, które świadczą o jego niezwykłej duchowej przemianie – „Ballada o więzieniu w Reading” i „De profundis”, będące rodzajem spowiedzi autora ze swojego przegranego życia.

To właśnie życiorys sprawił, że kino nie tylko chętnie sięgało po jego dramaty mające cechy „scenicznych samograjów”, lecz także po dramatyczne wydarzenia z jego biografii.

Chętnie filmowano jego „Portret Doriana Graya” – historię Narcyza doskonałego. Z dramatów – triumfy święciły szczególnie dwa – „Bądźmy poważni na serio” oraz skandalizująca „Salome”. Właśnie historia księżniczki Salome – córki Herodiady, która zakochuje się w uwięzionym Janie Chrzcicielu, a potem wymusza na Herodzie jego ściecie – była pierwszym sfilmowanym w 1908 r. tekstem Wilde’a. Rozgłos „Salome” wynikał nie tylko z drastyczności dramatu – epatującego chucią i rozpasanym erotyzmem, lecz także z sukcesu opery Richarda Straussa, której libretto oparto na tekście Wilde’a.

Bardzo interesująco podszedł do tego tematu Kenn Russell

w filmie „Ostatni taniec Salome” (1988 r.). Pokazuje w nim – z pomocą niezwykle nagromadzenia kiczu – premierę sztuki w obecności autora. Akcję umieszczono w domu publicznym, Wilde niezwykle przeżywa wydarzenia na scenie. Służąca grająca Salome w finale filmu Russella ginie naprawdę, kiedy Herod, wstrząśnięty widokiem księżniczki obcałowującej usta odciętej głowy proroka – każe przebić ją włócznią.

Również polscy filmowcy sięgnęli po krótką prozę Wilde’a dwukrotnie i w tym samym 1967 r. Były to telewizyjne filmy: „Duch z Canterville” Ewy i Czesława Petelskich z zabawnym Czesławem Wołłejką w roli tytułowej oraz „Zbrodnia lorda Artura Savile’a” Witolda Lesiewicza. To ani wielkie filmy, ani wielkie opowiadania, lecz utwory prześycone ironią i specyficznym humorem – a to dla stylu Wilde’a najważniejsze.

W tym roku po raz kolejny sięgnięto po „Doriana Graya”, na przyszły zaś zapowiadana jest premiera kolejnej wersji „Bądźmy poważni na serio”.

Zatem filmowcy nie próżniują – widocznie mają w pamięci jeszcze jeden aforyzm Wilde’a: „Jedyną straszną rzeczą na tej ziemi jest nuda. Jest to grzech, dla którego nie ma wybaczenia”.

JACEK ZIEMEK

● SŁABE ●● PRZECIĘTNE ●●● ZACNE ●●●● ZNAKOMITE ●●●●● WYBITNE



BRATERSTWO WILKÓW

Francuski thriller kostiumowy nawiązuje do zatrważających wydarzeń z czasów Ludwika XV. Nadworny przyrodnik przybywa do jednej z prowincji królestwa, gdzie szaleje tajemnicza Bestia mordująca kobiety i dzieci. Zagadka Bestii nie została do dziś rozwiązana, ale na ekranie dochodzi, oczywiście, do jej rozwikłania i unicestwienia potwora. Można wprawdzie kręcić nosem na wizję owych wypadków przedstawioną przez reżysera, ale trzeba też oddać mu należne honory. Scenariusz, mimo paru oczywistych bzdur, jest przewrotny, dialogi inteligentne, a aktorzy przekonywający (choć Monica Belluci mogłaby być mniej demoniczna). Niestety, Gans uznał, że w dzisiejszych czasach to nie wystarczy i postanowił uatrakcyjnić swe dzieło kopaniną żywcem przeniesioną z filmów kung-fu. Jeżeli zabieg ten jest zwiastunem kina nowego tysiąclecia, zobaczymy pewnie niedługo, jak Odyseusz nowiutkim F-16 z fasonem pruje pod Troję. Dzieciaki będą zachwycone. (MS)

Reż. Christophe Gans, Francja 2000 r.



DOTYK PRZEZNACZENIA

Schematyczny dreszczowiec z moralizowaniem, gdzie nuda zastąpiła napięcie, a przegadanie dopełniło reszty. Akcja toczy się w ślimaczym tempie, a całość nie przekonuje. Ma się wrażenie, że twórcom zabrakło świeżego pomysłu. Do jednego worka wrzucono przemoc w rodzinie, wykorzystywanie seksualne w dzieciństwie, zdradę małżeńską, męski seksizm oraz chorobę psychiczną. Ten nieudany miszmasz rozprasza i irytuje. Nie pomagają mu nawet aktorskie zabiegi Cate Blanchett, grającej matkę trzech synów, która

dorabia do renty po zmarłym mężu, wróżąc z kart. Jej paranormalne zdolności i koszarne wizje przyczyniają się do odkrycia zwłok młodej kobiety (Katie Holmes) zamordowanej, jak sądzi policja, przez narwanego farmera (Keanu Reeves). Skazanie go na więzienie nie uwalnia jednak bohaterki od śmiertelnego niebezpieczeństwa, które widzi we śnie. Wątpliwe, by film zadowolił nawet wielbicieli gatunku: strachu w nim tyle, co kot napłakał, a intryga jest banalna. Do tego pompatyczno-słodkie zakończenie. Ot, kolejny sztamponowy produkt made in USA. (ACK)

Reż. Sam Raimi, USA 2000 r.

KINONOTKI

■ ODSZEDŁ RABAL

29 sierpnia w wieku 75 lat zmarł wybitny aktor hiszpański Francisco Rabal. Śmierć dosięgła go podczas lotu z Montrealu, gdzie na festiwalu filmowym odebrał nagrodę za całokształt twórczości. Aktor zadebiutował jeszcze pod koniec lat 40. Współpracował m.in. z Luisem Buñuelem („Viridiana”, „Piękność dnia”), Mario Camusem („Niewinni święci” – nagroda na festiwalu w Cannes, 1984), Luchino Viscontim („Czarownica”), Michelangelo Antonionim („Zaćmienie”), Carlosem Saurą („Goya”).

■ ZANUSSI KONTYNUUJE

Krzysztof Zanussi zakończył zdjęcia do filmu „Suplement” – kontynuacji „Życia jako śmiertelnej choroby przenoszonej drogą płciową”. Głównymi bohaterami są Filip i Hanka – postaci z poprzedniego filmu reżysera. Zdjęcia nakręcono w ciągu 15 dni, przy minimalnym budżecie. Film częściowo realizowano w prywatnych mieszkaniach Zanussiego i rodziny jego żony. W ubiegłym roku „Życie...”

święciło tryumfy – wygrało festiwale filmowe w Moskwie i Gdyni. Ciekawe, jak krytyka i widzowie przyjmą jego kontynuację.

■ 58. WENECJA TRWA

W tym roku o główną nagrodę na festiwalu walczy 20 filmów, m.in.: „Bully” Larry’ego Clarka, „Waking Life” Richarda Linklatera, „Y tu mama tambien” Alfonsa Cuarona, „Raye makhfi” Bapaka Payamiego, „Eden” Amosa Gitai, „The Navigators” Kena Loacha, „Behind the Sun” Waltera Sallesa, „Loin” Andre’a Techine’a i „How Harry Became a Tree” Gorana Paskaljevica. Przewodniczącym jury jest włoski reżyser Nanni Moretti, którego film „Pokój syna” zdobył w tym roku Złotą Palmę w Cannes. Jednym z członków jury jest Jerzy Skolimowski. W ramach festiwalu odbywa się retrospektywa twórczości Andrzeja Munka. Złotego Lwa za całokształt twórczości otrzyma wybitny francuski reżyser, jeden z prekursorów Nowej Fali, 81-letni Eric Rohmer. Korespondencja z Wenecji – za tydzień. (JAZ)



IDEALNY MĄŻ

Udana, pełna ironicznego wdzięku adaptacja sztuki Oscara Wilde’a, subtelna „perła” w morzu filmowej nijakości, banalności i nudy. Komediiowy, lekki styl, w połączeniu z uniwersalizmem i zasługującymi na uznanie kreacjami aktorskimi sprawia, że o rozczarowaniu nie może być mowy. Film Parkera wyróżniają godne zapamiętania, smakowite dialogi: niemal każde zdanie to urokliwy aforyzm, językowy paradoks – ucztą dla wrażliwego ducha. Pełna humoru opowieść o bawidamku i elokwentnym próżniaku (Rupert Everett) jest pretekstem do ukazania arystokratycznych sfer XIX-wiecznego

Londynu, które beztrząsą nudę zabijają wytwornymi przyjęciami oraz rozmowami o niczym, a nie tak nie rozgrzewa tego towarzystwa jak obyczajowy skandal. Pod maską kurtuazji kryje się brud: intrygi, szantaż i zawiść, zazdrość i brak skrupułów. Króluje premedytacja i gra pozorów: spragnione nieustannych wrażeń damy z dziecinną łatwością wykorzystują słabości bogatych dżentelmenów, wodząc ich za nos. Ci z kolei, narcystycznie wpatrzni w siebie, utwierdzają się w przeświadczeniu o własnej doskonałości. Akcja filmu mogłaby więc z powodzeniem rozgrywać się współcześnie. Zmieniły się tylko nazwy: przyjęcia zastąpiono bankietami, a rozmowy o niczym – wymianą poglądów. (ACK)

Reż. Oliver Parker, Wielka Brytania 1999 r.

JUŻ STAROŻYTNI RZYMIANIE

DOMUS AUREA

Telekomunikacja Polska SA rządzi, póki może. Abonament za telefon jest więc irracjonalnie wysoki, Internet najdroższy w Europie, a jakość połączeń wcale się nie polepsza. Na co więc idą nasze pieniądze? Pewnie na pałac. Już starożytni Rzymianie mieli kłopoty z monopolistami.

Taki cesarz Neron postawił sobie w środku miasta Złoty Dom (Domus Aurea), który się ciągnął od Palatynu aż po Eskwilin. Zajmował 200 akrów, dwa razy tyle co Watykan. Był to istny teatr architektury i koloru. Wchodzących witał posąg-kolos nagiego cesarza, odlany

z brązu, wysoki na 40 m. Z ruchomych kasetonów sywały się kwiaty i wydawały woń pachnidła. W salach jadalnych znajdowała się rotunda, która dzień i noc obracała się dokoła, na wzór wszechświata. Ściany pokrywały malowidła sławnego Famulusa – pracował tylko kilka godzin dziennie i zawsze w todze. Łażnię zaopatrywano w wodę morską i z gorących źródeł. W centrum zabudowań znajdowało się rozległe jezioro, otoczone imitacjami miast. Były tam też ogrody, lasy pełne zwierzęcy, winnice, a nawet pola uprawne – Neron mianował się panem natury i wieś przeniósł do miasta. Opętał go istny szal wydatków. Wierzył podobno w plotkę o kosztownościach ukrytych w Afryce przez królową Dydonę. Skarbu jednak nie znalazł, zawiesił więc wypłaty żołdu i zaczął łupić obywateli. Dopiero kiedy dom był na wykończeniu, odetchnął: „wreszcie zaczynam mieszkać jak człowiek”. Dziś po wspaniałym pałacu została sterta kamieni.

Działania TP SA są równie szlachetne i dalekowzroczne. Rzymianie plotkowali, że to Neron podpalił miasto w roku 64, żeby oczyścić plac pod budowę Złotego Domu. Podczas pożaru, w kostiumie aktora, śpiewał o upadku Troi. Ciekawe, co nuci prezes Telekomunikacji, kiedy spogląda przez szyby swojego luksusowego pałacu? Pewnie ktoś już odlewa jego nagi posąg.

MIROSLAW KOCUR



Gombrowicz w języku Szekspira

W Ameryce artysta musi czymś zaskoczyć publiczność.

„Ferdydurke”, zrealizowane przez dwa lubelskie zespoły Provisorium i Kompanię Teatr, od prawie trzech lat udowadnia kilka tez niemożliwych. Jest spektaklem ambitnym i zarazem komercyjnym, bywa grane w wersji polsko-angielskojęzycznej. Podczas tegorocznego edynburskiego festiwalu otrzymał prestiżowe wyróżnienie Fringe First.

Dlaczego gracie „Ferdydurke” po angielsku?

Janusz Opryński, Provisorium: Są dwa sposoby na zaistnienie na światowym rynku. Pierwszy to objazd teatralnej Europy, udział w markowych festiwalach, jak Edynburg. Drugi – wyprawa do jaskini lwa, czyli do Stanów Zjednoczonych. Żeby nie być skazanym wyłącznie na publiczność polonijną lub garstkę teatromanów,

trzeba grać po angielsku. Ludzi zniechęca spektakl w nie znanym im języku, niepopularne są słuchawki z lektorem czytającym tłumaczenie albo napisy wyświetlane nad sceną. W zeszłym roku, planując nasze amerykańskie tournée, poprosiliśmy o pomoc gombrowiczołoga, Allana Kuharskiego. Allan przeraził się, że istnieje tylko jedno tłumaczenie „Ferdydurke” na angielski, i to z niemieckiego! Toteż bardzo szybko z pomocą Danuty Borchart przygotował własny przekład.

Co dla aktora znaczy grać w obcym języku?

Witold Mazurkiewicz, Kompania Teatr: Nauczenie się tekstu, którego się nie rozumie, nie jest dla aktora problemem. Swego czasu wystawialiśmy spektakle lalkowe – po włosku i japońsku. W zawodowym slangu nazywa się to „grać na małpę”. Ta łatwość kryje jednak w sobie pułapkę – nie czuje się wtedy kontaktu z publicznością. Nasze studia nad amerykańską wersją „Ferdydurke” były długie i ciężkie, trwały ponad cztery miesiące. Czasem sprowadzało się to do powtarzania przez

aktorów jednego słowa sto razy dziennie. Chcieliśmy, nie zmieniając nic w przedstawieniu, stworzyć je niejako od nowa. A teraz, grając w Edynburgu, musieliśmy zapomnieć o wymowie amerykańskiej i nauczyć się brytyjskiego akcentu, zmienić wiele szczegółów, słów i intonacji.

Rok temu krytycy amerykańscy, a teraz brytyjscy w Edynburgu mieli wyraźny kłopot z zaszufładowaniem waszego spektaklu.

W. M.: Nie czułem jednak, żeby nasze intencje pozostały nie zrozumiane. Oczywiście, istnieją w „Ferdydurke” pewne fragmenty, których nie da się przetłumaczyć. Gombrowiczowskie „walenie w głowę” znaczy dla Anglosasa zupełnie coś innego. A wątek z parobkiem i słynnym „po...bratać się chce” nabierał charakteru zdecydowanie homoseksualnego.

Niedługo znów gracie w Ameryce. Pod koniec października „Ferdydurke” pokazacie w słynnej nowojorskiej Café La MaMa. Jaki jest teatr amerykański i jego publiczność?

W. M.: W Ameryce artysta musi czymś zaskoczyć publiczność.

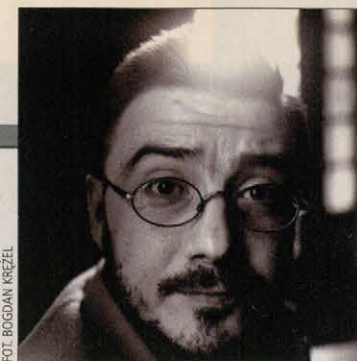
Polska grupa, której marzy się długie tournée, powinna koniecznie mieć tam menedżera i zaprzyjaźniony teatr, który coś znaczy w mieście, teatr, w którym wypada bywać. Trzeba mieć również pieniądze na wynajem sali. I pamiętać, że prasa to potęga. Grając w Nowym Jorku i Los Angeles, zauważyliśmy, że na pierwszych dwóch spektaklach sala była wypełniona tylko do połowy. Dopiero entuzjastyczne recenzje sprawiły, że zaczęły przychodzić nadkomplety widzów. I co ciekawe – inni ludzie chcieli nas oglądać w Nowym Jorku, a inni w Los Angeles.

Wschodnie Wybrzeże ma bogatszą tradycję teatralną. W Nowym Jorku i Filadelfii naszą publiczność stanowili aktorzy, studenci, intelektualści. Było dla nich jasne, że to, co proponujemy, odbiega znacznie od codzienności amerykańskiego teatru, także alternatywnego. I reagowali na nas nawet cieplej niż polscy widzowie. Śmiali się zarówno z tekstu Gombrowicza, jak i z monstrualnej, rozdętej fizjologii naszego spektaklu. Tymczasem na Zachodnim Wybrzeżu, podczas występów w Los Angeles, San Diego i Santa Monica, zauważyliśmy, że na spektakle przychodzi wyłącznie elita. Żartowaliśmy, że po to, by dotrzeć do normalnych widzów, musieliśmy założyć teatr plażowy.

J. O.: W Stanach Zjednoczonych, przynajmniej na uniwersytetach, są wspaniałe warunki do robienia teatru, ale teatru właściwie nie ma. Teatr alternatywny jest tam zjawiskiem ulotnym, został wprzęgnięty w system edukacyjny, opiera się na studentach, dla których jest tylko krótkotrwałą przygodą – wszyscy marzą, żeby trafić do filmu. Nie ma szansy, żeby utrzymać się tylko z uprawiania teatru. Jak ktoś w Ameryce mówi, że jest aktorem, to zaraz się go pytają, w jakiej restauracji pracuje. Rynek sztuki w Ameryce jest okrutny. Nikt ci nie da pieniędzy na działalność tylko za to, że jesteś artystą.

Rozmawiał
ŁUKASZ DREWNIK

Głowacki



FOT. BOGDAN KRZEL

Dostawka

Farfocel, dąb i frędzel

W siódmym, zatytułowanym „Motyl”, rozdziale swej najnowszej prozy („Labirynt”, Wydawnictwo W.A.B.) Krystian Lupa, wielkodusznym gestem demurga, pozwala męskim jajom zerwać się do lotu. Nie ma się co dziwić, w powołanym do istnienia przez Lupę najświeższym europejskim gatunku prozatorskim, zwanym Frankensteinroman, nie takie rzeczy są możliwe. Więc karne jądra unoszą się! Niczym ów motyl lekki i cudny wzlatają ku ostatecznej tajemnicy. Tajemnicy, powiadam, bo u Lupy nic nie wzlata w imię banalnej rekreacji. U niego wszystko lata w imię niebanalnej zagwozдки istnienia. „Łono świeżo porośnięte włosami jest bujne jak wiosenny trawiasty wzgórek i genitalia stają się drugim obliczem, dziwnym i fantastycznym, niezależnym od geometrii reszty ciała, niespodziewanym owocem pod prężnym liściem. Kiedy członek staje dęba, całe ciało rozrzuca się i promieniuje przemożnym czerwonym światłem, i wszystko w ciebie przebiega do przodu, uwypukla, napina, wyrwa się z napiętych objęć geometrii, i ta najbardziej zamknięta powłoka świata zdaje się wyrwać ku zespoleniu... No dobrze, już koniec hymnu!”.

Z jednej strony cieszy, że my, mężczyźni, posiadamy drugie oblicze, że każdy z nas, to jakby wnuk Stevensona, istny Dr Jekyll i Mr. Ball, z drugiej jednak martwi, że Lupa tak nagle urywa hymn. Bo nie wiemy, a radzi byśmy wiedzieć, kto mianowicie trzyma w garści prężny liść? Cóż, trudno, przynajmniej dobrze, że właśnie na kanwie genitaliów najświeższy Frankensteinroman Lupy nabiera jasnych znamion konstrukcyjnych. Oto bowiem z naszym drugim obliczem nie zawsze było tak dębowo. Lupa opisuje, jak w dzieciństwie jego kolega Stacha (bo kumpel Lupy miał ksywę Stacha) na basenie pokazywał Lupie swego ptaka. „Ściągał skórkę z żółtą dzi i czyścił zakamarki z różnych farfocli”. Tak było w dzieciństwie. A jak jest na starość? „Teraz pod wytłuszczonej fałdą tłuszczu zwisa to coś, najbardziej nadużyte, jak niepotrzebny strzęp w starej materii, jak reszka jakichś frędzli...” Czy zauważyliście już

wyraźną sinusoidalność tej narracji? Nie oszukujmy się: jest czas farfocla, czas dębu i czas frędzla. To są nasze zwyczajne dzieje, szanowni koledzy. I to jest też główny nerw opowieści Lupy. Swobodne, napowietrzne, sinusoidalne dryfowanie pomiędzy wszystkim a wszystkim, z wciąż obecnym w tle, mętnym profilem zagwozдки istnienia.

Esej? Dziennik? Intymny pamiętnik? Fikcja? Prawda? Fabuła? Oniryzm? Reportaż? Proza poetycka? Biały poemat? Pismo mistyczne? Wyznanie proroka? Biblia teatralnego sekciarstwa? Czy też zwyczajne robienie z tata wariata, tyle że na mętnych wysokościach? Czym jest „Labirynt” w istocie? Ludwik Flaszen rzekłby zapewne – „Labirynt” to wszystko-izm. Przyszłość swobodnie włazi na teraźniejszość

i przeszłość, muszla z Izraela przygląda się kurze w Jastrzębiu Zdroju, fruwały miejsca, kraje, miasta, ludzie i samoloty, duchy bratają się z żywymi, tamten świat tańczy z tym, a na domiar jasności – w czymkolwiek, czyli dokładnie w byle czym, choćby w sli-pach Stachy, śpi totalnie nieokreślona tajemniczość. Jest taki genialny rysunek Mrożka.

Syn pyta: „Tato, co to jest teatr

metafizyczny?”, a stary odpowiada ponuro: „Taki, co się składa z samych punktów ciężkości”. Oto całe pisanie Lupy. Oto cały teatr Lupy. Oto Lupa jako taki. Świat zlepiony wyłącznie z punktów ciężkości. Czym tu odetchnąć? Jak mrugnąć, skoro nawet byle pączek jest szalenie głęboki, sałata to jednojajowa bliźniaczka transcendencji, a genitalia me to cudne motyle, na wysokościach cicho kreślące moje drugie oblicze?

Nie wiem. Przeraza mnie jednak pewność, że liryczny przeklęty miał niestety świętą rację. Głębokim poetą rzeczywiście może być każdy, ponieważ głęboką pozęją rzeczywiście może być cokolwiek – byle tylko umieć to światu wmówić. Choć, Bogiem a prawdą, nawet i bez tego w pełni doceniam finalną przenikliwość autora. Ostatni rozdział nosi tytuł „Ruina”. Dzięki niej znów zstępujemy na ziemię i po ludzku mrugamy do ptaka, który znów jest tylko sobą.

PAWEŁ GŁOWACKI



Depeche Mode – 20 lat wcześniej.

To jedyny zespół new romantic, którego muzyka przetrwała próbę czasu, a nawet nabrała charakteru i szlachetności.

Początek lat 80. dał muzyce pop charakterystyczne syntezatorowe brzmienie. Na listach przebojów gościli tacy wykonawcy, jak OMD, Soft Cell, Gary Numan i Ultravox. Muzyka ta, którą nazwano new romantic, wywodziła się zarówno z melodyki punk rocka, jak i twórczości niemieckiej formacji Kraftwerk. Obecnie nagrania OMD czy Ultravox budzą jedynie uśmiech politowania. Brzmienie, które w tamtych czasach było muzyczną innowacją, zestarzało się i bardziej bawi, niż wzrusza. Próbę czasu wytrzymało nie-

wiele grup: Soft Cell, Gary Numan i właśnie Depeche Mode.

Historia jednego singla

Depeche Mode założyło w 1980 r. trzech kolegów: Vince Clarke, Andrew Fletcher i Martin Gore. W jednym z nocnych klubów usłyszeli Dave'a Gahana śpiewającego piosenkę „Heroes” Davida Bowiego. Zaproponowali mu śpiewanie w swoim zespole Composition of Sound. Wkrótce zmienił on nazwę na Depeche Mode, zaczerpniętą z francuskiego magazynu mody.

Podobno największą ambicją młodych muzyków było nagranie singla. Niebawem na którymś z klubowych koncertów wypatrzył ich Daniel Miller, założyciel i właściciel niezależnej firmy fonograficznej Mute Rec. Szybko podpisał z nimi kontrakt. Zespół mógł teraz nagrać nie tylko jeden utwór, ale całą płytę.

W marcu 1981 r. pod szyldem Mute pojawił się na rynku pierwszy singel Depeche Mode – „Dreaming of Me”. Na liście najpopularniejszych singli w Wielkiej Brytanii dotarł zaledwie do 57. miejsca.

Kiedy nagrywali singla i pierwszą płytę zatytułowaną „Speak and Spell”, liderem grupy był Vince Clarke. Debiutancki album zespołu dotarł do pierwszej dziesiątki najpopularniejszych płyt na Wyspach. I to było osiągnięcie,

Depeche Mode – muzyka dla mas



Dave Gahan – wokalista Depeche Mode.

jakim niewiele młodziutkich zespołów może się pochwalić.

Wyruszyli w pierwszą poważną trasę koncertową, ale ta i kolejne tury nie wychodziły im na zdrowie. Zmęczony podróżami Clarke opuścił zespół. Po raz pierwszy dotknął ich kryzys twórczy.

Odejście Clarke'a zaowocowało nie tylko zmianą muzyki Depeche Mode, ale i narodzinami legendy muzyki pop. Do grupy dołączył klawiszowiec Alan Wilder i w takim składzie nagrali swój drugi album „A Broken Frame”. Dave Gahan określił tę płytę jako najsłabszą w karierze zespołu. To złe notowanie wynikało z rozdwojenia stylistycznego utworów. Autorem połowy materiału był nadal Clarke, drugiej zaś nowy lider, Martin Gore.

Dopiero trzecia – „Construction Time Again” – objawiła fanom geniusz kompozytorski Gore'a. Zespół, z czego nie wszyscy zdają sobie sprawę, jako jeden z pierwszych zastosował tzw. sampling, czyli umieszczanie we własnej kompozycji fragmentów cudzych piosenek, odgłosów ulicy itp. Do utworu „Pipeline” Gore wmontował odgłosy londyńskiego metra.

Świat u stóp

W połowie lat 80. byli jedną z najbardziej popularnych grup w Wielkiej Brytanii. Międzynarodową sławę przyniosła im wydana w 1987 r. płyta „Music for the Masses”, chociaż nie podbiła list przebojów.

Trasa koncertowa promująca ten krążek okazała się jednym z najbardziej spektakularnych sukcesów naszych czasów. Występy zespołu oglądało więcej osób, niż kupiło płytę. Ostatni – w Pasadenie, 18 czerwca 1988 r. – obejrzało 75 tys. osób.

Amerykańskie tournée zostało uwiecznione na albumie „101”, któremu towarzyszył film pod tym samym tytułem w reżyserii D.A. Pennbakera – legendarnego twórcy filmów dokumentalnych, współpracującego wcześniej z takimi gwiazdami, jak Bob Dylan, David Bowie czy Jimi Hendrix.

„101” ostatecznie ugruntowało pozycję Depeche Mode. Wydany w 1990 r. „Violator”, a szczególnie promujący płytę singel „Personal Jesus”, popularnością przebił nowe propozycje Madonny i Prince'a. Wtedy nadszedł kryzys.

Kryzys

Zaczął się od trasy koncertowej promującej znakomity album „Songs of Faith and Devotion”. Rozszpąło się życie osobiste muzyków. Każdy z nich uwikłany był w sprawy rodzinne. Dave Gahan pogrążył się coraz bardziej w heroinowym nałogu. Martin Gore nie panował nad pijarstwem, a Alan Wilder często wspominał o odejściu.

O ekscesach związanych z „Devotional Tour” rozpiswały się wszystkie brukowe gazety. Rozpoczęły się lata 90. Gahan, po zażyciu zabójczej dawki mieszanki heroiny z kokainą, zaniemógł i na kilka sekund znalazł się w stanie śmierci klinicznej. Po tym wydarzeniu Wilder ostatecznie opuścił grupę, skupiając się na promocji swojego solowego projektu Recoil. Fletcher zaś przeszedł poważne złamanie nerwowe.

A jednak udało się im wyjść na prostą. Gahan i Gore przeszli kurację odwykową, a zespół zaprezentował się znów wielbicielom w 1997 r. albumem „Ultra”. Przy produkcji płyty wspomagali ich muzycy tej klasy, co Jaki Liebzeit i Doug Wimbish. „Ultra” uratowała ich honor, a tegoroczny „Exciter” potwierdził tylko muzyczny geniusz.

Jedyni

Depeche Mode to jedyny zespół, który – debiutując w nurcie new romantic – wyszedł poza ramy gatunku, a swoją muzyką zaskakuje słuchaczy od 20 lat. W Polsce pierwszy raz gościł w 1985 r., koncertując na warszawskim Torwarze. W tamtych czasach była to impreza niezwykła, pozwalająca nam na kilka chwilę otrzeć się o historię rocka. To po tym wydarzeniu zapanowała u nas moda na „depesza”: obowiązkowe białe jeansy i buty na grubej podszewce.

Na tegoroczny koncert 2 września na Służewcu sprzedało się prawie 30 tys. biletów, bo Depeche Mode są ciągle w modzie, a jednocześnie stali się żywą legendą współczesnej muzyki pop. To jedna z nielicznych grup, która całą swoją muzyczną karierę związała z niezależną firmą Mute – tą samą, która wydaje albumy Nicka Cave'a i niemieckich industrialistów z Einstürzende Neubauten.

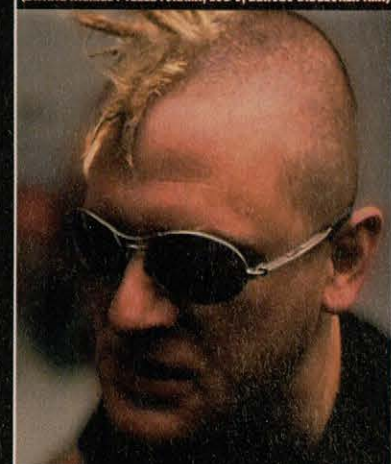
Nigdy nie posiadali menedżera z prawdziwego zdarzenia, a ich kontraktami zajmował się Andrew Fletcher. Ich muzyka ewoluowała wraz ze zmieniającą się modą. Dwa ostatnie albumy przyniosły muzykę bardziej zelektronizowaną, bliską techno.

Inspirują formacje death metalowe, takie jak polski Vader, industrialne Nine Inch Nails i krajowe Hedone i Agressiva 69, czy grające ambitny pop, np. francuski Air. Na albumie „Master of Celebration. Polish artists present Depeche Mode songs” utwory Brytyjczyków grali m.in. Maciek Maleńczuk i Stanisław Sojka.

Muzyka „Depechów” wpływa na zróżnicowane środowiska muzyczne, chociaż oni sami nigdy nie deklarowali przynależności do jakiegokolwiek subkultury czy muzycznego kierunku. Stworzyli własną prywatną subkulturę. Niepowtarzalną, bo Depeche Mode jest tylko jedno.

ROBERT ZIEBIŃSKI

"NIEZALEŻNE, KRUTKIE
FILMY MUZYCZNE" S.P. RECORDS
(ZWANE NIEKIEDY TELEDYSKAMI, LUB O, ZGRÓZO DIDELOKLIPAMI)



KULT KNŻ KAZIK EL DUPA TPN25

PO RAZ PIERWSZY TELEDYSKI
S.P. RECORDS NA VHS I DVD!!!



S.P. RECORDS
tel.: (0-23) 642 40 32, 642 90 12
02-913 Warszawa ul. Zielona 35a
INTERNET: www.sprecords.com.pl
E-MAIL: sprecords@sprecords.com.pl

Interesowało ją wszystko – jazz, klasyczny rock, islandzkie sagi i socrealizm.

Björk: Dziewczynka z pomysłami



FOT. FORUM

– to był instykt przeciwstawiony logice.

Kiedy w 1987 r. założyła wraz z Einerem Örnem i Siggim Baldursonem zespół Sugarcubes, nikt nie spodziewał się, że to właśnie jej specyficzna maniera wokalna umieści Islandię na rockowej mapie. Najpierw Anglia, później reszta świata oszalała na punkcie ich debiutanckiego singla „Birthday”. Sukces ugruntuwały duże płyty: „Life’s Too Good”, „Here Today Tomorrow Next Week” i „Life’s Too Good”, a muzyka Sugarcubes, łącząca punkową drapieżność z egzotycznym klimatem, okazała się jednym z najbardziej frapujących zjawisk w muzyce rockowej przełomu lat 80. i 90.

Filigranowa wokalistka nie poprzestaje tylko na pracy z własnym zespołem. W 1990 r. z trio Gundmundara Ingólfssonara wydała album „Gling-Gló”, na którym znalazły się stare islandzkie pieśni i standardy jazzowe; brała także udział w sesjach nagraniowych wielu zaprzyjaźnionych artystów. Nigdy nie ograniczyła się do jednego stylu i chłonęła inspiracje – od muzyki klasycznej przez rock i jazz, po muzykę taneczną.

Na własny rachunek

Jesienią 1992 r. Björk rozpoczęła pracę nad kolejnym albumem, przekornie zatytułowanym „Debiut”. Płyta trafiła na rynek latem 1993 r. i od razu zapewniła wokalistce status megagwiazdy. W pełni zresztą zasłużenie – z gracją spłótła ona wszystkie wcześniejsze doświadczenia muzyczne w niezwykle wysmakowaną i bogatą formalnie mieszankę muzyki tanecznej, etnicznej i rocka.

Mimo zachwytów krytyki muzycznej i uwielbienia fanów, wokalistka nigdy nie pozwoliła sobie na kopiowanie własnych pomysłów, co potwierdziły jej kolejne duże płyty: „Post” i „Homogenic”.

Zaproszenie do domu

Po wydaniu albumu „Homogenic” Islandka wycofała się na uboższe rynki muzycznego, by zasko-

czyć wszystkich niezwykle dojrzałą kreacją w filmie „Tańcząc w ciemnościach” i pomysłowym albumem z muzyką do tego dzieła. Cały czas pracowała też nad nowymi piosenkami.

Album „Vespertine” zaskakuje intymnym nastrojem.

– Po raz pierwszy komponowałam, aby świadomie stworzyć sobie raj – wyznała. – Zawsze byłam narwańcem, chciałam, żeby wszystko było prawdziwe i mocne. Ta płyta to po części stworzenie kokonu, do którego można uciec. Nawet, jeżeli wiesz, że nie jest prawdziwy. Nie można tego zastosować wszędzie, w pewnych miejscach kokon się rozpadnie. Ale wierzę, że powinien istnieć, bo ludzie go potrzebują. Już to wystarczy za usprawiedliwienie.

Piękno dźwięków, które wypełniają jej nową płytę, potwierdza, że znów nie zawiodła jej intuicja.

WOJCIECH KOZIELSKI

Wypowiedzi artystki zaczerpnięto z materiałów prasowych firmy Universal Music Poland.



QUO VADIS

Muzyka do filmu Jerzego Kawalerowicza skomponowana przez Jana A.P. Kaczmarka. Na płytach są także piosenki wykorzystane w filmie. Kompozytor, który wcześniej współpracował w Agnieszką Holland, m.in. przy „Placu Waszyngtona”, i tym razem napisał muzykę pozbawioną patosu, jakim rząca nas amerykańskie produkcje tego typu. (RZ)

Sony Music



I LOVE SERGE

Muzyczny hołd złożony największemu pieśniarzowi Francji – Serge’owi Gainsbourghowi, tym razem w wykonaniu gwiazd współczesnej muzyki elektronicznej. To już drugi taki album. Pierwszy powstał z inicjatywy Johna Zorna. Na „I love Serge” utwory artysty miksują i przetwarzają mistrzowie francuskiego house, drum’n’bass czy easy listening. Wśród gości zaproszonych do udziału w tej sesji są m.in. Howie B., Bob Sinclar, The Orb. I to właśnie dzięki nim płyta prezentuje świetny, wysoki poziom. (RZ)

Universal



CLAWFINGER

Szwedzi gustujący w ostrym gitarowym graniu przypominają o sobie czwartym albumem. „A whole lot of nothing” przynosi utwory, które zadowolą dawnych fanów, a może i przyciągną nowych. Album ten niczym nie odstaje od stylu amerykańskiej gwiazdy Linkin Park, na której Szwedzi się wzorują. Melodyjny metal, wykrzykane wokale sprawdzają się na każdej metalowej prywatce. Ale chłopcy niepotrzebnie biorą się za granie coverów – w tym wypadku Jimmy’ego Hendriksa, a w tej materii, niestety, nic nowego do powiedzenia nie mają. (II)

BMG

Swoją pierwszą płytę nagrała ćwierć wieku temu. Jej kariera toczyła się niczym nie zmagającym rytmem – sprzedaje płyty w milionowych nakładach, za rolę Selmy w filmie Larsa Von Triera „Tańcząc w ciemnościach” nagrodzono ją Złotą Palmą na festiwalu w Cannes, a w przededniu premiery nowej płyty francuski minister kultury, Jack Lang, przyznał jej Order Zasługi za ca-

łokształt osiągnięć artystycznych. Pod każdym względem zasłużenie.

Instykt przeciwstawiony logice

Björk Gudmundsdóttir urodziła się, by zostać artystką. Dorastała w komunie, gdzie od świtu do zmierzchu rozbrzmiewała muzyka rockowa. Mając

sześć lat, poszła do szkoły muzycznej, pięć lat później z ojczymem nagrała pierwszą płytę długogrającą. Poważnie muzyką zajęła się jednak, kiedy na Islandię dotarły echa punkowej rewolty na Wyspach Brytyjskich. Jej kolejne zespoły: Exodus, Tappi Tikkarass i K.U.K.L. grały właśnie taką muzykę. Artystyczne horyzonty Björk nie ograniczały się jedynie do prostego rock’n’rolla. Śpiewała z jazz-rockowym zespołem Stifgrim, nagrywała z islandzkim bardem Björgvinem Gíslasonem, w roku 1986 zadebiutowała jako aktorka w filmie „The Jupiter Tree”. Jak sama przyznała, interesowało ją wszystko – jazz, klasyczny rock, islandzkie sagi i surrealizm.

– Byłam w punkowej kapeli, miałam długie pomarańczowe włosy i wygolone brwi – wspomina dzisiaj ten okres. – Dyskutowałam z intelektualistami, co było aktem odwagi, bo nie dysponowałam odpowiednim słownictwem. Nie walczyliśmy



BJÖRK

„Vespertine” to najbardziej intymna i wyciszona płyta w dotychczasowym dorobku Islandki. Proszę jednak nie łudzić się, że Björk spuściła z tonu – jej twórczość to w dalszym ciągu szaleńczy miszmasz tysięcy brzmień, nakręcany piekielnym temperamentem artystki. Taneczne beaty, sample, dźwiękowe fanaberie autorstwa muzyków duetu Matmos, harfa Zeeny Parkins i śpiew chóru Eskimosek splatają się w hipnotyzujący podkład do niepowtarzalnych wokaliz. Björk wyznała, że płyta miała być „soundtrackiem do robienia kanapki” – jeśli tak jest, ta prosta czynność nabrała teraz zupełnie nowego znaczenia.

(WK)

Polygram

Jazz Hamiltona



Czy mógłby pan sobie wyobrazić świat bez muzyki?

Są ludzie, którzy mogą się bez niej obyć, ale ja do nich nie należę. Nawet kiedy nie gram, to albo jej słucham, albo o niej myślę.

Nie umiem zresztą robić nic innego: wszystko w moim życiu służy graniu.

Kiedy pierwszy raz usłyszał pan jazz?

Miałem trzy lub cztery lata. Ojciec trzymał mnie na rękach, gdy puszczał płyty na adapterze. Mama mi to opowiadała. Rosłem przy dźwiękach jazzu. Kiedy miałem ze trzy lata, prosiłem rodziców, żeby naśladali płyty: „Dajcie to

jeszcze raz, to jest dobre”. Pierwszy saksofon altowy miałem w wieku 14 czy 15 lat. Nie pamiętam, co się z nim stało, chyba mi go ukradli. Nie traktowałem go zresztą zbyt serio. Dopiero kilka lat później zacząłem naprawdę dobrze grać.

Dlaczego właśnie saksofon?

Bo jego dźwięk najbardziej przypomina głos ludzki: to tak, jakbym wypowiadał się własnym głosem.

Jakiej muzyki pan słucha?

Dużo starego jazzu, nagrań z lat 20. i 30., muzyki klasycznej, piosenkarzy, czasem w telewizji popu. Ale nie mam nagrań pop, chyba że z lat 60.

A jazz nowoczesny?

Kiedy byłem dzieckiem, istniała awangarda, free jazz. Gdy miałem siedem lat, słuchałem nagrań Colemana, dla mnie

więc nie jest to nic nowego. Można to oczywiście nazwać modern jazzem, ale tak naprawdę to jedna z dróg, taki czy inny sposób grania, kwestia decyzji repertuarowych.

Przyszłość jazzu?

Nie będzie chyba nigdy muzyką popularną. Do takiego stanu zbliżył się 40 lat temu i to raczej nie wróci. Jest muzyką cenną i na pewno nie przeminie, jak nie przeminie muzyka klasyczna. Jest żywy, bo zawsze będą ludzie, którzy chcą go grać i słuchać. Dobra muzyka będzie zawsze. Nie odejdzie do muzeum.

Co pan sądzi o polskiej publiczności?

Wspaniała. Nieczęsto zdarza się na otwartym koncercie mieć tylu ludzi nieprzypadkowych, rzeczywiście zasłuchanych.

Rozmawiał

TOMASZ MATKOWSKI

FOT. ANDRZEJ WITCZYŃSKI

ZDANIEM mojej ZONY...

... wakacje to najlepszy okres na odsapnięcie od poważnych lektur. Jasne, pomyślałem, moja żona codziennie morduje się czytaniem Kanta, pod poduszką zaś trzyma pisma Heideggera po niemiecku, więc musi kiedyś odpocząć. Nie można przecież cały rok bez przerwy czytać „Krytyki czystego (tak, tak, czystego) rozumu” i nie być zmęczonym. Wprawdzie wolalbym, żeby czytała „Krytykę praktycznego rozumu” (może wtedy nie musiałbym jej przynosić śniadania do łóżka) albo „Krytykę władzy sądowniczej” (może wtedy nie osądzałaby tak łatwo mojej namiętności do zbierania pustych puszek po piwie), ale i tak dobrze, że jej ulubioną książką nie jest – przy mojej rencie! – „Uczta Platona” albo – nie daj Boże – „Nadzorować i karać” (już teraz nie mam gdzie się schować w domu). Kiedy więc moja żona zapowiedziała, że na wakacje zabiera tylko lekkie rzeczy do ubrania i jeszcze lżejsze do czytania, odetchnąłem z ulgą. Do dziś budzę się jeszcze w nocy, gdy przyśnią mi się ostatnie wakacje. Na własnych plecach – a jechaliśmy na trzy dni pod namiot w Bory Tucholskie – taszczyłem „Dzieła wszystkie” Hegla, po niemiecku (5 kilogramów), kompletne wydanie „Dzieł Arystotelesa” po grecku (8 kilogramów) i kiedy ledwo już stałem na nogach, moja żona dołożyła mi jeszcze z niewinnym uśmiechem 8-tomową encyklopedię filozoficzną (9 kilogramów). „To na wypadek, gdybym musiała coś sprawdzić”, powiedziała z rozbrajającym uśmiechem. Kiedy więc usłyszałem, że na te wakacje bierzemy tylko coś lekkiego, uwierzyłem jej – idiota! – na słowo. Iluzje jednak szybko prysły. Gdy wszedłem do jej pokoju zabrać przyjemną lekturę do poduszki, na podłodze już czekały na mnie lśniąco tomy „Sumy teologicznej” (40 kilogramów). Gdy zbliżyłem się do nich, moja żona popatrzyła na mnie z wyrzutem: „No wiesz, prawdziwy mężczyzna nie rusza się z domu bez św. Tomasza”. Nie wiem tylko, czy myślała o mnie, czy o sobie.

mąż

Mit, tradycja, niezależność

Przypadek jest jedną z naczelných zasad konstrukcyjnych filmu.

Twórczość Jima Jarmuscha trafiła do polskich kin na początku lat dziewięćdziesiątych. Z tego okresu pochodzi wydana w roku 1992 książka zawierająca, oprócz szkiców, także fragmenty wywiadów oraz świetnie opracowaną filmografię. Publikacja ta była raczej portretem twórcy „Nieustających wakacji” niż monografią. Blisko dziesięć lat później ukazała się pierwsza próba całościowej analizy twórczości jednego z najciekawszych reżyserów kina amerykańskiego.

Autorka książki „Mniej uczęszczane ścieżki do raju” wychodzi z założenia, iż przypadek

jest jedną z naczelných zasad konstrukcyjnych filmów twórcy „Poza prawem”. To z nim wiąże upodobanie Jarmuscha do planu-sekwencji (brak cięć montażowych), a także do środków wykorzystywanych w epoce kina niemego (ściemnienia). Przytoczona anegdota o czynniku IPM (images per minutes, czyli liczby obrazów na minutę odczytywanych przez widza) najtrafniej chyba tłumaczy niechęć Jarmuscha do poetyki MTV. „W moim przypadku – jak wyznaje – czynnik ten wynosiłby jakieś cztery obrazy na minutę”. Charakterystyczny styl narracji wynika ze świadomości



Ten film mnie zahipnotyzował

Rozmowa z Anitą Piotrowską, filmoznawcą i krytykiem filmowym

– Co w twórczości Jarmuscha zafascynowało cię najbardziej?

– Filmy Jima Jarmuscha cechuje prostota środków filmowych. Mówi się, że to kino „ubogie”, milczące, służące kontemplacji. Ponadto wszystkie jego filmy to dzieła otwarte, intrygujące niedopowiedzeniami. To my – widzowie – możemy te miejsca wypełnić swoją wrażliwością.

– Który z jego filmów cenisz najwyżej?

– Zdecydowanie „Truposza”. Jarmusch, nawiązując do ogrzanego gatunku, jakim jest western, dotknął naszych lęków, związanych ze śmiercią.

I zrobił to brawurowo. Niewiele jest dzisiaj takich filmów.

– Jarmusch nawiązuje w tym filmie do obyczajowości i religii Indian.

– Ten film mnie po prostu zahipnotyzował... I nie potrafiłam, uzbrojona we wszystkie narzędzia krytycznej oceny, przeciwko temu się zbuntować! Była to dla mnie blisko dwugodzinna fascynująca podróż w rejony, których nawet nie śmiem nazwać, ale każdy, kto oglądał „Truposza”, z pewnością wie, o co chodzi.

Rozmawiał PIOTR LITKA

mego nawiązania do kina japońskiego, a zwłaszcza twórczości Yasujiro Ozu.

Interesujące jest odwrócenie przez twórcę „Inaczej niż w raju” gatunkowych schematów związanych z historią amerykańskiego kina. Dotyczy to nie tylko road movies (filmów drogi), ale również westernu i filmu gangsterskiego. Przyznam, że analizy „Truposza” i „Ghost-Doga” czytałem jak fascynującą powieść kryminalną. Ponadto kulturowe powinowactwo filmów Jarmuscha z „American Dream” i z twórczością Williama Blake’a, Roberta Frosta czy Walta Whitmana pozwala patrzeć na jego dokonania nie tylko pod kątem odnowienia filmowej narracji. Istotna jest także kwestia pracy z aktorami (której nie poświęcono osobnego rozdziału, ale o której autorka wielokrotnie wspomina). To niezawodowi aktorzy tworzą galerię charakterystycznych typów w pierwszych trzech filmach Jarmuscha. Scenariusz jest pisany w dużej mierze „pod aktora”.

Jest jeszcze jeden aspekt jego twórczości. Nazwałbym go artystyczną uczciwością. W przytoczonym fragmencie wywiadu, zapytany o powody twórczego milczenia, reżyser odpowiedział: „Po ukończeniu „Nocy na Ziemi” czułem się wyczerpany. (...) Jednak nie oceniam tego doświadczenia negatywnie. Spędzałem czas w Los Angeles, obserwując moich przyjaciół – ludzi kina. Nie mówię tego z pogardą, ale miałem wrażenie, że nie mają nic do powiedzenia i tracą każdą sekundę, aby udowodnić sobie, że jest odwrotnie. (...) Czułem, że mam rację, słuchając tego odczucia, które budziło się we mnie. Nakręciłem kilka filmów krótkometrażowych. Opuszczając Los Angeles, nabrałem znowu ochoty, by zrobić film. Posłużyły mi do tego notatki, które robiłem, od ośmiu lat”.

„Mniej uczęszczane ścieżki do raju” wieńczy rozdział dotyczący motywu raju utraconego w filmach Jarmuscha. Reżyser nie podejmuje prób wskrzeszenia mitu, kwestionuje jedynie fałszywość i kruchość marzeń. Być może dlatego nawiązania do konkretnych gatunków filmowych są dla niego raczej okazją do wariacji na temat konwencji niż samą konwencją. A przywołany na końcu książki cytat z Baudrillarda ironicznie dopełnia obrazu Ameryki wykreowanego w filmach Jima Jarmuscha: „Stany Zjednoczone są rajem! Raj jest tym, czym jest; bywa posępny, monotony i sztuczny. Ale to raj. Innego nie ma”.

PIOTR LITKA

Elżbieta Wiącek, *Mniej uczęszczane ścieżki do raju. O filmach Jima Jarmuscha*. Wydawnictwo Rabid, Kraków 2001.

STANISŁAWA URODZINY LEMA

11 września
17⁰⁰

cybernetyczne party
z wielkim tortem
w Centrum Biurowym Łubicz 23
w Krakowie
[wejście tylko za zaproszeniami]

15 września
14⁰⁰ - 15³⁰

Rynek Główny, Kraków
parada sobowtórów Pisarza,
mecz piłki nożnej
pomiędzy redakcjami
Tygodnika Powszechnego,
Gazety Wyborczej
i *Polityki* do trzech bramek
[kosmiczny trójkąt],
wyścig łunochodów

15³⁰

pełne niespodzianek
i atrakcji spotkanie
z Szanownym Jubilatą
w EMPIK Megastore Kraków

14 - 16 września

Przegląd adaptacji filmowych
Kino Aneks Reduta:
Przekładaniec, *Profesor Zazul*,
Test Pilot *Pirxa*,
Szpital Przemienienia, *Solaris*

Fantastyczny Lem

Urodzinowa antologia
najważniejszych
utworów
Stanisława Lema
przygotowana
na podstawie
głosowania czytelników

więcej: lem.onet.pl



Wydawnictwo Literackie,
http://www.wl.net.pl,
bezpłatna infolinia: 0800 42 10 40

patroni medialni i sponsorzy

POLITYKA

PRZE
KRÓJ

POLSKIE RADIO

2

Polaroid

gazeta

EMPIK

RADIO
KRAKÓW

onet.pl

JAZDA
KULTURALNA

TYGODNIK POWSZECHNY

Fantastyka



Warzywa po prowansalsku

Piękny to sezon, późne lato. Obfitość papryki, brzoskwiń, bakłażanów, kukurydzy, pomidorów, dyni i kabaczków sprawia, że jadłospisy same się układają w barwną i wonną całość. Ratatouille, czyli warzywa duszone po prowansalsku, to jedno z najsmakowszych dań, jakie możemy w tym okresie przygotować.

Lecz, wbrew pozorom, nie jest proste do przyrządzenia i tylko właściwe potraktowanie jego składników zapewni nam kompozycję idealną, w której każdy z nich ma własny charakter, wnoszący do ogólnej harmonii wyraźny, indywidualny ton. Niestety, często spotyka się ratatouille rozgotowaną na nieapetyczną breję. Aby tego uniknąć, wystarczy zastosować się do poniższych wskazówek.

Potrzebne nam będzie pół kilo cebuli, pół kilo papryki (najlepiej żółtej, czerwonej i zielonej), pół kilo bakłażana, pół kilo drobnej kukurydzy, cztery duże pomidory, sześć ząbków czosnku, dwa liście laurowe, oliwa, zioła i przyprawy – sól i kajenna.

Sposób na bakłażany

Na początek należy obrać i wypestkować pomidory i pokroić w dość duże kawałki. Usunąć gniazda nasienne z papryki i pokroić ją w kwadraty o boku trzech centymetrów. Cebulę obrać i poćwiartować. Czasami bakłażany okazują się nieprzyjemnie gorzkie w smaku – pokrojone

w kostkę należy zatem posolić, położyć na talerzu i przykryć drugim talerzem, na którym kładziemy kilka tomów encyklopedii, głaz lub inny ciężar. Po godzinie sól spłukujemy, a płyn z każdej kostki wyciskamy ręcznie. Przyznam, że rzadko trafiam na bakłażana tak gorzkiego, aby uzasadnione były te ce regiele. Najlepsze są małe, rozmiarów ogórka. Smutne to, lecz prawdziwe – bakłażany krajowe ustępują smakiem tym znad Morza Śródziemnego.

Mamy więc przygotowane wszystkie składniki, razem z czosnkiem, obranym i posiekany, i dosyć grubo pokrojoną cukinią. W dużym garnku podgrzewamy sześć łyżek oliwy i na małym ogniu podsmażamy cebulę, mieszając tak, żeby się nie przyrumieniła, lecz gotując ją dostatecznie długo, aby zmiękła i nieco pożółkła. Dodajemy bakłażana i paprykę, i gotujemy około dziesięciu minut, wciąż na małym ogniu, mieszając od czasu do czasu. Następnie wrzucamy do garnka pomidory, czosnek, sól, liście laurowe, odrobinę kajenną i szczyptę suszonych ziół: tymianku najwięcej, mniej oregano, najmniej – majeranku.

Gotujemy dalej na wolnym ogniu, nie mieszając, lecz poruszając delikatnie garnkiem, aby ułatwić sokom z pomidorów dotarcie do innych warzyw oraz wypuszczanie soków przez nie same. Po kilkunastu minutach płynu powinno być już tyle, żeby pokrywał lub prawie pokrywał wa-

Do przyrządzenia ratatouille może się przydać kilka tomów encyklopedii lub głaz.

rzywną mieszankę. Zwiększamy nieznacznie gaz, mieszając od czasu do czasu w garnku, a kiedy soki zaczną wrzeć, zmniejszamy płomień, ile tylko się da, przykrywamy częściowo garnek i gotujemy przez godzinę i kwadrans, po czym dodajemy cukinię i gotujemy jeszcze dwadzieścia minut.

Na dziś i na jutro

Należy sprawdzać, czy ratatouille nie gotuje się za szybko bądź wcale. Lekkie poruszenie płynu przez pęcherzyki powietrza przebijające jego powierzchnię to znak, że natężenie ognia jest właściwe i prawidłowo oceniliśmy rozmiary szparki pomiędzy krawędzią pokrywki a brzegiem garnka. Po wskazanym czasie warzywa powinny rozpuścić się w ustach, lecz zachowywać swój kształt. Może to jednak nastąpić wcześniej. Dlatego należy kosztować co pewien czas bakłażana, paprykę i cukinię. Oczywiście, może się zdarzyć, że czas gotowania trzeba będzie przedłużyć o kilkanaście minut.

I tu kończy się ogólnie znana ludowa tradycja, zaczyna zaś sztuka kulinarna. Nad dużą miską lub innym garnkiem ustawiamy durszlak i opróżniamy nań garnek z ratatouille. Niech warzywa poleżą na durszaku przez dobre dziesięć minut. Kiedy będą już porządnie odsączone, wkładamy je z powrotem do garnka, a sok przelewamy do rondelka i na dużym ogniu, często mieszając, redukujemy jego objętość o połowę. Następnie oblewamy nim warzywa i gotujemy wszystko razem jeszcze kilka minut, na małym ogniu, gwooli pełnej harmonii.

Dzielimy ratatouille na część dzisiejszą i część jutrzejszą. Część jutrzejszą posypujemy pieprzem i wkładamy do miski, tę zaś do lodówki. Jutro podamy warzywa na zimno, z bazylią, chlebem i białym winem o bukiecie szerokim jak uśmiech tyrolskiej mleczarki. Część dzisiejszą posypujemy posiekaną natką i podajemy z chlebem albo gotowanymi ziemniakami, pieczonym jaginiem, kurą lub befsztykami, schabem, pieczonym dorszem, sadzonymi jajami z pieca, miecznikiem czy turbotem z rusztu... Narobiłem sobie apetytu. Do dzieła!

Okiem Amerykanina

Pawlak



FOT. PAWEŁ KLEIN

Mój przyjaciel w 1980 r. wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. I wcielo go, przez 20 lat nie dawał znaku życia. I oto kilka miesięcy temu przysłał mi krótki mail: „A co tam u ciebie?”. Cóż, co u mnie, to dość dobrze wiedziałem, więc zapytałem, co u niego, bo o tym nie miałem pojęcia. Okazało się, że po przyjeździe do Chicago stwierdził, że nie ma najmniejszego sensu ładować się w swarliwe życie Polonii. A że był nie- złym lekarzem, udało mu się zakotwiczyć na amerykańskim gruncie. Robi karierę i nie utrzymuje kontaktów z rodakami. Praca i rodzina zabierały mu tyle czasu, że nie starczało go już na śledzenie tego, co działo się w Polsce. Aż do teraz. Teraz bowiem co jakiś czas w naszej mailowej korespondencji powraca pytanie: „a co tam w Polsce?”.

I tu stanąłem przed pewną barierą, przed problemem nieumiejętności wytłumaczenia mojemu przyjacielowi tego, co dzieje się w Polsce. Raz w tygodniu wysyłał mi sążnisty przegląd krajowych wydarzeń. I zawsze, tu nie ma wyjątków, dostaję w z powrotem pytanie, na które odpowiedź przekracza moje możliwości intelektualne.

Oto kilka przykładów. Przytaczam je głównie dlatego, że liczę na to, iż może któryś z Czytelników „Przekroju” podpowie mi, co mam mojemu przyjacielowi odpowiedzieć.

Kiedy jakiś czas temu, w dość tajemniczych okolicznościach, Janusz Korwin-Mikke sam pchnął się nożem w brzuch, opisałem to przyjacielowi, kreśląc przy okazji sylwetkę tego polityka.

„Jaja sobie robisz, prawda?” – odpisał. – Streszczasz jakąś nową komedię. Nie ma takich polityków”. Nie ma? Przecież jest. W dodatku był po- stem i kilka razy próbował zostać prezydentem. Innym razem, z okazji kolejnych rolniczych blokad, opisałem mu polityka Andrzeja Leppera. W odpowiedzi przyszło krótkie pytanie: „Teraz siedzi w więzieniu, prawda?”.

Kiedy odpisałem, że wręcz przeciwnie, że prawdopodobnie Lepper zostanie postem, mój przyjaciel na tydzień zawiesił korespondencję. Albo musiał to głęboko przemyśleć, albo uznał mnie

za chwilowo niepczytalnego i postanowił poczekać.

A niby dlaczego miałbym być niepczytalny? Wszak prawybory w Nysie dały wyraźny sygnał, że Andrzej Lepper z kilkoma kolegami mają jak najbardziej realne szanse, by zasiąść nie na ławie oskarżonych, a w ławach sejmowych własnie.

Gdy opowiedziałem mu o tym, jak nasi postowie urządzili zajazd na galerię w Zachęcie i zdemolowali rzeźbę przedstawiającą Jana Pawła II, zakomunikował mi, że moje przewrotne poczucie humoru tym razem poszło zdecydowanie za da-

respondencja, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że coś w tym wszystkim jest nie tak. Tylko co? Czy to mój przyjaciel, Amerykanin w pierwszym pokoleniu, zwariował? A może to nie on, może to zwariowała Polska. Najbardziej obawiam się, że obie te teorie są prawdziwe. Mój przyjaciel na pewno zwariował, bo jak można nie zwariować, mieszkając w Stanach Zjednoczonych? Jak można zachować zdrowy rozum w kraju, w którym jada się hamburgery, a spryskana prezydencką spermą suknia pani Moniki Lewinsky ma szansę pójść na aukcji za pół miliona dolarów?

Wszechogarniającą paranoję odbieramy jako stan absolutnie normalny. Najzwyczajniej w świecie jesteśmy ślepi.

leko. Że takich rzeczy nie bywa, bo parlamentarzyści, wybrańcy narodu, to poważni ludzie i nigdy nie zachowują się jak nawaleni chuligani. Cóż, nie miałem odwagi napisać mu, że nie tylko tak się zachowują, ale jeszcze podpierają te swoje wybrki antysemitkami argumentami przeciwko dyrektorowi Zachęty. A ponadto, że ich zachowanie zostało głośno pochwalone przez wielu posłów prawicy. Nie mówiąc już o tym, że tak naprawdę zyskało nawet cichą aprobatę Ministerstwa Kultury (i Dziewictwa Narodowego). Na moją analizę programów Sojuszu Lewicy Demokratycznej i Ruchu Społecznego Akcja Wyborca Solidarność zareagował z niekłamnym zdenerwowaniem. Napisał, że coś musiało mi się po prostu popieprzyć. Bo przecież nie może być tak – dowodził – że lewica ma klasycznie liberalny program gospodarczy, a prawica optuje za rozwiązaniami typowo bolszewickimi. Im dłużej trwa ta nasza lekko paranojalna ko-

Czy w Polsce ktokolwiek kupiłby taki ciuch, nawet gdyby autorem zanieczyszczeń był nie Bill Clinton, a sam Lech Wałęsa? Na pewno nie, u nas kupuje się Malczewskiego. A jeszcze chętniej Kossaka, bo on malował konie. Nie mówiąc już o tym, że w tym kraju idolem jest Murzyn, który postanowił przestać być Murzynem. I w dodatku mu się to udało. Ale korespondencja z moim przyjacielem pozwoliła mi na rzecz, jak myślę, dla wielu mało dostępną, mianowicie na spojrzenie na Polskę oczyma kogoś z zewnątrz. I to spojrzenie właśnie każe mi się obawiać, że Polska, i owszem, także jakby leciuchem odjechała. Ale nie to jest w tym wszystkim najsmutniejsze. Psychiczne odjazdy zdarzają się różnym narodom od czasu do czasu. Najsmutniejsze jest to, że my tego nie zauważamy. Że tę wszechogarniającą paranoję odbieramy jako stan absolutnie normalny. Że najzwyczajniej w świecie jesteśmy ślepi.

ANTONI PAWLAK

ANTYKWARIAT

Mentzel i S-ka

Franz Maria Feldhaus, „Maszyny w dziejach ludzkości. Od czasów najdawniejszych do Odrodzenia”. Przełożył inż. Stanisław Sosnowski. Redaktor naukowy inż. Witold Czetwertyński. Państwowe Wydawnictwa Techniczne, Warszawa 1958; s. 371, liczne ilustracje.

Nie-
złomne
postanowienie
matki, aby zrobić ze mnie
najwybitniejszego na świecie re-
cytatora, wujek Jaś uznawał za
pomysł poroniony. Świącie prze-

konany, iż jedyny odpowiedni
kierunek, w którym należałoby
mnie popchnąć, to nauki inżyni-
eryjne. Kiedy w jedenastym
roku życia bez po-
zwolenia roze-
brałem do

ostatniej
śrubki przedwo-
jenną maszynę
do lodów – cenną
pamiątkę rodzinną,
wujek powiedział:
„A nie mówiłem?! Na-
reszcie!”. Kilka dni później
z uroczystą powagą wręczył mi
książkę Feldhauza, zachęcając do
studiowania opisów kilkuset,
a może kilku tysięcy najbardziej
dziwacznych urządzeń, jakie wy-

myślono w dziejach ludzkości,
poczynając od epoki kamienia
łupanego. We wstępie do dzieła,
dzisiaj prawie już niedostępnego
w antykwariatach, przeczytałem,
że najstarsze maszyny to po pro-

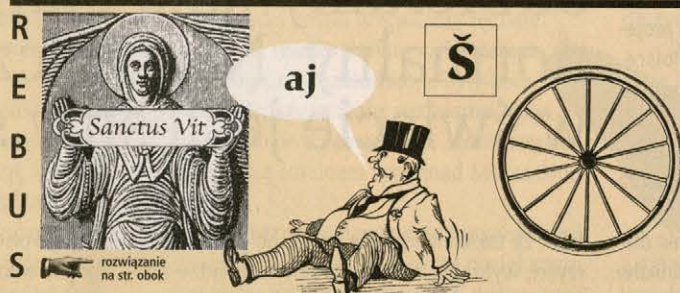
stu ludzkie
ręce, stopy,
usta i głowy.
„W Brazylii
jeszcze dziś prze-
nosi fortepian przy
przeprowadzce cze-
rech ludzi równego
wzrostu... na głowach”.
Obraz czterech Brazylijczy-
ków równego wzrostu z forte-
pianem na głowach nie wiadomo
dlaczego zaważnął moją wy-
obraźnię w znacznie większym
stopniu niż obrazy tak wymyśl-
nych nawet starożytnych urzą-
dzeń jak maszyny oblężnicze
miotające na nieprzyjaciela ule
pszczyle, albo gigantyczne mie-
szadło do mieszania wód jeziora,
które pewien książę bawarski
postanowił zasolić, by hodować
w nim śledzie. Swoją drogą, jak
oni właściwie podnosili ten forte-
pian?

zbmentzel.wp.pl

KACIK BELFRA

- Nauczyciele zarabiają mało, to i małeńkie stopieńki stawiają.
- Zeby nie wiem co, to ty i tak nie wiesz nic.
- Największe korzyści z twojego chodzenia do szkoły mają szewcy.
- Nie bujaj w obłokach. To może się źle skończyć, jak trafisz na dziurę ozonową.
- Siedź po ludzku, a nie jak jakiś lemoniadowy Joe.

Cytaty do KACIKA BELFRA
nadesłali: J. Herman z Legnicy,
A. Kozarzewski z Pułtuska, J. Kaptur
z Tomaszowa Lubelskiego, W. Marat
z Zawad i P. Piechota z Rzeszowa.
Polecamy się łaskawej pamięci.



TU ŻYJE I TU JEST MI DOBRZE



Był określa nadzieja.
Krecia P.

Język polityki jest tak skonstruowany,
by kłamstwa brzmiały jak prawda,
a także by nadać pozory solidności temu
co ulotne jak wiatr.
George Orwell

Cóż z tego, że zerwałeś się z łańcucha,
gdy obroża jeszcze wokół szyi.
Lesław Szalgima

Czasem warto przegrać, by się dowiedzieć,
ile wart jest zwycięzca.
Wojtek Bartoszewski

Mąż stanu musi przede wszystkim
nauczyć się oddzielać to, co ważne,
od tego, co pilne.
Golo Mann

Mów zawsze prawdę, a kłamstwo
wyspiewaj.
Lech Nawrocki

Po uśmiechu poznasz sytuację
w danym kraju.
M.M. Szargan

Myśli zebrana Stella Várkony

Znaki i symbole XX wieku (30)

FORD - PIERWSZY SAMOCHÓD DLA MAS

jąc na niej karty wizytowe. Za-
projektował stylizowane logo:
czcionka naśladowała pismo od-
ręczne, napis umieszczono
w wyszukanej ramce w stylu Art
Nouveau. Zastosowano je w 1911
r. Wzór zbliżony do obecnego
pojawił się w 1927 r.



Logo
zaprojektowane
przez Paula
Randa



Henry Ford skonstruował pierw-
szy automobil w 1896 r. Wraz
z jedenastoma inwestorami zało-
żył 16 czerwca 1903 r. w Detroit
firmę Ford Motor Company. Po-
trzebowali logo dla nowej korp-
racji. Childe Harold Willis od-
grzebał starą prasę drukarską.
Jako nastolatek dorabiał, duku-

W FMC wielokrotnie rozważano
zmianę emblematu. W 1966 r. grafik
i projektant Paul Rand, wzorując się
na dawnym projekcie, zaproponował
nowocześniejszy. Wnuk założyciela
uznał zmianę za zbyt radykalną
i pozostawił dawny symbol firmy.

Zanim w 1908 r. pojawił się le-
gendarny model T, który zrewolu-

ponad połowa aut jeżdżących po
amerykańskich drogach była for-
dami T. W 1999 r. uznano go za
samochód wieku.

Wielkie powodzenie tego mode-
lu wymusiło zrewolucjonizowanie
produkcji. Tak narodziła się auto-
matyczna, taśmowa linia monta-
żowa. Robotnicy Forda byli motywo-



Jak pachnie amerykański sen

W powszechnym mniemaniu
emanuje zapachem świeżego
betonu, w którym filmowe gwiaz-
dy odbijają swe dłonie. Kojarzy się
też z wonią skórzanej tapicerki dro-
giego samochodu i zielonej farby
drukarskiej na banknotach. Jego
aromat można określić jako odu-
rzający, wibrujący pożądliwością
i nieokiełznaną energią – prawdzi-
we wyzwanie dla perfumiarzy.

Podjęła je włoska firma Gucci,
wprowadzając na rynek serię per-
fum Rush. Nazwa przewrotnie
komentuje kulisy amerykańskie-
go sukcesu, znaczy bowiem: pęd,
pośpiech, euforię. Rush dla kobiet
prowokuje i upaja orientalnymi
nutami paczulowo-waniliowo-



-piżmowymi. Rush for Men dzie-
ki aromatowi egzotycznego dREW-
na przypomina zapach eleganc-
kich gabinetów i wakacji w szko-
łach przetrwania. Natomiast
Rush 2, łączący delikatne nuty
kwiatowe z akordem piżmowym
i cierpkim mchem dębowym, jest
zapachem niejednoznacznym,
z pozoru lekkim i miłym, lecz
w głębi tajemniczym. Czyżby
Tom Ford, dyrektor artystyczny
domu mody Gucci, chciał poka-
zać, że amerykański sen jest nie-
jednoznaczny? Cóż, słowem rush
określany bywa również eufo-
ryczny odlot po zażyciu kokainy,
a big rush to po prostu kokaina.

AGATA WASILENKO

wani wysokimi zarobkami – dniów-
ka wynosiła 5 \$ (ówczesna prze-
ciętą tygodniowa pensja amery-
kańskiego robotnika to 11 \$). Meto-
dy organizacji pracy i zarządzania
zastosowane przez Forda nazwano
fordyzmem.

ŁUKASZ DZIATKIEWICZ

WOJCIECH MEYNARSKI

„NOWY BULWIEC”

– Pieśń 3

Oto fabuła,
ostro z nią ruszmy:
topi się władza
Jedynie Słusznych.

Szli przez Ciemnawkę
pokrytą lodem
i się znaleźli
nagle pod spodem.

I zakrzyknęli:
kto z tej topieli
nas wyrwie – władzę
się z nim podzielim!

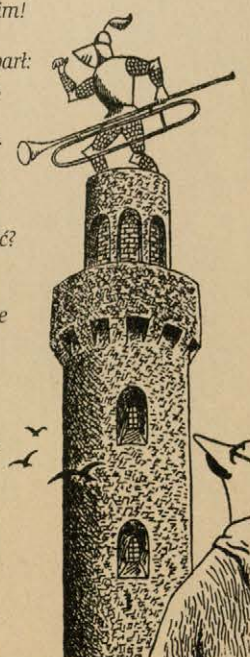
Ktoś z brzegu odparł:
dno macie blisko,
jak się stopicie
oddacie wszystko.

Na to z przerębla
padła replika:
A gdzie moralność?
A gdzie etyka?

A gdzie szlachetne
postępowanie,
konsultowane
na styropianie?

Patrz się na was
Stany, Europa
i tonącego
nie wolno kopać!

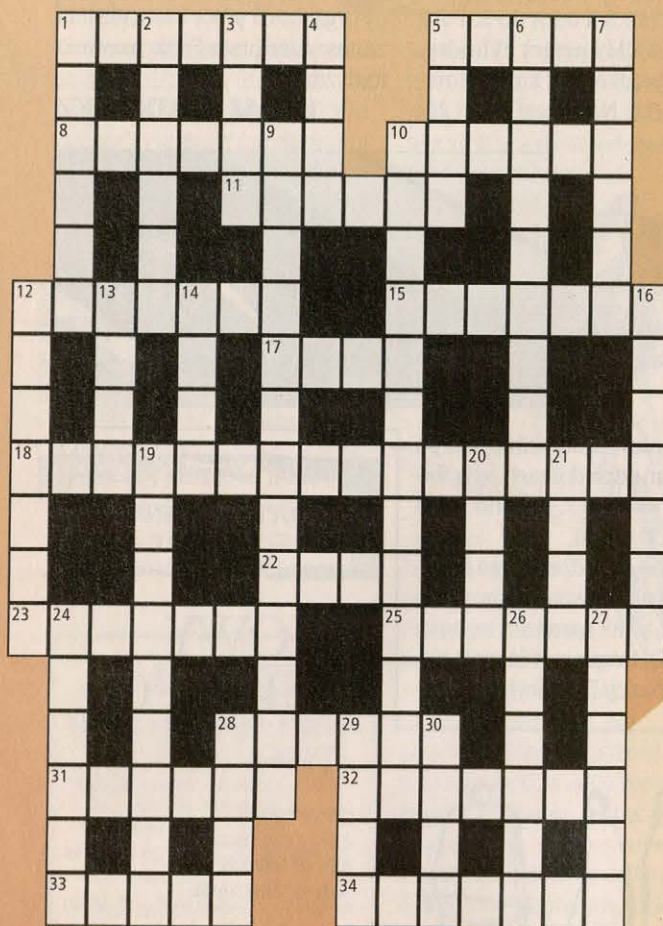
Jakie los dalej
rozdawał karty
opowie Państwu
odcinek czwarty.





KRZYŻÓWKA nr 36

z Heanem



POZIOMO:

- 1 do wyciągnięcia
- 5 prowadzi bal
- 8 Sezam miał za bankomat
- 10 Demostenesa ma za patrona
- 11 Białe
- 12 bardzo ostry sos na naparze pieprzowym
- 15 kłakowy śpiewak
- 17 rozrywka na prześcieradle
- 18 zapoczątkował ją Christian Barnard
- 22 w akumulatorze
- 23 czarna w żółtą kratkę
- 25 bez niej żadna kobieta nie wyjdzie z domu
- 28 ziarno + ziarno = ona
- 31 poszewski dzień
- 32 murarska
- 33 wyszła z mody nasza sztuczna tkanina
- 34 Madagaskar zamieszkuje

PIONOWO:

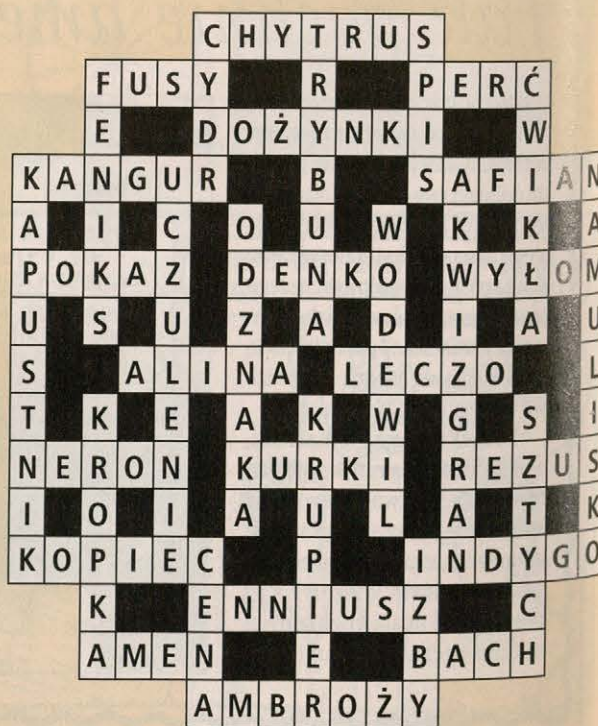
- 1 panowanie
- 2 starożytna kraina, która weszła w skład Dalmacji i Panonii
- 3 hutniczy produkt
- 4 nie zasada
- 5 coraz częstszy w naszym portfelu zamiast gotówki
- 6 dobrowolne ubezpieczenie samochodzianka
- 7 Myślenickie
- 9 łapać
- 10 królowa sportu
- 12 chodnik

- 13 miała koguta
- 14 z Kasprowego
- 16 jedzeniowa sofa
- 19 wczasowiczów unieruchamia w domu
- 20 1 dm sześć
- 21 odznacza się twardym drewnem
- 24 wierzchnie okrycie stopy
- 26 korekta korekty
- 27 pedałuje
- 28 koniec pedałowania
- 29 miasto otwarte
- 30 odezwa do serc

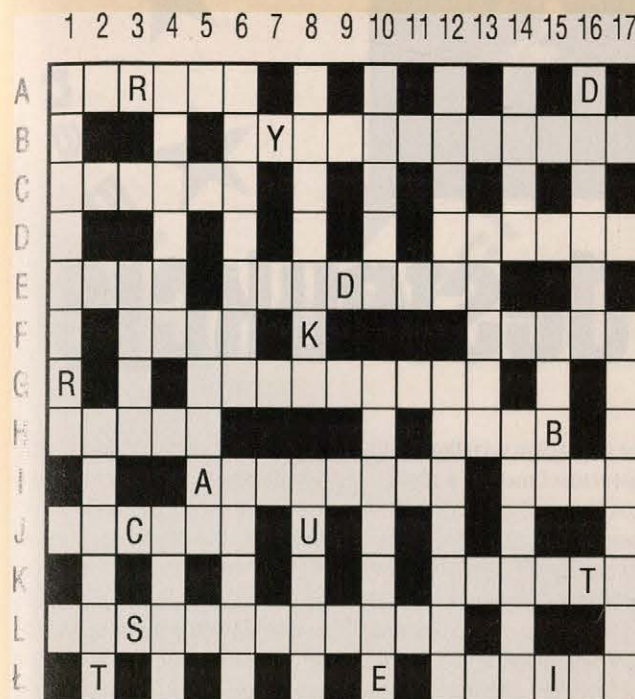
● **Pomiędzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie krzyżówki do niedzieli 16 września** (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych pięć zestawów kosmetyków ufundowanych przez **Fabrykę Kosmetyków HEAN**. Nasz adres: PRZEKRÓJ, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „krzyżówka 36”.

● **Za poprawne rozwiązania krzyżówki 33** pięć zestawów kosmetyków ufundowanych przez firmę **CUSSONS SA** wylosowali: Jadwiga i Wiktor Jarzyna, Aleksandrów Łódzki; Bożena Chrobak, Jaworzno; Maria Pittner, Katowice; Teresa Skopek, Pilzno; Ludwik Niezbach, Karpacz. Gratulujemy!

Rozwiązanie krzyżówki nr 34



JOLKA nr 36



Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Dla ułatwienia ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

L11 - D17 - L17 - K2 - G12 / H1 / G7 - G17 - D1 - J4 / C16 - H13 - Ł16 - C2 - A10 - E8 - L5 / A12 - A1 - E3 - Ł17 / D10 - Ł13 - A6 / E16 - E7 - H17 - L4 - B9 - A4 - K10 - D6 / - / H12 - B15 - K13 / G11 - B11 - J14 / J1 - C8 - Ł12 - A14 - I8 - C3.

Wyrazy 12-literowe:

- monolog na parę rąk • rośnie na Cejlonie i kojarzy się ze sklepami Schulza

Wyraz 9-literowy:

- przejrzyś po latach

Wyrazy 8-literowe:

- darów powodzianom • przebojowa żeńska szóstka (3+5) • zaszuwa krzyżkami • jego, a jej lek

Wyrazy 7-literowe:

- litera w koszulce lidera • poczta ma swoje, fiskus swoje • w arce przymierza • nielitościwa dla kurzu

Wyrazy 6-literowe:

- lepki pod sosną • złote myśli Peweksu • złota świta fileta • chyba już się oswoiła z próżnią •

dentysta patrzy na nią z góry

- członka biegają po krosienkach • złe odegna • boli skrzypka, boli tenisistę • ślepe w tobie • chwyt z Tatr

Wyrazy 5-literowe:

- oszczędność lub trzymać język za zębami • matrioszka lub muppet • kwiat partii • bitewny lub religijny (a czasem razem) • razem z gazem • szkoła przetrwania dla grzebień

Wyrazy 4-literowe:

- figura geometryczna figury świętej • stali • do naruszania • słowo o jego wyprawie • i Ułamek, i Oliwa go używa • beknie • tipo, tico lubo tir • franki za branki

● **Pomiędzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie „Jolki” do niedzieli 16 września** (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych pięć upominków-niespodzianek, ufundowanych przez „Przekrój”. Rozwiązania prosimy nadsyłać do redakcji „Przekroju”, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „Jolka 36”.

Rozwiązanie Jolki nr 34:

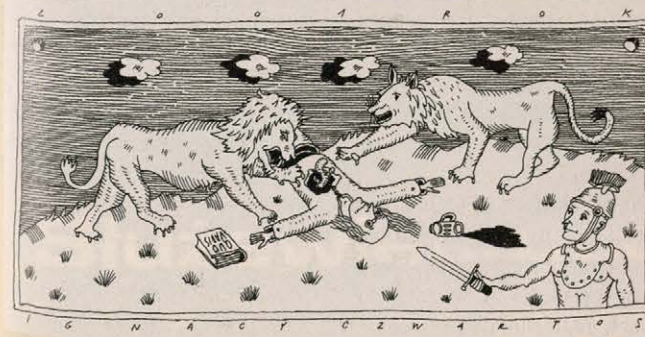
ZUPEŁNIE NIE ROZUMIEM, DLACZEGO SZWABSKA SZMACIANKA NIE JEST DYSCYPLINĄ OLIMPIJSKĄ

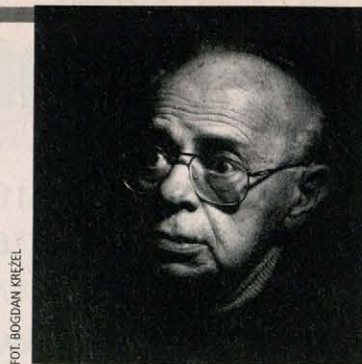
(cytat z „Syren z Tytana” Kurta Vonneguta).

● **Rzędami:** płas, szkatuła, złoto, Tetmajer, róża, wizja, western, Mikołaj, czaad, chrupki, susz, ochrona, refleks, gołąb, spiż, koryntki, pagon, kiochmal, kolt.

● **Kolumnami:** dziwactwo, ceper, poszwa, jednorożec, potas, technikum, sombrero, król, sejf, śpiewnik, karmiciel, Egipt, targowisko, usługi, łyżka, jarzębina.

● **Za poprawne rozwiązanie Jolki 33** pięć upominków ufundowanych przez redakcję „Przekroju” wylosowali: Barbara Gulowska, Żywiec; M. Zaporowska, Dębno Lub.; Magdalena Maj, Poznań; Joanna Kruszewska, Warszawa; Ewa Gapińska, Toruń. Gratulujemy!





FOT. BOGDAN KRZEL

Co Pan na to,
Panie LEM?

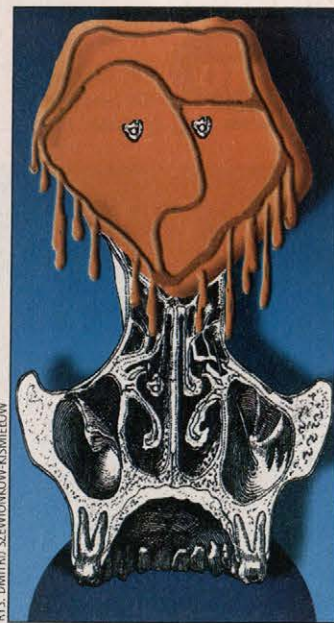
Kreacja przez destrukcję

Przeglądałem niedawno książeczkę napisaną przeze mnie podczas pobytu w Instytucie Naukowym w Berlinie Zachodnim, noszącą tytuł „Zniszczenie jako zasada kreacyjnej aktywności w Kosmosie”. Chciałem przekonać się, na ile sprawdziły się moje domniemania sprzed dwudziestu lat na temat szczególnej więzi, która spaja procesy katastroficzne z powstawaniem systemów planetarnych, stających się nośnikami życia.

W tym nowym obrazie świata centralne miejsce zajmuje więc kreacja przez destrukcję i przez następującą po niej relaksację systemową. Zwięźle można powiedzieć tak: Ziemia powstała, gdyż Prasłońce weszło w obszar zagłady; życie powstało, gdyż Ziemia opuściła ten obszar; człowiek powstał, ponieważ w następnym miliardolecu zagłada znów obruszyła się na Ziemię.

Obawiałem się, czy aby nie popełniłem jakichś głupstw, sprzecznych z obecnym stanem wiedzy o prawidłowościach rozwoju gwiazd, planet i życia w kosmosie. Jako wzorzec, do którego mogłem przymierzyć moje zeszlowieczne hipotezy, posłużyła mi książka profesorów P. D. Warda i D. Brownlee „Rare Earth”. Książkę tę przestudiowałem w ciągu kilku ostatnich dni, ażeby się przekonać, że przypuszczenia, jakoby kataklizmy w kosmosie z reguły poprzedzały, a nawet implikowały akty tworzenia zarówno w skali gwiazdowej, jak życia planetarnego, uległy potwierdzeniu i udokumentowaniu.

Życie mogło powstać, rozwinąć się i przetrwać tylko dzięki kolejnym gigantycznym katastrofom.



RYŚ. DMITRI SZENKOWICZ-KOSMIDOW

Autorzy, dysponujący fachową wiedzą i informacjami symulacyjnymi, doszli do wniosku, że musiało wystąpić bardzo wiele czynników o rozmaitej skali i gwałtowności, ażeby z dala od centrum naszej Galaktyki powstało Słońce

będące gwiazdą o wyjątkowo dużej zawartości metali, a następnie wokół tego Słońca powstała mgławica protoplanetarna, w której utworzyły się cztery planety bliskie Słońcu, a mianowicie Merkury, Wenus, Ziemia i Mars oraz w znacznej odległości od Słońca takie olbrzymy gazowe, jak Jowisz i Saturn.

W czasie, który minął od napisania przeze mnie wspomnianej książeczki do powstania dzieła Amerykanów, udało się astrofizykom wykryć około dwudziestu pozaziemskich układów planetarnych. Oparty na statystyce wniosek Amerykanów był taki, że planety, które krążą wokół Słońca korzystnie z punktu widzenia życia, czyli nieeliptycznie, należą – jak w przypadku Ziemi – do wyjątków.

Co się zaś tyczy związków między katastrofami gwiazdnymi i kreacją życiorodnych planet, badacze skoncentrowali się na losie życia ziemskiego. Jak wynika z paleontologii, na ledwie powleczonej stwardniałą skorupą ognistej Protoziemi życie powstało w ciągu najwyżej kilkuset milionów lat. W skali kosmicznej jest to jedna chwila. Lecz nowo powstałe życie ograniczało się do żyłatek mikroskopijnych, niewidzialnych gołym okiem, które w dodatku nie mogły żywić się tlenem, ponieważ nie było go w ówczesnej atmosferze Ziemi.

Dopiero katastrofy wulkaniczne, sejsmiczne oraz stopniowe rozgrzewanie się młodego Słońca doprowadziły do wyginięcia życia w jego pierwotnej fazie,

gdy atmosferę beztlenową zastąpiła tlenowa. Tak zwane anaeroby, obywające się bez tlenu, pozostały tylko w głębiach naszej planety, natomiast powierzchnia oceanów zazieleniła się od glonów zdolnych przekształcać promieniowanie Słońca w procesy życiowe dzięki fotosyntezie. W owym czasie cała przestrzeń okołosłoneczna była wypełniona przez masy wielkich i małych odłamów materii – resztki po powstaniu planet poruszające się po chaotycznych orbitach. Jeden z największych odłamów trafił na Ziemię i tak powstał Księżyc, który odegrał ogromną, jeżeli nie decydującą rolę przy narodzinach ziemskiego życia.

Nie sposób tutaj streścić całej zawartości dzieła amerykańskich naukowców, jednak końcowy wniosek jest jednoznaczny: życie mogło powstać, rozwinąć się, dosięgnąć epoki wielokomórkowców, a wreszcie ssaków wraz z człowiekiem tylko dzięki zachodzącym kolejno gigantycznym katastrofom. Część z tych ciosów życiobójczych trafiała na Ziemię z kosmosu (w postaci meteoroidów). Część wynikała ze szczególnego rodzaju budowy wnętrza naszej planety, na której zachodziły procesy rozchodzenia się wielkich mas lądowych, a także wielkie zmiany klimatyczne. One to naraz lub kolejno sprzyjały różnicowaniu się skomplikowanych organizmów żywych.

STANISŁAW LEM
27 sierpnia 2001



zadzwoniliśmy do GWIAZD

będą w Warszawie 15 września

Lionel Richie
Natalia Kukulska, Kayah,
De Mono i Lady Pank

Służewiec, godz. 16.00
wstęp wolny

www.era.pl



PROSIMY NIE
POWTARZAĆ

Przerwa obiadowa najbardziej się
długo właścicielowi firmy.

O PRACY SATYRYKA

Ach, wciąż narzekasz satyryczna brać:
Roboty nasza ciężka taka
ciągle musimy z tego się śmiać,
nad czym właściwie chce się płakać.

(Jan Czarny)



A TO CI KAWAŁ.
Niezwykłe precy-
zyjny dowcip zamie-
ścił „Super Express
Kaleidoskop”:
Młoda kobieta pro-
wadzi wóz z zawro-
tą szybkością. Idą-
ca obok niej przyja-
ciółka mówi: – Jak
ty możesz tak szyb-
ko jeździć? Mnie
wszystko przed oczami!
Zrób to co ja. Za-
mknij oczy!!!
Zamknij oczy.
Przed czytaniem.
(Nadesłał:
J. Parfianiewicz)

O WACUSIU
– Falczakowie
postanowili gło-
sować osobno.
On na SLD,
a ona na UP.



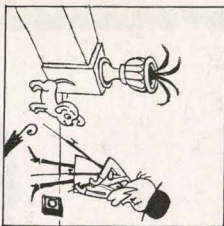
Muzykanci w karczmie różni

Wokulski walczył sam ze sobą, choć wokół miał
wielu innych wrogów.

Bohuc miał duszę romantyczną, potrafił zale-
cać się do Heleny Kurcewiczówny, śpiewać jej tę-
skie dumki i grać na turbanie.

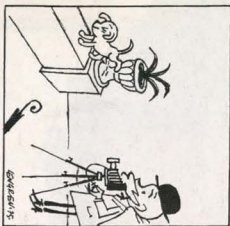
Sejmsograf rejestruje obrady sejmu, a także in-
ne trzęsienia ziemi.

HUMOR ZESZYTÓW nadesłał: W. Czerniak-Nowina
z Łódzkiego Warmińskiego, A. Kozarzewski z Pułtuska,
J. Kaptur z Tomaszowa Lubelskiego i H. Jurkowska
z Wrocławia. Dziękujemy.



O WACUSIU

– Falczakowi przypo-
mniał się nagle dowcip
z zamierzonych czasów,
kiedy jeszcze istniało ta-
kie coś, co nazywało się
ZSRR. Ktoś tam dostał –
opowiada Falczakowej –
katalog jakiegoś nie-
mieckiego domu wysył-
kowego. Przeglądają ra-
zem z żoną, przeglądają,
i w końcu Sasza mówi do
Nataszy: „Popatrz, Nata-
sza, ile jeszcze mamy rze-
czy do wynależenia”.



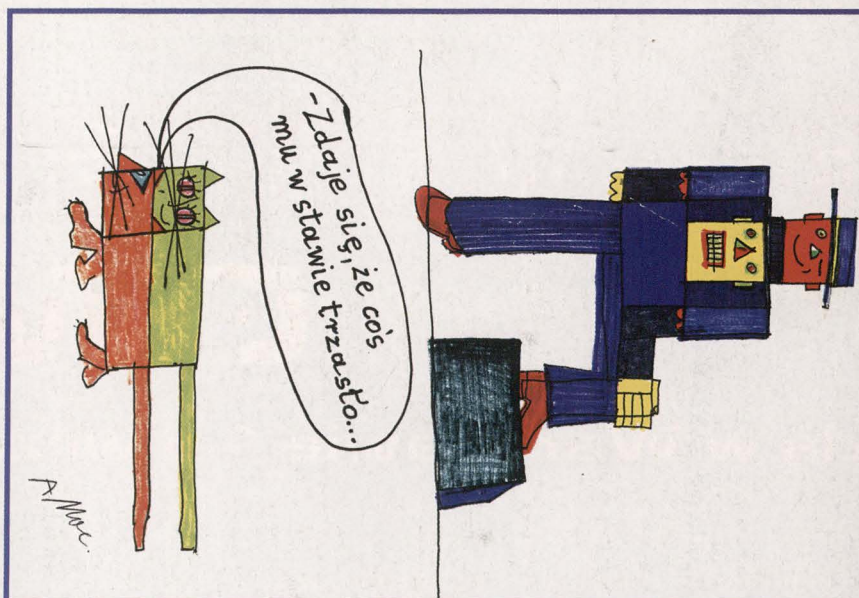
Anatomiczne odkrycie
Reklama z numeru 25 „Tele Tygodnia”:

„Mój brzuch zniknął, a waga spadła o 20 kilo.”



Nareszcie dowiedzieliśmy się, gdzie kobiety mają brzuch.

(Nadesłał: B. Konarski)



Minęła w sierpniu 22. rocznica
śmierci Jerzego Jurandota. Inżyniera
chemika, który na szczęście puścił
kaniem chemię i zajął się rośnię-
szaniem Polaków. A robił to wyświe-
nie. Dziś szczególnie, w porówna-
niu z tym zalewem tekstarskich nie-
dorobek prowincjonalnych grafoma-
nów, widać, jakim arcyministrem ga-
tunku był Jerzy Jurandot. Oto spe-
cialna premia dla Czytelników
„Śmiesznot” w postaci utworu pt.
PRASA LITERACKA

Jedno chłopię drugie chłopię
pracowicie w tyłek kopie.

Jeden pryk w drugiego pryka
jadowicie szpilki wtyka.

Jeden as drugiego asa
atakuję niżej pasa.

Jeden mistrz drugiego mistrza
opługawia i opryszcza.

Jeden wieszcz drugiego wieszcz
z błotem miesza i zbezczeszcza.

A czytelnik dzięki prasie
rozwiąza się, pogłębia się.

O zmarłych pisarzach nie tylko się zapomina,
ale, o zgrozo, również się ich okrada. „Tybu-
na” w rubryce „Twoja trybuna” drukuje listy
czytelników. W jednym z nich, w numerze 188,
pani Anna Pienkowska pisze:

Jak patrzeć, co przez ostatnie 4 lata rząd Je-
rzego Buźka uczynił z krajem i na to, z ja-
kim багаżem wejdzie nowy rząd w ten ba-
gan, to chciałabym na odpowiednie rządowi
J. Buźka przesłać wierszyk z książki kuchar-
skiej rodem: „Niech sobie ten przepis prze-
czyta elita, że każda śmietanka na deser jest
bita”.

No, niby to wszystko bardzo szlachetne
i uczynione w szczytnym (pardon!) celu, tyle
tylko, że nie jest to wierszyk z książki kuchar-
skiej rodem, ale fraszka Stanisława Jerzego
Leoa o tytule: PRZEPIS KUCHARSKI. W do-
datku napisana w lipcu 1936 roku i odnoszenie
jej do działalności i postaci J.E. Jerzego Buźka
jest najwzajemniejszym nadużyciem.

Brat PRZEK-ROJEK